

A detailed oil painting of a man's face, focusing on the eye and nose. The man has a serious expression, with a prominent nose and slightly downturned mouth. The lighting is dramatic, highlighting the texture of the skin and the intensity of the gaze.

MARGINESY

Jaume
Cabré

KIEDY ZAPADA MROK

Jaume
Cabré

K I E D Y Z A P A D A M R O K

Przełożyła z języka katalońskiego ANNA SAWICKA

MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

O Autorze

O Tłumaczce

Dedykacja

I. Mężczyźni nie płaczą

II. Na zlecenie

III. Poldo

IV. Buttubatta

V. Pandora

VI. Claudi

VII. Raj

VIII. Nunc dimittis

IX. Srebrna kula

X. Znikający punkt

XI. Ręce Mauka

XII. Tezeusz

XIII. Ebro

XIV. Epilog

Dramatis personae

Przypisy

Tytuł oryginału QUAN ARRIBA LA PENOMBRA
Przekład ANNA SAWICKA

Wydawca, redaktor prowadzący, redakcja ADAM PLUSZKA
Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ, KAROLINA WĄSOWSKA
Projekt okładki, opracowanie graficzne i typograficzne ANNA POL
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Na okładce wykorzystano obraz Antonella da Messiny (1430–1479) *Portret mężczyzny*.

The translation of this work was supported
by a grant from the Institut Ramon Llull



© Jaume Cabré, 2017

Copyright © for the translation by Anna Sawicka

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2019

Warszawa 2019

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-66140-64-6

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.
ul. Mierosławskiego 11a
01-527 Warszawa
tel. 48 22 663 02 75
e-mail: redakcja@marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

AUTOR NAGRODZONY TYTUŁEM

Premi d'Honor de les Lletres Catalanes
dla najlepszego pisarza katalońskiego, 2010

Krzyżem Świętego Jerzego,
najwyższym katalońskim odznaczeniem, 2014

Nagrodą Księgarzy Katalońskich
za całokształt twórczości, 2017

ANNA SAWICKA – iberystka, pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego, redaktor „Studiów Iberystycznych”, tłumaczy z języka katalońskiego i hiszpańskiego. Przez pięć lat była lektorem języka polskiego i wykładowcą literatury polskiej na Uniwersytecie Barcelońskim. Zajmuje się m.in. literaturą i kulturą katalońską (*Paryż–Barcelona–Sitges. Modernistyczny „genius loci” w Katalonii z perspektywy Santiago Rusiñola*, 2003, *Drogi i rozdroża kultury katalońskiej*, 2007). Ma w dorobku przekłady kilku katalońskich dramatów (Sergi Belbel, Josep Maria Benet i Jornet, Carles Batlle, Josep Pere Peyró, Lluïsa Cunillé, Guillem Clua) oraz opowiadania Pere Caldersa i Javiera Tomeo (*Minihistorie*, 2009), średniowieczny brewiarz mistyczny Ramona Llulla (*Księga Przyjaciela i Umiłowanego*, 2003), a także powieści Alberta Sáncheza Piñola (*Chłodny dotyk*, 2006), Lluïsa-Antona Baulenasa (*Za worek kości*, 2008), Marii Angels Anglady (*Skrzypce z Auschwitz*, 2010) i Eduarda Mendozy (*Miasto cudów*, 2010). W 2013 roku ukazała się w jej przekładzie pierwsza tłumaczona na język polski powieść Jaume Cabrégo, *Wyznaję*, w 2014 *Głosy Pamano*, w 2015 *Jaśnie pan*, w 2016 *Cień eunucha*, w 2017 *Agonia dźwięków*, a rok później *Podróż zimowa*.

W 2015 roku została uhonorowana prestiżową nagrodą Instytutu Ramona Llulla. Kapituła uznała, że *Głosy Pamano* to najlepszy przekład literacki z języka katalońskiego.

Dla Margaridy

I

MĘŻCZYŹNI NIE PŁACZĄ

- Tato, nie zostawiaj mnie samego.
- Nie będziesz sam. Popatrz, popatrz. Widzisz, ile dzieci jest na boisku?
- Ja chcę do domu.
- Wykluczone.
- To zostań tu ze mną.
- Co za pomysł!
- Tato...
- No, już, nie becz, do cholery.
- A mama?
- Powtarzam: przestań beczeć! Zapamiętaj sobie na zawsze: mężczyźni nie płaczą.
- Tato...
- Odwiedzę cię w niedzielę, w porządku?
- Tato...
- Mazgaj. No już, daj mi buziaka. Na co czekasz, buziaka, mówię! Ach, już ci się odechciało? To w niedzielę nie przyjadę. Twoja strata. Myślisz, że żartuję? I żebyś nie słyszał żadnych skarg na twoje zachowanie.

Nowe, nieznane, groźne cienie; tajemnicze szmery i szelesty, których nigdy wcześniej nie słyszał nocą. Pokasływanie nieznanomych dzieci. Leżąc z otwartymi powiekami, postanowił, że nie zaśnie, gotowy na atak mrocznych potworów. Z oczami jak spodki zazdrościł pochrapującemu cicho koledze na łóżku obok. Nastawiał się na bardzo długą noc. A przede wszystkim, dlaczego tato... Jak to możliwe, że... Aż cienie zaczęły się rozmywać i wtedy odważył się powiedzieć mammo... Co się stało, mammo?

Co za ryk! Następny dzień zaskoczył go i przeraził. Zdał sobie sprawę, że

pomimo lęku zapadł w sen, bezbronny wobec potworów. I że teraz jakiś donośny, wściekły głos zwracał się do niego, ej, ty, tak, Ty, co sobie wyobrazasz, śpiący królewiczu z sypialni numer trzy? No już, wstawaj! I pościel poszła w ką, a dzieci w milczeniu spieszyły w stronę łazienki z ręcznikiem i szczoteczką do zębów, której Ty nie posiadał, ale dlaczego tato nie chce, żebym, przecież mógłbym być w domu i. Nie? Jeszcze nie wiedział, którędy do łazienki, więc zdecydował, że najlepsze, co może zrobić, to siąść na łóżku i rozplakać się. A wtedy tamta okropna twarz, z której wydobywał się potworny ryk, znalazła się na jego wysokości, dosłownie przed nosem, i tak się wydarła, że z wrażenia przewrócił się na łóżko. Tamta twarz o wystających kościach policzkowych i czerwonych policzkach budziła lęk. A jeszcze do tego krzyczała, co potęgowało strach. Potem dowiedziałem się, że na imię mu Enric, ale każe na siebie mówić Henricus. Z czerwoną gębą, chrapliwym głosem, miał za zadanie budzić dzieciarnię, pilnować podczas przerw, żeby żaden dzieciak nie przeskoczył przez ogrodzenie najeżone kolcami i nie nadział się jak oliwka w wermucie, wiecie, co mam na myśli, no nie?; do niego też należało naprawianie ciężkich pralnic i regulowanie ogrzewania. Strzygł nas. I dotykał pod prysznicem. I na pewno jeszcze coś robił, bo ciągle go widziałeś, jak kręci się tu i tam i ma oko na wszystko, żeby nie przegapić najmniejszego drobiazgu. Poza nim były jeszcze kucharki i ogrodnik w ogrodzie za domem. I milczące zakonnice ze skrzydłami rybitwy na głowie, które płynęły w powietrzu wzdłuż korytarzy i które uczyły nas różnych niepotrzebnych rzeczy, poza siostrą Matilde. Tylko ona patrzyła nam w oczy, czasem szczypała w policzek i potrafiła nas rozśmieszyć. I uczyła czytać tych, którzy tego nie umieli. A nad nią stała matka przełożona ze złośliwym spojrzeniem. Tomàs zapewniał, że tak samo patrzy diabeł. A ciebie czemu nikt nie odwiedza?

– Nie twój interes, jasne?

Więcej nie pytali. Mamo, a tato w ogóle nie przychodzi.

– Tomàs.

– Co?

– Jesteś pewien?

– Czego?

– Że w spojrzeniu matki przełożonej dostrzec można oczy diabła.

Trzysta dzieciaków w domu. Trzydziestu chłopców w sypialni numer trzy. Trójka przyjaciół: Toni, Ton i Tomàs; i on, który do nich dołączył. Nie miał odwagi zapytać kogokolwiek, dlaczego akurat mój ojciec nigdy do mnie nie przychodzi. Co by mu szkodziło wpaść? Ale kogo miałby o to zapytać? I dlaczego nie mogę powiedzieć matce przełożonej, że Henricus dotyka mnie, kiedy bierzemy prysznic?

- Bo natychmiast by cię wysłała do piekła.
- Ale ja nie lubię, kiedy on mnie dotyka.
- To zaciśnij zęby.
- Ej, ej, ej – zareagował Ty po paru sekundach milczenia.
- O co ci znowu chodzi...
- Że piekło jest dla nieboszczyków. A ja jestem żywy!
- No to najpierw cię zabije, a potem wyśle do piekła.
- Cholera.

Tato, kolejna niedziela. Gdzie ty się podziewasz? Tato, nie odwiedziłeś mnie ani razu. Ani razu. Dzisiaj wujek Tona dał mi torebkę cukierków. Schowam ją pod poduszką. Mam nadzieję, że wytrzymają tam lata, na wypadek gdybyś przypadkiem zechciał przyjść. Mamo...

Henricus złapał go za ucho i ciągnął przez pół korytarza aj, aj, aj, aj, aj, co za ból, co za ból, co za ból, co za ból! Ucho czerwone jak pomidor, i potworny ból, który nie przechodził.

- Nie wiesz, że nie wolno trzymać jedzenia w łóżku? Co? Do ciebie to nie dotarło? Ty...
- Ale z szafy kradną.
- Nazywasz swoich kolegów złodziejami? To bardzo brzydko. Bardzo!
- Ale kiedyś...
- Tu nikt nie kradnie i koniec dyskusji.
- Ale przecież...
- Kto miałby cię okraść, no, słucham. Podaj nazwiska.
- Nie wiem. Nie wiem, kto mnie okrada.

– Donosiciel!

– Ale ja naprawdę nie wiem...

Kolejne pociągnięcie za ucho, a jednocześnie Henricus zbliżył do niego głowę i krzyczał, przedrzeźniając go ale ja nie wiem, ale ja nie wiem, tylko byś oczerniał innych. No, przynieś te cukierki.

Niektóre dzieciaki śmiały się pod nosem, bo dobrze jest stać po stronie zwycięzcy, a Henricus zawsze był zwycięzcą. Stąd ten śmiech. Ja też czasami tak się śmiałem.

– Podarował mi je... moja mama.

– Twoja matka nie może ci przynieść cukierków, debilu!

– A właśnie że tak!

– Nie! Bo nie żyje!

– Właśnie że nie!

– Martwy człowiek nie może podarować cukierków, idioto, zwłaszcza jeśli to samobójca, rozumiesz, ty wypierdku? – I kiwnął na mnie ręką gestem niepozostawiającym wątpliwości. – Oddawaj te karmelki, i to już!

Następnego dnia, ciągle jeszcze z czerwonym uchem, w porze sobotniego prysznic, kiedy Henricus gwizdkiem pospieszał dzieciaki, żeby nie marudziły pod wodą, albo kazał wracać pod prysznic niedomytym i namydłał niektórym głowy, mnie obmacał i powiedział jak będziesz grzeczny, nigdy więcej nie pociągnę cię za ucho. Ja zawsze byłem grzeczny, ale nie oddał mi cukierków od mamy. I dotrzymał słowa: poczuwszy od tego dnia, zostawił w spokoju moje uszy, natomiast walił z liścia, a to bardzo bolało, oj, jak bardzo. A milczące zakonnice krążyły po całym domu, nawet siostra Matilde, i nie słyszały, jak płakałem z powodu Henricusa, który bije i obmacuje, i dlaczego tato nigdy mnie nie odwiedza. I za żadne skarby nie chciałem napotkać diabolicznego spojrzenia matki przełożonej. A moi przyjaciele niezwykle subtelnie, jak to oni, kiedy zostaliśmy sami, potracali się łokciami, żeby zdecydować, że to Tomàs zada mi pytanie:

– Jak się zabiła twoja matka? Co? Kiedy? Dawno? Co? Dlaczego? Widziałeś ją po śmierci? Powieszona? Czy jakoś inaczej? Co?

A ja pobiegłem przed siebie jakimś nieznanym korytarzem, zasłaniając uszy rękami, bo nie chciałem tego słuchać i wstydziłem się łez, i w ten sposób

odkryłem kanciapę, gdzie są kotły, gdzie dopóki nie ma awarii, nikt nie zagląda, nawet szczury. I nigdy więcej nie pytali mnie o mamę.

Długo nie rozumiałem, dlaczego czasami Henricus nazywa nas mięsem armatnim. Jednego ze starszych, z tych, co to mieli dziesięć lat albo i więcej, moja naiwność szczerze rozbawiła i wyjaśnił mi, że nie chodzi o to mięso, którego prawie nigdy nie dawali nam do jedzenia, ale o nas, rozumiesz, Ty? A ja odpowiedziałem ach tak, no jasne, ale dalej nie rozumiałem, jak można by przerobić nas na befsztyki. Kiedy skończyłem trzynaście lat, już to do mnie dotarło, i podziwiałem jasnowidztwo tego kapo, który ustawiał nas na baczność. A uskrzydłone zakonnice dalej nas uczyły nieprzydatnych rzeczy w trudnym do zrozumienia języku kastylijskim, w sali lekcyjnej ozdobionej Chrystusem przybitym do krzyża i zdjęciami dwóch łotrów po bokach, z fryzurami na żel, w wojskowych mundurach.

Po raz pierwszy przymierzaliśmy się do zabicia Henricusa, kiedy wszyscy czterej przeczytaliśmy kilkakrotnie w tajemnicy przed zakonnkami komiksy *Zamaskowany* i *Kapitan Grom*, krążące z ręki do ręki. Wtedy już wymykaliśmy się na pola przez okno z wybitymi szybami w odkrytym przeze mnie pomieszczeniu kotłów. Pewnego dnia zebraliśmy się za jabłonkami w ogrodzie, za studnią, która zasłaniała nas jak kurtyna, gdyby komuś w domu przyszło do głowy spojrzeć w tamtą stronę. Śledziliśmy go: w sobotnie i niedzielne popołudnia Henricus wychodził wydać zarobione pieniądze; czasem wybierał się na tańce, ale wracał stamtąd w pieskim nastroju.

– To dlatego, że nie ma powodzenia u kobiet – zawyrokował Tomàs, najlepiej zorientowany z całej czwórki.

– Ach, rozumiem – powiedziałem z powagą. Inni też pokiwali głowami ze znajomością rzeczy.

– To musi być doskonały plan.

– No jasne.

– Tak, ale nad doskonałym planem trzeba nieźle pogłówkować.

Po długich deliberacjach zdecydowaliśmy, że umówimy się o północy i pójdziemy na strych, gdzie mieszkali Henricus, kucharki i ci robotnicy, którzy nie mieli gdzie się podziać.

– Otworzymy drzwi nagle, rzucimy się na niego i udusimy poduszką.

– W ten sposób wykorzystamy efekt zaskoczenia – wymądrzał się Tomàs. I wszyscy czterej po raz pierwszy w życiu poczuliśmy się ważni.

– I musimy zatrzeć ślady.

– Ja namalowałbym na ścianie znak Zorro.

– Świetny pomysł, dzięki, Ty. W ten sposób podejrzenia nie spadną na nas, tylko na kogoś z zewnątrz.

– Tak: na Zorra – uściślił Toni, podziwiając mój spryt.

W taki oto sposób doskonaliliśmy nasz doskonały plan. Aż do najmniejszego szczegółu. Toni zwinął trzy noże deserowe, na wypadek gdyby ofiara stawiała opór.

- Jak nie będzie grzeczny, to mu obetniemy.
- Co mamy mu obciąć? – zapytał Ty, zaintrygowany.
- Stary, kutasa.
- Ach tak. – Skupione milczenie. – A co to takiego ten kutas?
- Siusiak.
- Ach tak.

Umówionej nocy napotkaliśmy na przeszkodę, której nie przewidzieliśmy: pokładaliśmy się do łóżek z szeroko otwartymi oczami, gotowi czuwać, ale kiedy wreszcie nadeszła północ, wszyscy czterej spaliśmy jak susły. Następnego dnia postanowiliśmy dać sobie drugą szansę i uznaliśmy, że najlepiej będzie wstać i czekać na bacność przy łóżku, kiedy siostra Eugènia zgasi światło i wyjdzie z sypialni numer trzy. Niczym młode dziki.

- Ej, Ty! Czemu stoisz na bacność?
- Bo tak.
- Ona tu jeszcze może zajrzeć... Chcesz, żeby nas zwymyślała, co?
- Ciii, nie krzycz. Po prostu złapał mnie skurcz i...
- Jak chcesz, zawołam siostrę albo Henricusa.
- Nie. Już mi przechodzi. Śpij, nie przejmuj się!
- Jak sobie chcesz.

Mój sąsiad z lewej przewrócił się na drugi bok, chyba trochę obrażony. W ciemności wypatrzyłem trzy cienie, które też złapał skurcz, i poczułem, że stanowią część zgranej ekipy, po raz pierwszy w życiu. Jeszcze sobie tego nie uświadamiałem, ale już zaczynałem kochać moich trzech przyjaciół.

Kiedy stoisz i oczy same ci się zamykają, trudno jest nie usnąć. Zebraliśmy się w milczeniu dużo wcześniej, jeszcze przed dzwonami w kaplicy, i uznaliśmy, że do tego, co zamierzamy zrobić, nie trzeba czekać na północ. Mogła to być dziesiąta na przykład. Najważniejsze, żeby wróg już spał.

Przy drugiej próbie zabicia Henricusa osiągnęliśmy cel. Ale przy tej pierwszej byliśmy za młodzi i nasza naiwność wszystko popsuła. Punktualnie

o dziesiątej wchodziliśmy głównymi schodami, przyklejeni do ściany, tacy wystraszeni, że dosłownie duszę miałem na ramieniu. Bez światła dotarliśmy na trzecie piętro i zdecydowaliśmy większością głosów, że trzecie drzwi prowadzą do pokoju Henricusa. Po prostu w ciemnościach wszystko wyglądało inaczej i natychmiast traciłeś orientację.

– Na pewno?

– Taaak. A nie?

W tym momencie usłyszeliśmy hałas i wszyscy czterej zamieniliśmy się w tapetę na ścianie. Drzwi po przeciwnej stronie korytarza otworzyły się i wypluły strumień światła, który oświetlił podłogę, a postać Henricusa rzuciła cień, kiedy wychodził, zapinał spodnie i wyciągał język w taki dziwny sposób, patrząc za siebie. Zamknął drzwi, znów zapadła ciemność, i nie zapalając światła, ruszył ku trzecim drzwiom, tam, gdzie my staliśmy na czatach. Wszedł po cichu, po ciemku, i przekręcił klucz w zamku. Nie zauważył nas, ciągle wciśniętych w ścianę, w charakterze dekoracji.

– No już: otwieramy i dusimy.

– Nie, bo nie śpi. Musimy odczekać godzinę.

– Cholera, całą godzinę!

– A poza tym zamknął drzwi na klucz.

– Na pewno?

Natychmiast usłyszeliśmy bardzo blisko jakiś ruch i drzwi pokoju Henricusa otworzyły się na oścież; słabe światło dochodzące z wewnątrz zarysowało kontury jego postaci na ciemnym tle.

– Co za cholera...

Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się tak szybko zbiec po schodach, w ciemności, jak tamtej nocy. Znaleźliśmy się w sypialni numer trzy w ciągu paru sekund. Nie wiem, z jakiego powodu Henricus nie zaczął krzyczeć ani nie zaalarmował sióstr, ale owszem, pobiegł za nami i wszedł po ciemku do sypialni. Przez dobrą chwilę przesuwiał się między łózkami i pochylał nad tym czy innym chłopcem, żeby sprawdzić, czy śpi, czy tylko udaje. To było straszne. Ale jakoś przeżyliśmy. I Henricus też. Wszyscy zgodnie postanowiliśmy czekać aż do lata.

- Toni.
- Tak.
- Czemu Tomàs ciągle powtarza, że mamy mu obciąć siusiaka?
- Bo pewnego dnia mu go wsadził.
- Ach tak.
- I powiedział, że jeżeli jeszcze raz to się powtórzy, zabije go.
- Przed czy po obcięciu siusiaka?

Lata mijają, rośliśmy i nadal byliśmy zgraną paczką. Tomàs rządził, wystarczyło jedno spojrzenie. A Ty z każdym dniem budził coraz większy respekt, bo szybciej niż Ton i Toni przestał się bać. Wymieniono kilka zakonnic i te, które odpłynęły, nie powiedziały ani słowa na do widzenia, tak jakby ich życie nie miało nic wspólnego z naszą rzeczywistością. Henricus postarzał się i teraz musiał dwa razy się zastanowić, zanim zdecydował się z nami zadrzeć, bo nad górną wargą już się nam sypał meszek, a i głos ciągle sprawiał niespodzianki. Teraz Henricusa bardziej interesował prysznic z najmłodszymi. A nasza paczka robiła swoje. Ton, Toni i Tomàs, ten, który wiedział wszystko. A ja, choć zawsze trochę odstawałem, zauważyłem, że jest mi dobrze, że już tak się nie boję. Koledzy nauczyli mnie wielu rzeczy: Ton, że trzeba myśleć o przyszłości, Toni, żeby mówić, co się myśli, a Tomàs powiedział mi wszystko o seksie, który dla trzynastolatka był jedynym naprawdę ważnym tematem. I ciągle jeszcze nikt mi nie wyjaśnił, dlaczego moja matka popełniła samobójstwo. Gdyby mnie odwiedził, na dzień dobry zadałbym pytanie tato, czemu mama się zabiła. Ale ponieważ nie przychodził... Prawdę mówiąc, nie wiedziałem nawet, czy jeszcze żyje; może też popełnił samobójstwo. A także trzykrotnie przeżyłem konfrontację z diabolicznymi oczami matki przełożonej, za każdym razem z powodu jakichś głupot związanych z Henricusem, jakby był naszym jedynym wrogiem. Pewnie po to właśnie go trzymały, żeby odgrywał rolę dyżurnego wroga, dzięki czemu zakonnice mogły spokojnie unosić się

w powietrzu. Odkryliśmy, że Henricus miał słabość do małych blondasków, ale nasz kodeks honorowy zabraniał nam rozmawiać o tym z zakonnkami, a tym bardziej z rodziną, jeśli ktoś ją posiadał. Aż do dnia, kiedy mały pierwszoroczny blondynek rozpłakał się żałością, i wtedy, nie zasięgając niczyjej rady, stanąłem przed diabolicznymi oczami matki przełożonej, które wtedy nie wydawały się już tak diaboliczne. Powitała mnie pytaniem co się dzieje, synu, możesz mi zaufać, a kiedy zacząłem mówić, przerwała i zapytała czemu oczerniasz starszego człowieka? No? No? Ty spojrzał jej w oczy, bez lęku, i odczekał kilka sekund. Podobała mu się ta cisza. Ty nie wiedział, ale właśnie w jego życiu dokonywał się ważny przełom. Zdecydował, że nie odpowie na to pytanie, natomiast zada inne:

– Oczerniać znaczy kłamać?

– No... To życzyć komuś źle... i...

– Ale to prawda, że Henricus dobrał się do tyłka Tomàsa. Dwa lata temu. W Boże Narodzenie.

– Takich brudnych słów nie należy używać, ty kłamco!

– Niech siostrze pokaże odbytnicę i sama siostra sprawdzi, czy to kłamstwo. Nie chcę, żeby mnie tak potraktował.

– Licz się ze słowami!

– To jakich słów mam użyć, jeśli nie tych? Prawda, że siostra chciała wiedzieć? – W tych dniach Ty przekonał się, że kiedy ogarnia go gniew, nic nie może go powstrzymać. – Prawda, że siostra sama mnie spytała, co się dzieje, synu, możesz mówić z pełnym zaufaniem, synu? Prawda? No, to ja posłuchałem. Henricus teraz dokonuje spustoszenia pod prysznicem maluchów, cholera, kurwa! Niech siostra się przyjrzy temu pierwszorocznikowi, który zanosi się płaczem, kurwa! Cholera!

Głośny policzek. Nawet się nie zorientował, jakim cudem matka przełożona dosięgła jego twarzy, kiedy wstała i kiedy znów usiadła po drugiej stronie dzielącego ich stołu, jak kobra, która wycofuje się po ataku. Ty doliczył do pięciu, żeby się uspokoić, tak jak uczył Tomàs, kiedy za studnią starszy od nich chłopiec pokazał im parę chwytów judo, żeby łatwiej sobie radzić w życiu.

– Siostra Matilde by mi uwierzyła.

– Siostra Matilde już tu nie pracuje.

Ty, mimo zasady liczenia do pięciu, miał cierpliwość krótką jak rękaw kamizelki i już stały się słynne jego ataki wściekłości. Dlatego tamtego dnia, kiedy matka przełożona powtórzyła, że wyprasza sobie wulgarne słowa i oczernianie i że nie wierzy w nic, nic, ale to nic z tego, co on jej mówi, Ty wyłożył na stół całą prawdę, mnożąc brzydkie wyrazy, nieodrodny uczeń Tomàsa. Opowiedziałem jej o strasznych rzeczach, żeby sprawdzić, czy w końcu mi uwierzy. Bo kiedy jest ci wszystko jedno, tracisz lęk.

Cela za karę. Izolatka na czas nieokreślony.

– Za co?

– Za przeklinanie, bluźnierstwa, chamstwo i pomówienia.

Dokonała się w nim przemiana. Ty dał się zamknąć za karę w celi pełnej odrażających pajaków i nie uronił ani jednej łzy, bo zdawał sobie sprawę, że to dopiero początek wojny, w której bierze udział. W całym domu dały się słyszeć nerwowe krzyki, a on tylko się uśmiechał jak Burt Lancaster, chociaż nie widział ani jednego filmu z tym aktorem. I słychać było bieganinę. Aż pewnego dnia głos i ryki Henricusa znikły i zostały zastąpione wkurzającym pogwizdywaniem, które Ty znienawidził od samego początku. Wszystko było pozamiatane, kiedy przenieśli mnie z powrotem do sypialni numer trzy, w aureoli bohatera. Ty nigdy więcej nie poczuł strachu, ponieważ zniósł z powodzeniem spojrzenie matki przełożonej. Dlatego wrócił z wygnania w celi ze szczurami z uśmiechem satysfakcji, którym zrobił wrażenie na kolegach.

– Jak się nazywa ten gwizdzący gość? – zapytał, patrząc ponad głowami całej trójki, która go otoczyła.

– Ignasi, ale mówimy na niego Ignatius.

– Świetnie. Słuchaj, Tomàs, co znaczy bluźnierstwo?

– Nie wiem dokładnie. Ale to coś obraźliwego.

– A więc matka przełożona mnie obraziła. Zabijemy ją?

Roześmiali się wszyscy czterej. Byli zadowoleni, że znów są razem. Ale Ty, po heroicznym przebyciu pustyni, wydawał się wyższy i dzielniejszy i Tomàs powoli musiał się z tym pogodzić.

I tak mijały dni, wydłużały się nam ramiona i całe ciało pokrywało się owłosieniem. A Ty parę razy skonfrontował się z Ignatiusem, co było nie do uniknięcia, bo tamten typ spotykał się z Henricusem poza domem i pobierał

u niego nauki; na pewno Henricus go nastawiał przeciw Tobie, chłopakowi z niewyparzoną gębą. Po paru takich zawodowych konsultacjach Ignatius nabrał zwyczaju, naśladując Henricusa, gwizdania Tobie prosto w twarz, ot tak, bez przyczyny. A Ty znosił to z uśmiechem, ponieważ czuł, że jest ponad dobrem i złem. Aż pewnego dnia odpowiedział mu, z uśmiechem, pięścią w twarz, aż tamten się udławił swoim gwizdaniem, i teraz to dzieci się śmiały, bo Ty miał moc i Tobie wydawało się, że wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, co było nie tak.

Od czasu do czasu nadchodziło lato i większość dzieciaków znikła na parę tygodni, i zostawali tylko ci, którzy nie mieliśmy nikogo, dosłownie nikogo. A ja nauczyłem się, albo przynajmniej tak mi się wydawało, nie myśleć ani o ojcu, ani o mamie, ani o nikim, chociaż miałem wtedy więcej czasu na myślenie. I tak mijały kolejne wakacje.

Do zadań Ignatiusa, po uprzednim galimatiasie, przechodzeniu przez odpowiednie filtry i sprawdzaniu dokumentów przez biegające z góry na dół mniszki, należało otwieranie zakratowanej bramki i życzenie powodzenia tym, którzy z niewielką sumą opuszczali instytucję po osiągnięciu odpowiedniego wieku, jeśli wcześniej nie upomniał się o nich żaden członek rodziny. Zamiast życzyć mu powodzenia, jak trzem czy czterem innym, którzy odchodzili z domu przed nim tego letniego popołudnia, wymamrotał coś pod nosem i plunął mu w twarz słowami Ty, idź do diabła. A Ty, który czuł się panem świata, mając parę groszy w kieszeni, zbliżył swój nos do jego nosa i zapytał chcesz, żebym znów wcisnął ci do gęby to twoje gwizdanie, wypierdku? I spokojnie przekroczył zakratowane ogrodzenie świętej instytucji, w której spędził dzieciństwo i okres dojrzewania. Nie przejął się tym, że znalazł się na ulicy z rękami w kieszeniach i trzema adresami pracy do wyboru. Zanim wyruszyłem w stronę przystanku tramwajowego, wydaje mi się, że usłyszałem trzepot skrzydeł którejś zakonnicy, ale nie odwróciłem się. Zaczynał się okres chwały i chciałem się nią zachłysnąć.

Nikt nie podchodził do drzwi. Może to i lepiej, ale zdawał sobie sprawę, że nie wejdzie tymi schodami nigdy więcej. Jeszcze raz nacisnął dzwonek. Rozległ się dźwięk zardzewiały, zakurzony. Rozejrzał się wokół, spojrzał na schody, ciemne i ciche, z brudnymi odrapanymi oknami na każdym podeście. Niczego nie pamiętał, jakby nigdy tu nie był. Ponownie nacisnął dzwonek. Przez chwilę brał pod uwagę możliwość nocowania na schodach w oczekiwaniu, aż ojciec wróci, o ile jeszcze żyje. I wtedy usłyszał kroki, ktoś szurał nogami, ale dość energicznie, po drugiej stronie drzwi.

– Kto tam? – Przygaszony, prawie nieznaną głos. Zamiast odpowiedzi jeszcze raz nacisnął dzwonek. Usłyszał szcęk łańcuchów i zasuwek i drzwi się otworzyły. Światło dochodzące ze środka było smutne, a mężczyzny, który na niego patrzył, nie poznawał. – Czego chcesz?

Od tak dawna tak bardzo czekał na ten moment, a teraz nie wiedział, co powiedzieć.

– Dzień dobry.

Mężczyzna przyglądał mu się z wyraźnym wysiłkiem. Wyciągnął okulary z kieszeni, założył. Patrzył na niego, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Tak? – wymamrotał zniecierpliwiony.

– Obiecałeś, że będziesz mnie odwiedzać co niedzielę. W ciągu dwunastu lat było wiele niedziel.

– Kim jesteś?

– I co niedzielę mówiłem sobie dziś, tak, dziś na pewno przyjdzie i przyniesie mi watę cukrową.

– Cholera, ty jesteś ten tam. Ale urosłeś.

– Tak. I dzisiaj myślałem tato przyjdzie i zrobimy sobie zdjęcie, tak jak moi koledzy. Mogę wejść?

– Jak się masz? – zapytał mężczyzna, niezainteresowany odpowiedzią.

– Co niedziela czekałem, że tym razem na pewno przyjdiesz. Ale nie. Byłeś pewnie bardzo zajęty, co?

– Jeszcze jak.

– Mogę wejść?

– Nie. Mam bałagan...

– Chodźmy na obiad do tego baru na dole. Dali mi pięćdziesiąt peset.

– Cholera, rozpuszczają cię.

– To po to, żebym sobie poszukał pracy.

– Ach, rozumiem...

– Tak.

– Bardzo wyrosłeś.

– A ty bardzo się postarzałeś.

Patrzył i czekał, aż ojciec przejmie inicjatywę.

– I co? – zapytał zniecierpliwiony. Mężczyzna stał nieruchomo jak strach na wróble, trzymając się drzwi, jakby się obawiał, że syn się na niego rzuci. Ty przynaglił. – Masz mi coś do zaproponowania, tato?

- Słuchaj, ja teraz jestem bardzo zajęty. Myślę, że...
- Co się stało z mamą? Dlaczego się zabiła?
- Nie warto rozgrzebywać starych ran, możesz mi wierzyć.
- Dlaczego popełniła samobójstwo?

Mężczyzna przełknął ślinę i próbował zamknąć drzwi, ale Ty przeszkodził mu energicznym ruchem.

– Ożeniłeś się ponownie? Mam rodzeństwo?

– Nie twój interes. – Ruszył ręką, jakby chciał zmasać tablicę. – Przeszłość to przeszłość.

Miał ochotę splunąć mu pod nogi. Wyobrażał sobie trzy czy cztery możliwe reakcje ojca, ale ta była zbyt okrutna i w ogóle nie przysłała mu do głowy. Mężczyzna jeszcze w sile wieku, z okularami zsuwającymi się na czubek nosa, zakurzony, w blasku marnego światła sączącego się z niewietrzonego mieszkania zalatującego stęchlizną, który mu mówi, że przeszłość to przeszłość... Nie tego oczekiwał. Ty odwrócił się na pięcie i nawet nie splunął, nic nie powiedział, nie zaklął, zdusił w sobie całą wściekłość, pół na pół z bólem. W mieszkaniu piętro wyżej ktoś grał na pianinie. Zaledwie pół tuzina stopni niżej usłyszał, jak drzwi się zamykają, niemal bezszelestnie, nieśmiało, ale zamykały się na zawsze. Wtedy poczuł w oku łzę, niechcianą, bo przecież mężczyźni nie płaczą.

Szybko podjęliśmy decyzję. To było niestety zbyt proste. Toni, Ton, Tomàs i ja staliśmy przed zamkniętymi drzwiami, czekając kilka sekund, aż odzyskamy równy oddech, przyspieszony po pokonaniu tylu schodów. Nie zawracaliśmy sobie głowy sporządzaniem doskonałego planu i gdy tylko Henricus otworzył drzwi, rzuciliśmy się do środka jak burza, przewróciliśmy go na ziemię, zamknęliśmy drzwi i powiedziałem ściągaj gacie. Mężczyzna patrzył na mnie z niedowierzaniem. Ponieważ tkwił nieruchomo jak pomnik, Ton ściągnął mu spodnie, a Henricus zaczął joczyć, co do diabła, ja pierniczę, kurwa, co robicie i takie tam. Ustawiliśmy go tyłkiem do góry i Tomàs powiedział teraz się przekonasz i rozpiął spodnie. A to wszystko budziło w nas taki wstręt, że chcieliśmy skończyć jak najszybciej, można było się porzygać. Tomàs niczego nie dokonał. Zapiął spodnie i kopnął Henricusa w głowę. Ponieważ nie ogarnął nas bojowy entuzjazm, uznaliśmy, że to dobry pomysł i z liturgicznym namaszczeniem zaimprovizowaliśmy, chodząc wokół skulonego, dyszącego, bezbronnego Henricusa, wymierzenie kary, jeden kopniak w głowę za każdy raz, kiedy się do nas dobierał, masz za swoje.

– Aj, aj, aj, aj! – Jakby jedno aj nie wystarczyło.

– Za każdy raz, kiedy nas ciągnąłeś za uszy.

– Aj! – Przyznaję, że teraz ja go pociągnąłem za oboje uszu. A kiedy próbował się podnieść, Tomàs tak mu przywalił, że znów padł jak długi, jęcząc, i nazwał go zasranym skurwysynem. A ja nie mogłem się powstrzymać, żeby go nie uderzyć z liścia.

– Gotowe? Zadowoleni? – zapytał Ty, patrząc na pozostałych.

Uznaliśmy, że tak. Wyszliśmy z mieszkania i zostawiliśmy Henricusa we łzach, na ziemi, duszącego się własnymi smarkami i rżęącego obrzydliwie. Można powiedzieć, że wyrównaliśmy rachunki z częścią naszej przeszłości.

Później dowiedzieliśmy się, że znaleźli Henricusa martwego nazajutrz po naszej wizycie i żadnemu z nas nie było go żal. Wręcz przeciwnie: popatrzyliśmy na

siebie z błyskiem w oku. Ale podjęliśmy decyzję, że nie będziemy się spotykać przez parę lat, żeby nam nie zaszkodził ten zasrany wszarz i takie tam. Tak: rozstaliśmy się, zawierając coś w rodzaju paktu milczenia, a ja zacząłem pracować w drukarni.

Dlatego bardzo się zdziwiłem, że policja potrzebowała zaledwie paru tygodni, żeby po mnie przyjść do pracy, właśnie wtedy, kiedy zaczęła mi się podobać nauka zawodu zecera, jedyna rzecz, jaką zainteresowałem się w życiu. Śmierć Henricusa wywołała we mnie autentyczną radość, ale szybko przygasła, bo przychodzi taki moment, że radości i nienawiści nie możesz dłużej utrzymywać w napięciu i ogarnia cię obojętność, i wszystko ci zwisa, jakbyś się pogrążył w nieustającej mgłę, która cię zobojętnia na śmiech i łzy.

Milczenie uskrzydłych zakonnic, sadyzm Henricusa, głupota Ignatiusa i tumiwizizm ojca oduczyły mnie raz na zawsze współczucia. Ale jedna sprawa nie dawała mi spokoju: jak to możliwe, że tylko mnie nakryli? Podczas rozprawy zauważyłem, że sędziowie i adwokaci mają gdzieś Henricusa, uskrzydłone zakonnice, mnie i całą ludzką nędzę za kratkami. W ogóle nie zapytali o współników, bo wszystko przebiegało tak szybko, że wydawało się, jakby tylko chcieli zatkać jakąś dziurę. Jako jedyny świadek oskarżenia składał zeznania triumfujący Ignatius, który jakimś sakramenckim przypadkiem wybrał się w odwiedzin do swojego przyjaciela i mistrza nazajutrz po naszej wizycie; zastał go jeszcze przy życiu, a tamten skurwysyn, zanim kopnął w kalendarz, zdążył wyśpiewać moje nazwisko, i okazuje się, że tylko moje. Sędzia ani razu nie zapytał o współników, więc unikałem konieczności wymienienia Tona, Toniego i Tomàsa. Skazali mnie na szesnaście lat, biorąc pod uwagę nie wiem jakie okoliczności obciążające i łagodzące, które sędzia dodawał i odejmował, zaglądając do leżącej przed nim kartki. I ani słowa o moich przyjaciółach, jakby się zapadli pod ziemię. Ty poczuł się bardzo ważny, bo chronił ich swoim heroicznym milczeniem. A oni, cała trójka, zniknęli i nawet mu nie podziękowali. Zesrali się ze strachu. Dlatego kiedy już od dawna siedział w więzieniu i miał dość rozmyślenia w samotności, zdziwiła go nieoczekiwana wizyta, pierwsza, jeśli nie liczyć adwokata z urzędu, który mu opowiadał, że złożą apelację i inne duperele, i do którego nawet się nie odezwał, bo było mu wszystko jedno. Przeżył na wolności tylko parę tygodni, kiedy pracował w drukarni, natomiast w więzieniu czuł się przygnębiony, bo kraty tu mieli

solidniejsze niż w bidulu. A teraz pojawił się nowy powód, żebym się wszystkim jeszcze raz zainteresował.

– Hej, Ty.

– Hej.

Cisza. Strażnik gdzieś daleko, nie mógł niczego słyszeć, Ty z obojętną miną. A Tomàs powiedział ej, pedale, to ja. I wtedy Ty spojrział mu w oczy i zapytał gdzie byliście? Jak to się stało, że was nie przyskrzynili?

– Dziękuję, że nas nie wydałeś.

Ty milczał, bo teraz strażnik przechodził obok. Kiedy się trochę oddalił, patrząc mu w oczy, zapytał no już, wał, który mnie zdradził?

– Co takiego?

Uśmiechnął się po drugiej stronie stołu i powtórzył który mnie zdradził. To byłeś ty?

– Nikt cię nie zdradził. Ten pieprzony Ignatius znalazł tamtego skurwysyna jeszcze żywego.

– To wiem. Jak to się stało, że tylko mnie oskarżył?

– Nie wiem. Naprawdę, Ty. – I powtórzył jak w litanii: – Dziękuję, że nas nie wydałeś.

– A ty po co przyszedłeś?

– Nie cieszysz się?

– Nie cieszę się, że muszę tu siedzieć tyle czasu. A po was to spłynęło. Wiesz, że ty pierwszy przychodzisz mnie odwiedzić?

– Nie chcemy się narażać.

– Sracie w gacie.

Strażnik znów przeszedł obok. Cisza.

– Przykro mi.

– A inni?

– Nie widzimy się za często. Tak naprawdę... – Niezręczne milczenie. – Dopiero niedawno dowiedziałem się, że cię zatrzymali. Niedawno o wszystkim się dowiedziałem.

– A ja mam w to uwierzyć? Po co przyszedłeś?

– Żeby ci pomóc wyjść na wolność.

– Cha, cha, cha – powiedział z powagą. – Rozumiesz? Cha, cha.

– Ale ja naprawdę. Ty. Mam doskonały plan.

– Jakbym to już gdzieś słyszał.

– Ale tym razem naprawdę. Poznałem takiego jednego, który może tu wchodzić i wychodzić jak...

Zamilkł, bo strażnik znów objawiał chęć spaceru obok nich.

– Jest mi bardzo, bardzo, bardzo przykro, Tomàs.

– Winny jest Ignatius.

Zostało im jeszcze siedem minut. Tomàs w chwilach, kiedy strażnik podpierał ścianę z tyłu, wyłożył po cichu swój doskonały plan. Wszystko sprowadzało się do tego typka, który mógł swobodnie wchodzić i wychodzić.

– Kto za to zapłaci?

– Ja. Czuję, że mam wobec ciebie dług. I dobrze mi się powodzi.

– A inni?

– Też się dorzucą. Wiedzą o wszystkim.

Ty milczał. Odezwał się po dłuższej chwili myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi. Aż do dziś nic o was nie wiedziałem. Gniję tu już dwa lata.

– Masz rację, masz rację... – Z naciskiem: – Kurwa, ale dziś przyszedłem cię odwiedzić, nie?

– Robiliście dokładnie to samo co ja.

– Wiem... Dlatego teraz przyszedłem, żeby ci pomóc.

– Skurwysyny. Ja – westchnął – sam nie wiem, co bym zrobił na waszym miejscu.

Zadał sobie trud, żeby się skoncentrować na myśleniu, zasłaniając twarz dłońmi, jakby płakał. Pięć sekund.

– Tak... – wymamrotał po dłuższej chwili. – Może się udać. Ale jest jeden słaby punkt.

– Jaki?

– Mam klaustrofobię.

– Cholera! Wytrzymasz.

- Nie. To silniejsze ode mnie.
- Uwierz mi, to jedyny...
- Niemożliwe. Wymyśl coś innego.
- Nie ma nic innego!
- Kurwa!
- Tak.
- Co słyszeć u Tona i Toniego?
- Ton pracuje jako kucharz. Toni zarabia kupę kasy na kradzionych samochodach.
- A ty?
- Studiuję.
- Co studiujesz?
- Historię i takie tam. I bawię się w wieśniaka.
- Już wiem, skąd te rumieńce.
- Musisz się zdecydować, bo kończy się widzenie i zaraz mnie stąd wyproszą.
- Czas minął, proszę pana – powiedział strażnik, jakby usłyszał słowa Tomàsa. Postąpił parę kroków do przodu, w kierunku gościa, a więźniowi wskazał kierunek. – A ty do środka. Ruchy.

Ty obrzucił wzrokiem przyjaciela i podczas gdy dwaj funkcjonariusze rewidowali go, żeby sprawdzić, czy nie ukrywa pilników, materiałów wybuchowych albo wytrychów, z rękami do góry i w rozkroku, uśmiechnął się i powiedział głośno i wyraźnie, niczym bohater, posłucham cię, Tomàs, chociażbym miał umrzeć ze strachu.

Po minie Tomàsa widać było, że zrozumiał. Zobaczył jeszcze, jak zielone drzwi połąkły jego przyjaciela.

Plan był daleki od doskonałości. Ty o mało się nie udusił, wciśnięty w śmieci i inne gówna na ciężarówce, bo najwyraźniej nie wzięli pod uwagę, że w tym dniu po raz pierwszy zastosowano prymitywny tłok, który ugniatał obrzydliwości, ale także uciekinierów, żeby zrobić więcej miejsca na inne obrzydliwości i innych uciekinierów. Jakimś cudem, który przypisywał siostrze

Matilde, udało mu się wspiąć na samą górę paki i nikt go nie zauważył, ponieważ, tak jakby ucieczka była zaplanowana co do milimetra, tamtej nocy rozpętała się ulewa, strażnicy dbali przede wszystkim o to, żeby ich nie zmoczyło, a ponadto szlag trafił światło, a mazut potrzebny do baterii dyrektor więzienia odsprzedał okolicznym chłopom za cenę korzystną dla obu stron. Kiedy tylko ciężarówka się zatrzymała, udało mu się z niej wydostać. Był wolny; w ciemności, ale wolny. Cały w gównie i skórkach banana, ale wolny jak wtedy, kiedy opuścił internat i czuł się królem świata. Przez kilka sekund zastanawiał się, czy jego zamiar to nie głupota. Najrozsądniej byłoby nie zawracać sobie głowy byle czym, posłuchać nieśmiałej rady rozsądku i uciec do Francji, odczekać parę miesięcy, wałęsając się po lesie i odżywiając orzeszkami pinii. Wolny. Odczekać, aż osłabnie zarówno determinacja tych, którzy go będą szukać, jak i gniew, który w nim płonął. Jednak nie. Również nie skorzystał z możliwości zaciągnięcia się na statek, jeden z tych, gdzie się nie stawia pytań desperatom proszącym o pracę. Też nie. Wróciłem do Barcelony, żeby być jak najbliżej tragedii. Nie czekając na lato.

Ignatius otworzył drzwi i zapalił światło. Rzucił marynarkę na łóżko i wtedy podniósł głowę. Gwizdek, który trzymał w ustach jak niemowlę smoczek, upadł na ziemię. Z krzesła przy oknie uśmiechał się do niego ten odrażający Ty.

– Co tu, do cholery, robisz?

– Jeszcze do ciebie nie dotarła wiadomość?

Zanim Ignatius zdążył zareagować, Ty wstał, zamknął drzwi kopniakiem i złapał mężczyznę za kołnierz, z całej siły. Ignatius zaczął wymachiwać nogami, bo nie sięgał ziemi.

– Czego chcesz?

Ignatius wskazywał szafę jedną ręką, a drugą bezskutecznie próbował wyzwolić się z uścisku. Ty zbliżył usta do jego ucha i powiedział będąc rozluźniał chwyt powoli, żebyś mógł mi opowiedzieć tę interesującą historię. Zabiję cię, jeśli będziesz próbował krzyczeć.

Chciał potwierdzić, że rozumie, ale nie mógł ruszyć głową. Ty powoli rozluźniał chwyt, aż w końcu pozwolił mu stopami dotknąć ziemi. Ignatius mógł wreszcie zaczerpnąć powietrza.

– Jeżeli zaczniesz krzyczeć...

Mężczyzna kręcił głową, że nie, że nie, powoli odzyskując oddech. Ty rzucił go na łóżko, jak worek kartofli, podniósł z podłogi gwizdek, do którego był przypięty klucz, i przekręcił go w zamku. Tymczasem mężczyzna obmacywał szyję i patrzył spode łba na intruza. Wytrwali tak minutę, szacując swoje możliwości, pod zasłoną milczenia, która obejmowała ich obu. Tak jakby na świecie nie było nic ważniejszego.

– Przyszedłem cię zabić.

– Nie. Ja...

– No jasne: oskarżyłeś mnie niechcący.

– Nie, nie... Jeśli mnie nie zabijesz, obsypię cię forszą.

- Przecież jesteś biedny jak mysz kościelna.
- Mam dużo kasy.
- Dlaczego na mnie doniosłeś?
- Dam ci dużo pieniędzy i będziesz mógł uciec.
- Dlaczego na mnie doniosłeś?
- Enric był moim przyjacielem.
- Jaki znowu Enric?
- Henricus.
- Ładnych sobie dobierasz przyjaciół!
- Powiedział, że to ty go pobiłeś.
- Ja sam?
- Tak.

Ty rzucił się na Ignatiusa, ale ten mu się wyślizgnął na drugą stronę łóżka. Nad jego głową wisiał Chrystus ukrzyżowany; obojętny na to, co się działo, oglądał własne stopy.

– Dlaczego kłamiesz? – Zbliżył się do niego. – Wszystko jedno, i tak cię zabiję.

- Oddam ci wszystkie pieniądze. Wszystkie.
- Nie śmierdzisz szmałem.
- Bez kasy nie możesz się ukrywać.
- Dość już tego gadania.
- Jestem bogaty! – krzyknął wystraszony. – Dam ci wszystko i spieprzaj.
- Gdzie trzymasz te swoje pieniądze?
- W szafie. – Wskazał mebel, podnosząc się na łóżku.
- Nie ruszaj się!

Ty podszedł do szafy, cedząc przez zęby nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Otworzył. Ubrania na wieszakach. Dwie szuflady z bielizną.

– Faktycznie, kupa kasy.

Ty wyciągnął nóż z torby i powiedział to już koniec.

– Tam w środku! – krzyknął zdesperowany Ignatius.

Wskazał ścianę szafy. Podszedł powoli, z rozłożonymi rękami, żeby było

jasne, że nic nie kombinuje. Zdjął deskę, która wyglądała jak boczna ścianka. Od góry do dołu cała powierzchnia była wytapetowana starannie złożonymi i ściśniętymi banderolką pakietami gotówki. Bogactwo urodzaju banknotów... banknotów... kurwa mać.

– Wszystko dla ciebie, jeśli darujesz mi życie.

– Skąd to masz?

– Twoi wielcy przyjaciele, którym nieźle się powodzi, płacą mi co miesiąc.

– Z jakiej niby racji?

– Za to, że o nich zapomniałem, składając zeznania.

– Kurwa mać...

– Co miesiąc, regularnie jak w zegarku. Trzydziestego, zapłata za moje milczenie.

Aż mu się oczy zaświeciły. Uśmiechnął się lekko, chyba ze strachu.

– Bierz wszystko i spadaj – powiedział i usiadł z niepewną miną na łóżku.

– Moi przyjaciele są bogaci? Tomàs bawi się w rolnika.

– Jest rolnikiem. Odziedziczył gospodarstwo, które jak widać, dobrze prosperuje. A Ton pracuje w modnej restauracji. Ten trzeci jest mechanikiem i też zgarnia kasę. Nieźle się urządzili.

Ty potrzebowałeś dłuższej chwili, żeby przetrwać dławiącą go zawiść. Poczł zapiekłą furię za cały stracony czas, kiedy siedział w celi z założonymi rękami, wpatrując się w odrapaną ścianę. Musiał się skupić, bo nie skończył jeszcze roboty.

Ignatius, nie podnosząc na niego oczu, zapytał:

– Jak udało ci się uciec?

– Biegłem szybciej niż strażnicy. Szedłem pięć dni, nocami, żułem żołędzie, kradłem kury, żeby wypić ich krew, coś wspaniałego, i oddalałem się od więzienia. Cały czas skupiałem się na myśleniu o tobie. Wiedziałeś, że uciekłem?

– Tak.

– Jestem tu już od dwóch dni, słuchając twojego zakichanego gwizdka. Zdążyłem się przebrać i najeść...

– Policja przetrząsnęła mieszkanie, żeby sprawdzić, czy nie przyszło ci do

głowy...

– Wydaje mi się, że w tej chwili znam lepiej niż ktokolwiek wszystkie zakamarki całego budynku. A ty przez cały dzień jazgoczesz tym twoim gwizdkiem...

Ignatius wskazał ręką szafę, żeby wreszcie skończyć.

– Wszystko twoje. Zgoda?

– Jest pewien problem.

– Jaki?

– Że jak stąd zniknę z forszą, ty na mnie doniesiesz.

– Przysięgam na moją matkę...

– Nie rozśmieszaj mnie.

Był tak szybki, że Ignatius nawet się nie zorientował. Kątem dłoni uderzył go w jabłko Adama. Upadł jak worek szmat. Położył go na łóżku i nawet zadał sobie trud, żeby go umościć w pościeli, jakby spał. Przetrzęsnał szafę, aż znalazł worek z brudną bielizną. Wyrzucił zawartość.

Z pełnym workiem pokonał drogę powrotną i wrócił do karnej celi, gdzie spędził dwa dni, odzyskując siły nadwątlone podczas ucieczki; stamtąd robił wyprawy do kuchni i w poszukiwaniu odzieży, aż stał się nowym człowiekiem. Opuścił definitywnie internat przez okno w pomieszczeniu kotłów, w którym od lat nie wstawiono szyb.

Kiedy traktor się zatrzymał, żeby zmienić kierunek, jakiś cień nagle otworzył drzwi i wtargnął do kabiny. Tomàs krzyknął przerażony.

– Cholera, Ty! Przestraszyłeś mnie.

Ty usiadł obok Tomàsa. Traktor nadal orał, a oni patrzyli przed siebie.

– Jak się cieszę, Ty. Widzę, że sobie poradziłeś.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. W końcu jesteśmy przyjaciółmi, nie?

– Nie powiedziałeś mi, że Ignatius trzyma was za jaja i o to mam do ciebie pretensje.

Tomàs nie odpowiedział. Patrzył na wprost, pilnując, żeby równo zaorać brzdę. Kilka przepiórek ukrytych na ściernisku spłoszyło się do lotu.

– Rozmawiałeś z nim?

– Tak. Doszliśmy do porozumienia.

– Jakiego?

– Żeby zostawił was w spokoju.

– Nie znasz go. Nie pójdzie na to.

– Pójdzie. – Spojrzał na przyjaciela, który cały czas prowadził, patrząc przed siebie. – Po to wyciągnąłeś mnie z więzienia, żebym go załatwił.

– Co ty mówisz, stary!

Cisza wzdłuż całej jednej brzdy. Potem łamiącym się głosem:

– Zrobiłeś to?

– Nie żyje. Śmiercią naturalną.

– Cholera... No dobrze... – Traktor podskoczył, widocznie natrafił na jakiś uparty kamień. – Ty wydawałeś się jedyną osobą zdolną to załatwić. Dzięki.

– A dlaczego chcieliście go zlikwidować?

– Bo ciebie skrzywdził.

– Chyba raczej dlatego, że was szantażował.

– No dobrze... Zgoda, tak, dlatego też. To tak, jakby się żyło z kamieniem nad głową.

– Potrafię to sobie wyobrazić.

– Wynagrodzimy ci to.

– Nie wątpię: od tej chwili będziecie mi wpłacać na to konto taką samą kwotę, ale nie co miesiąc, tylko każdego piętnastego i każdego trzydziestego.

Włożył mu złożoną kartkę papieru do kieszonki koszuli. Zaorali kolejną bruzdę w milczeniu.

– A jak nie?

– Sam sobie odpowiedz na to pytanie.

Tomàs nagle zatrzymał traktor. Spojrzał Tobie w oczy. Silnik na wolnym biegu mrucał jak drapieźnik, który szykuje się do ataku.

– Mogę donieść, że to ty zabiłeś Ignatiusa.

– I tak wszyscy mnie o to podejrzewają. Lepiej pomyśl, że jutro jest piętnasty, czas na pierwszą wypłatę.

– Nie chciałbym tego robić, ale mogę cię zadenuncjować natychmiast. – Wcisnął pedał gazu, tak jakby chciał podkreślić wagę groźby.

Ty zdecydowanym ruchem przekręcił kluczyk w stacyjce. Pojazd jęknął, zatrzymał się i zapadła cisza. Jakaś sroka w pobliżu wydała zgorzony krzyk.

– Nie groź mi, Tomàs. Jesteś żalorny. – Oddał mu kluczyki.

– Nie zdajesz sobie sprawy, że mogę na ciebie donieść w każdej chwili?

– Widzę, że wymyśliliście doskonały plan. Ale nie wzięliście pod uwagę, że jestem kamikadze.

– Kto taki?

– Że jeżeli to jest wasz doskonały plan, wszyscy trzej zginiecie z mojej ręki. To będzie zabawne. Uprzedź Tona i Toniego. Jeden więcej, jeden mniej nie robi mi różnicy. Jutro jest piętnasty i czekam na pierwszą wypłatę.

Z tuzin wesołych wróbli przystąpiło z entuzjazmem do badania, jakie niespodzianki kryje dopiero co zaorana ziemia.

– A jak nie?

– Nie dam wam nawet pięciu dni. Jednego po drugim. Jeszcze nie wiem,

w jakiej kolejności. Pif. Paf. Pum.

Otworzył drzwi i wyskoczył z traktora. Rozejrzył się.

– Pięknie to wszystko wygląda.

Wskazał Tomàsa palcem.

– Wiesz, bardzo się zmieniłem.

Wróble wzniosły się do lotu, zbulwersowane tym komentarzem.

Oddalając się od milczącego traktora, nie chciał myśleć o tym, że nadzieja, która go opuściła, kiedy trafił do więzienia, być może nigdy już nie wróci. A jeszcze nie dokonał wszystkiego, co sobie zaplanował, żeby się wydostać z niskiej mgły spowijającej jego życie.

Nacisnął dzwonek, ale przez dobrą chwilę nic się nie działo. Nie odpuszczał i wciskał dalej, mimo że irytował go ten dźwięk. Przestał, dopiero gdy usłyszał kroki, tym razem już nie takie energiczne, człapiące po drugiej stronie drzwi.

– Kto tam?

Tak jakby już kiedyś przeżywał tę scenę, a może dlatego, że faktycznie ją kiedyś przeżył, oszczędził sobie dalszego naciskania dzwonka. Zapukał delikatnie knykciami. Usłyszał znajome zdejmowanie łańcuchów i odsuwanie zasuwek i drzwi się otworzyły. Mężczyzna był jeszcze starszy, jeszcze bardziej zagubiony, bardziej nieznajomy.

– Czego pan chce?

– Dzień dobry.

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni okulary. Patrzył teraz na niego, ale i tak go nie poznawał.

– No, słucham. Czego pan chce? – Znów schował okulary do kieszeni.

Ty zrobił krok do przodu i wszedł do mieszkania.

– Ejże, ejże! Co pan robi?

Kiedy już przybysz znalazł się w środku, zamknął za sobą drzwi i stanął twarzą twarz ze starcem.

– Nie słyszałeś o rozprawie? – powiedział, jakby upominał dziecko. – Nie poinformowali cię, że wysyłają mnie do więzienia?

– O kurwa! Ty jesteś ten tam! – Znów włożył okulary, żeby mu się lepiej

przyjrzeć. – Wyrosłeś.

- Mogłeś mnie odwiedzić w więzieniu, nie sądzisz?
- Cholera, więzienie jest dla tych, którzy coś grubego przeskrobali.
- Fantastycznie.
- Czyli już cię wypuścili.
- Tak. Co się stało z mamą? Dlaczego się zabiła?
- Słuchaj, Ty, nie zaczynaj znowu.
- Nie chcesz mi o tym opowiedzieć?
- Nie. Nie twój interes.

Nie mógł nic więcej dodać ani pomyśleć, ani poczłapać w jakimkolwiek kierunku: kątem ręki Ty złamał mu jeden z kręgów szyjnych. Mężczyzna osunął się jak pusty worek. Okulary spadły i narobiły więcej hałasu niż wychudzone ciało padające na ziemię.

Ty pochylił się, żeby się upewnić, że ojciec jest martwy. Potem się podniósł i pozapalał światło w korytarzach i pokojach. Smutne gołe żarówki słabo oświetlały nędzę i bałagan. W jadalni na stole leżała cerata pokryta okruchami chleba. Na kredensie znalazł fotografię w prostej ramce. Kobieta miała spojrzenie jasne i pełne nadziei. Przyglądał się jej przez chwilę i w końcu włożył zdjęcie do kieszeni. Żeby opuścić mieszkanie, musiał przesunąć ciało starego, blokujące drzwi. Na schodach panował półmrok. Wydawało mu się, że z któregoś mieszkania dochodzą dźwięki pianina, jakaś bardzo smutna melodia. A może po prostu to on był bardzo smutny. Po cichutku, nie chcąc przeszkadzać w recitalu, zamknął za sobą drzwi raz na zawsze. Bardzo chciał uronić parę smutnych łez bólu, ale na próżno, bo przecież mężczyźni nie płaczą.

II

NA ZLECENIE

No cóż, proszę księdza, powiedziałbym, że żołnierze zabijają zawodowo. Najbardziej jest tego świadoma piechota: ona może widzieć twarz wroga i słyszeć płacz dzieci. Ci, którzy rzucają bomby, nie czują swądu spalenizny w efekcie ich działania. Oni wszyscy zabijają bezosobowo. Najbliżej mi do snajperów: każdy strzał to jedna śmierć, jak to się mówi, z indywidualną dedykacją. Zawsze z bezpiecznej odległości, za pośrednictwem kuli. Widzą ofiarę, jednak wcale nie muszą jej znać. Ja nie. Ja zabijam z osobistym zaangażowaniem – pracuję z bliska. Zabijam ludzi z imieniem i nazwiskiem, którym wcześniej spojrzałem w oczy. Moja praca tego wymaga. Nie mogę sobie pozwolić na żaden błąd, bo natychmiast straciłbym prestiż. To bezwzględny zawód, bo choć to się wydaje niewiarygodne, jest ostra konkurencja w branży. Dlatego żeby gorzko nie żałować, nie mogę sobie nigdy pozwolić na błąd. Nigdy.

Tak, tak, rozumiem, ale nie: żadnych wyrzutów sumienia. To, co robię, to czysty profesjonalizm. Proszę posłuchać, zabijałem mężczyzn, kobiety, dzieci, psy, konie, staruszków, wszystkiego po trochu, z przewagą mężczyzn w sile wieku. Nigdy nie uważałem, że to jakaś różnica zabić kasjera z za długim językiem czy usunąć dwunastoletnie dziecko, którego istnienie psuło szyki mojemu klientowi.

To oczywiste, że są w życiu ludzie, którzy przeszkadzają; ja ten problem rozwiązuję detalicznie, i po krzyku. A dlaczego im patrzę w oczy? To moja gwarancja. Każdy ma swój styl: mój polega na tym, że muszę mieć absolutną pewność co do obiektu. Wcześniej, w tygodniach poprzedzających czyn, badam co do najmniejszego szczegółu fizjonomię zlecenia, śledzę jego życie codzienne, a nawet zdarza mi się do niego zagadać.

To oczywiste: przy tej okazji patrzę mu w oczy. Czuję się jak wielki pająk.

Tak, jasne: ofiara nie ma świadomości, że jest ofiarą ani że zastawiłem na nią pułapkę, z której już się nie wymknie.

Współczucie, dlaczego? Ta osoba przeszkadza mojemu klientowi i to wystarczy. A kto płaci, ma swoje powody, w które ja nie wnikam. Ograniczam

się do skutecznego wykonania swojej pracy, i tyle.

No dobrze, jak by to powiedzieć: podobnie jak wszystkim, którzy uprawiają podobne zawody, żyje mi się nieźle, nie muszę sobie niczego odmawiać, może tylko trochę dokucza samotność. Pozwalam sobie na romanse, ale czasem kusi mnie ciepło domowego ogniska i ręka, która gładzi po karku, a tymczasem upływa popołudnie i jedynym zajęciem jest obserwowanie, jak pojawiają się niedostrzegalne zmarszczki na twarzy.

Tak, jestem osobą bardzo wrażliwą: rozumiem, że żyje się raz, i z tego powodu przywiązuję wagę do subtelności związków. Na przykład niedawno zdecydowałem się zamieszkać z jedną z moich przyjaciółek.

Tak, tak, związek małżeński. To wspaniała kobieta, która nie pyta, dokąd wyjeżdżam, gdy mówię, że mam robotę, i jestem poza domem cały miesiąc. Ponadto jest podobnie jak ja wrażliwa na sztukę.

Och, proszę tylko pomyśleć, w domu mam całe ściany obwieszane obrazami, głównie sztuka współczesna. A teraz wyjawię księdzu tajemnicę: w pewnym sekretnym miejscu wisi w moim domu *La paysanne* Milleta.

No właśnie: ta, która stała się sławna z powodu...

Nie, nie obawiam się. To mały kapitał, który zmusił mnie do zainstalowania w domu skomplikowanego systemu alarmowego. Prawda jest taka, że stać mnie na to.

Dwa razy w roku. W jakimś wyjątkowym roku trzy akcje.

Nie, wystarczy, aż nadto. Więcej nie, bo nie starczyłoby mi czasu na normalne życie: proszę sobie wyobrazić, że do każdej akcji potrzebuję kilku tygodni badań teoretycznych, a następnie terenowych. Później jeszcze próby i poprawki. W dalszej kolejności akcja i zacieranie śladów, czego nie da się zrobić w pośpiechu. To wszystko zajmuje mi od trzech do czterech tygodni. Czy jestem perfekcjonistą? Niewątpliwie. Ale w tym zawodzie albo jesteś perfekcyjny, albo załatwią cię przy pierwszej wpadce.

Nie, nie, wcale się nie zadręczam; nie warto. Po pierwsze, żyję w zgodzie z samym sobą; po drugie, w zgodzie z tymi, którzy mnie otaczają i których kocham, i wreszcie w zgodzie ze światem. I oczywiście nie boję się żadnych represji, ponieważ mój system zacierania śladów jest tak skuteczny, że nikt nie wie o moim istnieniu. Chcę powiedzieć, że miła starsza pani z Delhi zmarła na

atak serca i żaden członek jej hałaśliwej i licznej rodziny nawet nie podejrzewa, że została zamordowana. Albo tamten chłopiec, którego istnienie komplikowało komuś interesy, miał nieszczęście utonąć w dniu, kiedy nad plażą powiewała czerwona flaga. Oczywiście: swoim ochroniarzom ta rodzina zmyła głowę, ponieważ chłopiec, niezłe ziółko, wymknął się spod ich kontroli i nikt nie wiedział, gdzie się podziewa. A tymczasem dziecko łykało wodę i oczy wychodziły mu na wierzch, ponieważ trzymałem go za kostki pod powierzchnią i nie dawałem mu się wynurzyć. Dopiero po dwóch dniach odnaleźli zwłoki, bo wzburzone morze robi takie niespodzianki.

No, oczywiście! W każdym przypadku muszę zaaranżować odpowiednią sytuację, wymyślić coś w rodzaju powieści, w której pożądana śmierć ma akceptowalne parametry, niepozostawiające wątpliwości i niebudzące podejrzeń.

Co takiego? Proszę sobie nie myśleć, że ja wędruję po świecie z karabinem z celownikiem optycznym i całym tym sprzętem. Na litość boską, na litość boską, toż to już wiek dwudziesty pierwszy!

Jeśli mam być szczery, granica między życiem a śmiercią jest umowna. Ja zajmuję się negocjowaniem jej w pewnych konkretnych przypadkach i robię to w białych rękawiczkach. Co nie znaczy, jeżeli jesteśmy prawdziwymi zawodowcami, że wynegocjowane śmierci są banalne. Proszę mnie zrozumieć, to nie rzeźnia. Jeżeli fabuła, którą wymyśliłem, wymaga śmierci przerażającej, śmierć jest przerażająca, i nie wstydzę się przyznać, że nie wszystko da się załatwić zwykłymi atakami serca.

Niech mnie ksiądz posłucha; uważam, że kultura osobista pomaga mi wykonywać pracę w sposób czysty, dokładny i nieodwracalny. Nie żebym przywiązywał nadmierną wagę do formy – nigdy nie przekraczam granic ani nie przedkładam formy nad treścią. Dla mnie ci zabójcy, którzy pozostawiają rękawiczki, kartę trefla i inne tego rodzaju podpisy, wydają się wzruszająco żałośni, żywcem wyjęci z kart powieści Agathy Christie, i w gruncie rzeczy bardzo im zależy, żeby ich wykryto, żeby byli podziwiani. Moim celem jest nie istnieć dla nikogo. Nie istnieję nawet dla klientów.

Jak ksiądz się domyśla, nie będę teraz opisywał metod, oczywiście w liczbie mnogiej, jakie stosuję, by nawiązać kontakt z klientami, a im umożliwić kontakt ze mną. Tyle tylko mogę powiedzieć, że nigdy nie widzieli mojej twarzy, nie

znają mojego nazwiska ani głosu; nie znają nawet numeru konta. A system, który opracowałem, w każdej sprawie inny, zostaje anulowany po wykonaniu zadania. Po to, żeby żaden z klientów nie stał się dla mnie zagrożeniem, w przypadku gdyby sprawy źle się potoczyły i chciał uniknąć odpowiedzialności. Zabezpieczam się na wszelkie takie okoliczności i dlatego mogę spać spokojnie.

Przepraszam, ale ja nigdy nie mówię o ofiarach: mówię o celach.

Litość, mówi ksiądz? Litość? Oświadczam, że nie mam nic przeciwko moim celom; wręcz przeciwnie, jestem im wdzięczny, bo to dzięki nim mogłem sobie kupić tego pollocka, którym cieszę się już od dawna. Poza wdzięcznością nie czuję żadnego zobowiązania, ani moralnego, ani ekonomicznego, ani sentymentalnego.

No więc działałem na wszystkich kontynentach i zawsze na tych samych zasadach.

Wie ksiądz, dlaczego teraz o tym wszystkim mówię? Co? Przychodzi taki moment, kiedy człowiek poważnie zastanawia się nad emeryturą i wtedy, chcąc nie chcąc, ma się ochotę na szczerą, na opowieść o sobie, chce się wyjść z ukrycia, choćby na moment, zanim człowiek się zamieni w obywatela, który otwiera galerię sztuki, żeby czymś zająć wolno upływający czas. I to wszystko, o czym już wspominałem, płonące ognisko domowe w rytm tykającego zegara.

Ponieważ spowiednik daje najlepszą gwarancję niewyjawienia sekretu.

A więc nie, prawdę mówiąc, wcale nie mam wyrzutów sumienia.

No, zastanówmy się, boża istoto, jak mam mieć wyrzuty sumienia z powodu czegoś, z czego najbardziej w świecie jestem dumny?

Och, nie zależy mi na odkupieniu. Szukałem tylko uważnego słuchacza. Ksiądz jest wyjątkiem od zasad, które aż dotychczas stosowałem w moich akcjach. Nigdy nie mówiłem o sobie, ale wiedząc, że zadanie, które teraz realizuję, jest już ostatnie w mojej długiej i owocnej aktywności zawodowej, mogłem sobie pozwolić na ten kaprys.

Nie, wcale się nie boję, że ksiądz mógłby o tym komuś opowiedzieć, ponieważ wierzę mocno w żelazną zasadę tajemnicy spowiedzi.

Zgoda, ksiądz mógłby się zdobyć na popełnienie tego strasznego grzechu wyjawienia komuś mojego sekretu, owszem. W tym punkcie zgadzam się

z księdzem. Z tego, co wiem, nie byłoby to po raz pierwszy.

Nie trzeba być wierzącym, żeby o tym wiedzieć.

Cóż mam księdzu powiedzieć: jestem dobrze poinformowany.

Dlaczego jestem taki spokojny? Bo ksiądz jest właśnie ostatnim celem w mojej karierze.

Nie chcę księdza obrazić, ale mam nadzieję, że sam ksiądz rozumie: no, nie mogę wyjawić nazwiska klienta, od którego otrzymałem zlecenie.

Mówię, że nie, proszę nie nalegać. Ale mogę oświadczyć z satysfakcją, że w życiu ksiądz by nie uwierzył, że to ten człowiek.

Jakie ksiądz ma szanse? Żadnych. Proszę nawet nie myśleć o ucieczce, bo to nic nie da. Ksiądz jest moim ostatnim celem. Żegnam, to była prawdziwa przyjemność.

III

POLDO

Moje imię Poldo. Nazwiska moich rodziców: Blasi i Calpena. Mój dom to Casa Gargall w Àrreu. Mój zawód: złodziej baranów. Pseudonim: Poldo Gargall. Zostałem złodziejem, bo nienawidziłem roboty w polu, gapienia się przez cały dzień w ziemię, z motyczką czy kosą, ja pierdolę. Przeżywałem dni chwaki, kiedy za moją przyczyną setki baranów zmieniały właściciela, tak że ani pasterze, ani gospodarze niczego nie zauważyli. To delikatna sprawa i wymaga cierpliwości, bo bydłatka należy podkradać powoli i trzeba mieć gdzie je ukryć, zanim trafią do celu. A przede wszystkim musisz mieć dobrego klienta, który je kupi i będzie trzymał z dala od wzroku ciekawskich. Piękna robota, zdrowa, na świeżym powietrzu. Pozwala żyć bez pracy, daje zarobić i poznać świat, od Arcalís i Baro aż po Walencję, od Tavascan do Arrós i Vallat d'Estaon, i Tírvie, od Alins do Llessui, od Tor do Isilu, a jak się bardzo postaram, to aż do dorzecza Flamisellu, na końcu świata. Również do ziem żabojadów. Czasem ukradniesz jedno zwierzątko i musisz drałować dwa dni. A jaka to radość, kiedy docieram do kryjówki w lasanku Perosa z nową sztuką i znajduję tam dwadzieścia owieczek, które spokojnie czekają, aż wyprowadzę je na pastwisko, o mój Boże! To radość trudna do wyrażenia w słowach, ale mam nadzieję, że mnie rozumiecie. Tak dobrze sobie radzę, bo żaden pasterz, choć się chwala, że zna ją ze wszystkich z imienia, nie wie, czy ma dwieście trzydzieści cztery czy dwieście trzydzieści pięć sztuk. Tak czy nie? Zasańcy, nie pasterze. Czasami, jak udawało mi się zgromadzić spore stadko, jeszcze strzygłem bydłatka, zanim przeszły przez szlaban w Aulà, żeby sobie dorobić, sprzedając wełnę po korzystnej cenie komuś, kto nie zadaje pytań. Żyło mi się nieźle bez konieczności brania do ręki motyki, ani sierpa, ani kosy, i nie narzekam. Ale po pogodzie przychodzi burza i wieje wiatr północny, a wtedy łatwo o nieszczęścia. Moje nieszczęście wzięło się stąd, że zostawiłem niedogaszone ognisko i obrzynki sera na widoku. Ten ser podprowadziłem Ricardowi z Alós, z Casa Garlera. Aż trudno uwierzyć, że można być takim gapą. Pewnie dlatego, że po wielu latach łatwego handlowania tracisz ostrożność. Również nie przypuszczałem, że mnie namierzyli. Właśnie od kilku dni trzymałem ze dwadzieścia baranów, skradzionych Caregue de Son, bogatemu

republikaninowi, który chyba tylko Bogu zawdzięcza, że jeszcze żyje, Bogu i przemytnikom; który ma tyle owiec, że nie dałoby rady ich policzyć. Ale okazuje się, że owszem, że ten pieprzony skurwysyn liczy je codziennie. A prócz baranów Caregue trzymałem w kryjówce trzydzieści sztuk podprowadzonych Jednookiemu z Alós, a ten to już na pewno nigdy się ich nie doliczy. Mój błąd polegał na tym, że wyciągnąłem rękę po barany Caregue. Chociaż bym mu zabrał z pół tuzina, wcale by nie zbiedniał, ale to była obraza honoru, jakbym mu nadepnął na jaja, a taki to nie zostawi człowieka w spokoju, dopóki cię nie chwyci mocno za pysk. Mściwy. Dożarty. Stawili się u mnie trzej ludzie Caregue, biegli w tropieniu śladów.

– Szczur – przywitał mnie ten gruby i splunął pod nogi.

– Ejże, niech Bóg ma was w swojej opiece i anioł stróż – odpowiedziałem z uśmiechem, rozkładając ręce na znak wspaniałomyślnej gościnności.

– Że co?

– Niech Bóg ma was w swojej opiece i anioł stróż.

– Cholera, pochwalony! – Odwrócił się w stronę tamtych dwóch milczków. – Sprawdzajcie znaki baranów i zaznaczcie te, które ich nie mają.

Obaj milczkowie oglądali i przesuwali owce. Prawie dwadzieścia miało wypalony znak na udzie. Nie wiedziałem, że parę miesięcy temu Caregue z myślą o takich złodziejach jak ja kazał wypalić mały znak w trudnym do wypatrzenia miejscu. Dwaj milczkowie od razu wypalili ogniem znak na owcach Jednookiego, który nigdy nie zadał sobie trudu, by oznaczyć jakąś sztukę, bo uważał, że wszystkie owce w Pallars są jego. Tymczasem tamten waśniak obserwował mnie, przeżuwał jakieś zielsko między zębami, uśmiechał się i myślał sobie nie wiadomo co.

– Pięćdziesiąt trzy barany w zagrodzie! – krzyknął jeden z milczków. – Teraz wszystkie należą do Caregue.

– Oj, oj, oj... – mruknął ten gruby. – To już drugi raz, Poldo. – Zamilkł, bo liczył bardzo powoli. W końcu powiedział: – Pięćdziesiąt trzy barany to sto batów.

– To zaczynajcie, bo mnie się spieszy. – Zgrywałem chojraka.

– Spieszy ci się? A dokąd?

Karbowy odwrócił się do swoich ludzi, żeby się ze mnie naśmiewać, a oni

dołączyli do kpin z ochotą.

– Muszę oddać Jednookiemu jego owce – oświadczyłem. – Czeka na mnie.

– Słyszeliście, milczkowie?

– Tu nie ma owiec Jednookiego. Ani jednej.

– Kto mi je podprowadził? – Rozglądałem się wokół trochę dla zgrywy jak ksiądz Joan z Àrreu, kiedy głosił kazanie z ambony i patrzył wokół, szukając diabła wśród ludzi. – Na pewno gdzieś w pobliżu czai się paru złodziei.

Prawda jest taka, że gubi mnie język. Za długi. Tym razem zgubił mnie na całego, bo karbowy zdjął z ramienia strzelbę i wycelował, nie przestając przeżuwać zielska ani się uśmiechać i myśleć sobie nie wiadomo co.

Wiedziałem, że przyszłość mam czarną jak sadza. Ale nie mogłem sobie darować zaczepki, że Caregue to pieprzony skurwysyn i pieprzonym skurwysynem jest każdy z jego zasranych najemników, którzy wykonują za niego brudną robotę.

Ja tylko chciałem powiedzieć strzelaj, do diabła, bo już walę w portki ze strachu i za nic w świecie nie chciałem tu się posrać. Ale zamiast wyłożyć kawę na ławę, wyszła mi gadka jak u poety czy notariusza i w miejsce słów strzelaj, do diabła, powiedziałem to o pieprzonych skurwysynach, i muszę przyznać, że zgrabnie wyszło.

Karbowy, któremu obce były takie niuanse, wystrzelił z odległości paru kroków, celując prosto w brzuch. Roztrzaskał mi worek z kizkami, a wszystko wylało się na ziemię. Pobrudziłem łękę i parę jagniąt. Za blisko podeszły i dostało im się jak maleństwu, które chrzczą w kropielnicy w kościele Matki Boskiej Śnieżnej, znakiem mojej krwi. Ale w portki się nie posrałem.

Pochowali mnie dwie stopy pod ziemią, koło drogi na Montgarri, w pośpiechu, w milczeniu, tylko pod nosem przeklinali i wyrzekali na gównu, które po mnie zostało. Potem zabrali pięćdziesiąt trzy owce i zostawili mnie samego. Ostatnie beczenie, jakie słyszałem, musiało być wtedy, gdy słońce chowało się za Coma albo za lasem Benabé. Powoli, podczas wielu dni i wielu miesięcy, zamieniałem się w wilgotną ziemię.

Nie wiem, ile czasu minęło. Pod ziemią wszystkie dni są ciemne i mijają szybciej, a może wolniej, sam nie wiem. Musiało upłynąć dużo czasu, zanim usłyszałem pewnego dnia, że kopia blisko mojej nogi czy tego, co z niej zostało.

To pewnie fretka albo wygłodniały lis, pomyślałem, i przestraszyłem się, że mnie pogryzie. Ale natychmiast usłyszałem przekleństwa i krzyki, których nie pojmowałem. Ja z żabojadami po drugiej stronie granicy w Aulà czy w Salau dogadywałem się, bo mówią jak Aranejczycy. Ale krzyki tamtych wydawały się kastylijskie, a za kastylijskim to ja nie nadażam, za szybko mówią. Kiedy się nad tym zastanawiałem, położyli obok mnie pięciu młodych mężczyzn. Znałem jednego z nich: to był Zidro z domu Juliany de Borén, najstarszy z rodzeństwa z tej rodziny, ode mnie dużo młodszy. Ale miał kulę w głowie, ten urwipoleć. Potem zauważyłem, że pozostali czterej goście też mieli dziury na czole i byli mało rozmowni.

Czas płynął powoli, a może szybko. Wszyscy nowi, cała piątka, też wkrótce zamienili się w wilgotną ziemię. I nie udało mi się nawiązać z nimi ani jednej porządnej rozmowy. I tak leżeliśmy dłuższy czas, ten czas, który płynie pod powierzchnią. Aż pewnego dnia, a może pewnej nocy, zaczęli rozgrzebywać piasek nad nami. Znow pomyślałem o dzikich zwierzętach, może nawet o niedźwiedziu, i znow się przestraszyłem, że mnie ugryzie, choć prawdę mówiąc, nie było już czego gryźć. Ale i tym razem nowi przybysze nie kwapili się do jedzenia. Przyszło mi na myśl, że może mamy gości – nowych przybyszów z kulą w głowie. Usłyszałem zgrzyt szpadla usuwającego ziemię. I kilof, który stukał z niewielką siłą. Aż wreszcie ktoś, jeden z tych, co dużo krzyczeli, wydobył mnie na powierzchnię i oślepiło mnie światło. Wyciągnęli też moich towarzyszy i nas wszystkich obfotografowali. Drapali mnie po łysinie pędzelkiem, pewnie po to, żeby usunąć kurz. A po chwili przyprowadzili do nas trzy panienki, które nas oglądały z uroczystą miną i rozplakały się ze wzruszenia. Nie rozpoznałem żadnej z nich. Nie pytając mnie o zdanie, wyrwali mi kawałek kości, a potem nas przykryli, nie wiem, ziemią czy jakimś płótnem. Od czasu do czasu przychodzili różni ludzie, oglądali nas, robili zdjęcia i o czymś rozmawiali, ale nie wiem o czym, bo po długim przebywaniu pod ziemią człowiek słabnie, przestaje rozumieć ludzi i prawie ich nie słyszy. Przyszło więcej kobiet i jeszcze jakiś stary człowiek. I znow zdjęcia, jak w zakładzie Matiesa Rafela z Sort, ale bez takich wymagań, że trzeba trzymać się prosto, założyć świąteczne ubranie i patrzeć, jak ptaszek wylatuje, żadne takie. Kiedy byłem mały, już prawie zrobili mi zdjęcie, ale nic z tego nie wyszło, a teraz łysy, i proszę.

I pewnego dnia przyszli jacyś oficjele i mnóstwo gości. Wygłosili przemówienia, po czym starannie przykryto nas ziemią, która dotąd nam towarzyszyła. Przestałem słyszeć, co mówią. Ale zauważyłem, że postawili płaski kamień tam, gdzie spoczywaliśmy. Po wielu dniach czy miesiącach, czy latach, sam nie wiem, udało mi się odczytać, co tam stało napisane:

Grób Borda de Perosa

Tu spoczęły na zawsze szczątki następujących osób:

Jordi Gasset Casadevall z domu Gorró d'Isil, rolnik, 38 lat

Lliser Sansa Barlabé z domu Morosa d'Alós, rolnik, 57 lat

Isidre Trivió Pena z domu Juliana de Borén, 25 lat

Jaume Lamargue Riu z domu Magiego d'Isavarre, kowal, 41 lat

Narcís Barlabé Giralt z domu Cardeta d'Isil, rolnik, 33 lata

Rolnik nieznany

Bohaterowie, ofiary Wojny Domowej, zamordowani przez wojska frankistowskie 10 maja 1939 roku. Niech przyszłe pokolenia zachowają w pamięci tych dzielnych i prawych męczenników.

Borda de Perosa, 10 maja 2002

Ja pitolę – całe życie robiłem wszystko, żeby nie być rolnikiem. Chcecie wiedzieć, co o tym myślę? Wolałbym, żeby tam, gdzie mowa o mnie jako o nieznanym rolniku, napisali: Poldo Gargall z Àrreu, 43 lata. A obok: „Najlepszy złodziej baranów we wszystkich okolicznych dolinach”.

IV

BUTTUBATTA

Pokój jest przestronny, wysoki. Wszystkie ściany wytapetowane książkami. Gospodarz wchodzi do środka i rozgląda się zaniepokojony wokół, z fajką uniesioną do góry niczym kierunkowskaz. Wydaje się, że już nie pamięta, po co przyszedł. Żeby odświeżyć pamięć, patrzy na biurko, na telefon, na notatnik. Rozgląda się i przez chwilę skupia uwagę na żółtym grzbiecie *Podręcznika dla inkwizytorów*, wydanie z Antwerpii, który kupił dziesięć czy dwanaście lat temu, kiedy jeszcze żył sobie spokojnie, kiedy nikt nie posiał w jego duszy piekła wątpliwości, wyrażającego się w tych nachalnych słowach to stanie się teraz, zaraz, teraz ty. Gospodarz o tym nie wie, ale ogląda właśnie scenę zbrodni, która na razie jest wspaniałą, spokojną biblioteką z wydaniem bibliofilskimi, dwoma inkunabułami i innymi drukarskimi cudami. A także z książkami pospolitymi, a nawet – wstyd powiedzieć – wydaniem kieszonkowymi. I ja tu jestem, najstarsza książka w bibliotece, o czym nikt nie wie. Teraz siada, żeby pomyśleć. Po co tu przyszedł? Telefon. Tak: chciał się upewnić, że aparat jest podłączony, bo czasami, kiedy jest potrzebny, zdarza się, że... Gospodarz sprawdza kabel. Rozgląda się, nie zwracając na nas uwagi, nas, które przez całe życie dotrzymujemy mu towarzystwa. Niepotrzebnie się martwił – aparat jest w porządku. Narzędzie, przy pomocy którego dokona się zbrodni, leży na stoliku. Jest ze szkła i ukrywa się pod postacią niewinnej popielniczki. Gospodarz postukuje weń zgasłą fajką. Zapałką porusza zawartość główki i znów postukuje o narzędzie zbrodni. Zapala zapałkę. Obłok dymu, niebieski i pachnący. Przyjemne uczucie, gdyby nie to, że.

Gospodarz ma pięćdziesiąt siedem lat. Wiem, bo ma urodziny dzisiaj, właśnie dzisiaj. Nikomu o tym nie mówił, ale Maria, żeby go zaskoczyć, żeby udowodnić, że ona o takich sprawach nie zapomina, zamówiła tort z dwiema cyframi z wosku, z knotem świecy w charakterze kapelusza. Złośliwy cukiernik, bo trzeba być złośliwym, żeby coś takiego zrobić, postawił siódmkę przed piątką. A może to sprawa Marii? Gospodarz zmienił kolejność, zde gustowany, nie wiedząc, że nigdy nie osiągnie tego wieku; może to on będzie ofiarą popielniczki. Będzie czy nie, on o tym nie wie, więc zapala obie świece i zdmuchuje je ceremonialnie, mimo że jest sam, a kiedy już je zgasił, zaklaskał,

jak zawsze robili w domu, kiedy ten, na kogo padło, zdmuchiwał świeczki upływu czasu pośród błysku fleszy i pstrykania aparatu, który miał uwiecznić ten gest na fotografii. Może ktoś przesunie po niej wzrokiem szybko i bez zainteresowania, zanim trafi wraz z innymi do pudełka po butach, skąd już nigdy nie wyjdzie na światło dzienne.

Patrzy na zegarek. Patrzy odruchowo, bo przecież nic nie zależy od czasu, wszystko zależy od tego telefonu, nieważne, teraz, za dziesięć minut czy za godzinę. Niech zadzwoni, proszę, niech już zadzwoni, niech wreszcie skończy się to piekło, które powtarza się każdej jesieni, tak się nie da żyć.

Jakby los chciał mu sprawić psikusa, zadzwonił dzwonek. Do drzwi. Teraz faktycznie spojrzął na zegarek, zdziwiony. Jest oczywiste, że na nikogo nie czeka. Wychodzi z biblioteki i odruchowo zawiązuje pasek podomki. Nie może powiedzieć proszę, morderca, bo ten, kto dzwoni, jeszcze nie jest mordercą, jeśli w ogóle ma nim kiedyś zostać. Z korytarza dochodzą do biblioteki przytłumione głosy i ciche zamykanie drzwi. Gospodarz wprowadza przybysza, mężczyznę. Nie wiem, jak się nazywa, młodszy od niego, w prochowcu poplamionym kroplami deszczu, który właśnie zaczął padać. Z nawyku dobrego wychowania gospodarz prosi go o płaszcz. Przybysz zdejmuje go i otrząsa, nie przejmując się dobrym wychowaniem. Parę kropel spada na gruby dywan, który przytłumi głucho jęki zbrodni. Podaje prochowiec gospodarzowi, który wychodzi, żeby go gdzieś powiesić. Kiedy wraca, zniecierpliwiony, chociaż nie daje tego po sobie poznać, widzi, że przybysz ze zdumioną miną podziwia jego bibliotekę. Gość odwraca się, kiedy gospodarz wchodzi, i uśmiecha się.

– Nigdy nie widziałem tylu książek naraz – przyznaje się.

Głupi komentarz, którego niestety musimy od czasu do czasu wysłuchiwać, niezasługujący na odpowiedź gospodarza. Zamiast tego usiadł, wskazał drugi fotel i powiedział słucham pana.

– Domyśla się pan, po co przychodzę?

– Nie. To znaczy... Odruchowo spojrzął na telefon, uśmiechnął się skromnie, trochę zdezorientowany, i dokończył: – Wyobrażam sobie, ale... Jednak nie. Ja czekałem na telefon.

– Nie takie miałem zlecenie.

– Ach, czyli nie przychodzi pan w związku z... A może jednak?

Milczenie. Wydaje się, że żaden z nich nie jest zainteresowany wykonaniem następnego ruchu. Albo wolą poczekać, aż ten drugi zdecyduje się wcześniej. Patrzą na siebie bez uśmiechu. W końcu przybysz poprawił się w fotelu, zdecydowany milczeć, ile będzie trzeba.

– To nie ma nic wspólnego ze Sztokholmem? – wreszcie wydusił z siebie ciekawym głosem gospodarz.

– Nie. O ile wiem.

– Co znaczy o ile wiem?

– To, że nigdy nic nie wiadomo, życie jest pierońsko skomplikowane.

– No to słucham.

– Nie, nic takiego... Po prostu przyszedłem, żeby pana zabić.

Zamilkł, a ten drugi nie znalazł dobrej riposty. My, wszystkie książki, milczymy. Zauważyłam, że jedną z moich sąsiadek przeszedł dreszcz. W pokoju panuje cisza, bo trzeba dłuższej chwili, żeby oswoić się z taką nowiną.

– Teraz?

Nie powiedział jak to, dlaczego, kto, nie ani nic z rzeczy bardziej przewidywalnych w tej sytuacji jak na pomoc, policja, ratunku. Zapytał „teraz?” z nutką niepokoju w głosie, jakby najważniejsze w tej wiadomości było nie co, tylko kiedy. Tak jakby ponura informacja zamiast go przerazić, tylko sprawiła kłopot. Muszę przyznać, że taka reakcja mojego gospodarza bardzo mi przypadła do gustu.

– Tak, teraz – odpowiada mężczyzna, o którym nie wiem, jak się nazywa, i który musi być zabójcą. Wygląda na zdziwionego reakcją właściciela biblioteki i mieszkania.

Gospodarz zastanawia się przez chwilę. Nie chciałby powiedzieć czegoś głupiego, ale z drugiej strony nie może nie poskarżyć się, że przychodzi w najgorszej możliwej chwili, że właśnie czeka na bardzo ważny telefon i...

– Mnie się nie spieszy – oznajmia zabójca.

Ofiara wstaje. Zabójca nie rusza się z miejsca, ale czujnie unosi brew. Gospodarz zdejmuje podomkę, tak jakby nie podobała mu się ewentualność, że umrze w szlafroku o fioletowym odcieniu. Odkłada go na oparcie pustego fotela i idzie w drugi kąt pokoju, w stronę szafki. Nie wyciąga z niej pistoletu, tylko

butelkę koniaku i dwa bardzo duże kieliszki.

– Przykro mi, ale nie mam lodu – mówi z ironią, ale odnoszę wrażenie, że przybysz tego nie wyczuł.

– Nienawidzę lodu – wyznaje zabójca, który jeszcze nie opuścił uniesionej brwi, tak na wszelki wypadek.

Gospodarz bez szlafroka stawia wszystko na niskim stoliku. Otwiera butelkę i delikatnie nalewa odrobinę trunku do każdego z kieliszków. Bierze jeden z nich, podaje zabójcy, bierze drugi do otwartej dłoni i kołysze płyn delikatnie, wdychając aromat.

– To armaniak – uprzedza nagle, jakby chciał rozwiać wątpliwości, zanim się pojawią.

Mężczyzna, który już nie ma prochowca, bierze swój kieliszek i naśladuje gest amfitriona. Odważa się dotknąć językiem, może zbyt pospiesznie, czerwonego płynu.

– Wspaniały – przyznaje z podziwem. Patrzy w milczeniu, jak gospodarz zapala zapałkę i podgrzewa koniak przez szkło. Nie komentuje, żeby nie wyjść na ignoranta. Ogrzewa płyn ręką i wacha, pochylając się nad kieliszkiem.

Teraz gospodarz bez szlafroka pociąga łyk armaniaku. Dobrze. Płyn go rozgrzewa od środka. W tym samym momencie myśli o telefonie. To za dużo, te dwie rzeczy naraz. Udaje, że nie robi to na nim wrażenia, i mówi, nie patrząc na gościa, że chciałby wiedzieć, dlaczego tamten chce go zabić, a przede wszystkim, kto go przysłał, przecież on nie ma wrogów.

– Z oczywistych powodów nie mogę powiedzieć, kto mi płaci.

– Nie tak oczywistych – odpowiada tamten, nie odstawiając kieliszka. – Kiedy będę martwy, nie będę mógł wykorzystać tej informacji, choćby mnie zabili. – Uśmiecha się, jakby chciał przeprosić za banalną grę słów.

Cisza. Nawet telefon nie chce zakłócić tego spokoju. Obaj mężczyźni delektują się armaniakiem. W końcu, jakby wracał z daleka, mężczyzna bez prochowca mówi przysyła mnie niejaki Orestes Puig.

Wobec możliwości, jak dotychczas nie do pomyślenia, że ktoś chciałby się go pozbyć, osobą najbardziej prawdopodobną był Puig. Ale nigdy by mu to nie przyszło do głowy, gospodarzowi pozbawionemu szlafroka.

– Powiedział, czemu mu zależy na mojej śmierci?

– Tak. Żeby przejąć kontrolę nad przedsiębiorstwem.

Łyk koniaku. Odstawia kieliszek na stolik, opuszkami palców dotyka delikatnie telefonu, jakby chciał go zachęcić do dzwonienia, i poświęca parę minut fajce. Usuwa z niej popiół, postukując o narzędzie zbrodni, po czym napełnia ją nowym tytoniem z metalowego pudełka, które stoi na biurku, obok telefonu. Gdyby nie to, że jest październik, naprawdę by się przestraszył. Ale teraz ma co innego na głowie i wszystko inne wydaje mu się względne.

– Palenie skraca życie – mówi z wątpliwym poczuciem humoru zabójca.

Gospodarzowi spodobał się dowcip, ale nie chce tego okazać. Przygotowuje spokojnie fajkę i zapala. Na chwilę znika za obłokiem aromatycznego dymu.

– Bezczelny kłamca – mruczy, sięgając po kieliszek, usadowiwszy się wygodnie w fotelu, z fajką w jednej i armaniakiem w drugiej ręce.

– Słucham?

– Jeżeli Puig chce mojej śmierci... to nie dlatego, żeby kontrolować jakieś pieprzone, zafajdane przedsiębiorstwo, za przeproszeniem. Przepraszam za słownictwo, ale mnie ponosi.

– A co pan może o tym wiedzieć?

– Bo nie mamy żadnego przedsiębiorstwa. Ani on, ani ja. Zakpił sobie z pana.

– Nie będę się z panem kłócił.

– I słusznie. – Uśmiechnął się po raz pierwszy. – Oszukał pana.

– Ale zapłacił gotówką.

– Jedno nie wyklucza drugiego.

– Klient ma prawo nie wyjawiać mi swoich sekretów.

– Ja panu wyjawię jego sekret.

– Nie mam najmniejszej ochoty słuchać. Robię, co do mnie należy, i koniec.

– Nie obchodzi mnie to, bo i tak panu powiem, chyba że mnie pan wcześniej zabije. – Pociąga łyk. – Orestes Puig jest moim najlepszym przyjacielem.

– O cholera.

– Tak. – Patrzy przed siebie, w stronę książek, chociaż nas nie widzi, bo w głowie ma teraz Orestesa Puiga. – To słaby człowiek – konkluduje.

– I nieprzyzwoicie bogaty.

– Niech pan w to nie wierzy. – Nie kryjąc ironii: – Już panu zapłacił całą

kwotę?

– Część. Reszta, kiedy...

– Jasne, ale uprzedzam, że to, co panu jest dłużny, to gruszki na wierzbie.

Zabójca pociąga kolejny łyk.

– Tym gorzej dla niego.

– Ja mogę panu zapłacić dwa razy tyle, ile on zaproponował. – Patrzy na niego z uśmiechem. – Ja naprawdę jestem bogaty i płacę gotówką.

– Przyjęcie takiej propozycji wydaje mi się nieetyczne.

– Niech mnie pan nie rozśmiesza.

– Nie, nie, naprawdę tak myślę. Mam swoje zasady i...

– Cynik z pana. – Tym razem przerwał mu niegrzecznie w pół słowa.

– Niech już pan lepiej nic nie mówi, wcale pana nie prosiłem o opinię o moim kliencie.

– Pan Orestes Puig chce mnie zabić, bo mi zazdrości.

– Mnie to zwisa.

– A mnie nie. Jeżeli mnie pan zabije, chcę, żeby przyznał, że zawsze mnie podziwiał i cenił. A że na dodatek zawsze mi się powodziło...

– Nie licząc dzisiejszego dnia, no nie?

– Pięćdziesiąt siedem pomyślnych lat – mówi gospodarz, trochę spokojniejszy.

Sączą armaniak w milczeniu. Gospodarz spogląda na telefon. Nie, to dzwonek roweru na ulicy. Mężczyzna bez prochowca zauważył to spojrzenie.

– Kto ma zadzwonić?

– Obawiam się, że to nie pańska sprawa.

– Jestem panem pańskiego życia, a pan mi mówi, że to nie moja sprawa? – Teraz pociągnął głębszy łyk. – No już, szybko, niech się pan nie ośmiesza.

– Nie tylko cynik, ale i plotkarz.

– Kto ma do pana zadzwonić?

– Orestes Puig.

Mężczyzna bez prochowca niemal się udławił, zaskoczony. Ale łudzi się, że udało mu się to ukryć.

– Naprawdę? – mówi, mając jeszcze armaniak w gardle.

– Będzie chciał sprawdzić, czy pan się wywiązał z zadania.

– Wydaje się ze wszech miar nieostrożne dzwonić do domu, w którym odbyła... odbędzie się... moja akcja.

– To prawda, że też sam na to nie wpadłem.

– Skąd ma do pana dzwonić?

– A co, spróbuje pan go przekonać, żeby nie dzwonił?

Mężczyzna bez prochowca patrzy temu drugiemu w oczy. Zamyślił się.

– Pan kłamie – mówi.

– Jak pan sobie chce. Ale ja czekam na jego telefon. – Odstawia kieliszek na biurko i wkłada fajkę do ust. – Uprzedzałem pana, że Orestes Puig jest raczej nieobliczalny.

Wtedy tak. Wtedy naprawdę zadzwonił telefon. Dzwonek. Obaj mężczyźni patrzą na aparat bez ruchu. Gospodarz pozbawiony szlafroka czeka jeszcze chwilę, robi gest, jakby prosił gościa o zgodę, i odbiera.

– Słucham – mówi lekko podenerwowanym głosem.

– To ja, Orestes.

– Wiem. Może chcesz rozmawiać z drugą osobą?

– Co takiego? – Po pełnej napięcia pauzie: – Wszystko w porządku?

– Na razie tak.

– To siadaj.

– Już siedzę.

– Jesteś sam?

Mężczyzna, który przedtem miał na sobie szlafrok, patrzy na swojego zabójcę, przysłuchującego się rozmowie ze źle ukrywanym zainteresowaniem.

– Tak. Dlaczego?

– Masz Nobla.

– Coś takiego.

– Nie skaczesz z radości?

– Tak – mówi, nie skacząc z radości. – Jeszcze jak.

– Nie mów nikomu, bo ogłoszą to dopiero za parę godzin.

– Może się pomyliłeś?

– Nie.

Gospodarz myśli szybko. Przyszło mu do głowy, że skoro Orestes Puig chce go wyeliminować, może w tym momencie też go okłamuje.

– Dlaczego mi to robisz?

Mówi to bez najmniejszego cienia lęku. Jeśli już, to tonem wyrzutu.

– Dlaczego robię co?

Cisza. Dlaczego Puig miałby go okłamywać? Gospodarz zastanawia się przez dłuższą chwilę. Nawet sobie pozwolił na łyk koniaku. Głos Orestesa Puiga znów się odzywa, zniecierpliwiony:

– Wiesz co? Zaraz u ciebie będę.

– Wiedziałem.

Gospodarz odkłada słuchawkę i patrzy zabójcy w oczy.

– Teraz już mogę umrzeć – oświadcza. I natychmiast dodaje: – Zaznaczam, że to tylko taki zwrot. Właśnie mi przyznali Nagrodę Nobla i chciałbym się nią nacieszyć, rozkoszować się jej smakiem. Inaczej mówiąc, wróciła mi chęć życia.

– Nobel w jakiej dziedzinie?

Gospodarz patrzy na zabójcę z obrażoną miną, bardzo obrażoną. Nie odpowiada przez dłuższą chwilę.

– Nawet pan nie wie, kim jestem – rzuca z pogardą. – Ma pan mnie zabić i nie wie pan, kim jestem.

Ten drugi rozkłada ręce. Gospodarz mówi dalej, starając się opanować wściekłość.

– Usłyszysz pan o mnie, kiedy już mnie zlikwiduje. Mogę pana zapewnić, że pełno będzie na mój temat w gazetach.

– Widzi pan? Musi mi pan wierzyć, kiedy mówię, że jest mi przykro, że musieliśmy się poznać w takich okolicznościach.

Obaj podnoszą do ust kieliszki z armaniakiem.

– Pieniądze z Nobla za moje życie. To dobry układ.

– Już panu mówiłem, że jestem prawdziwym profesjonalistą.

Płatny zabójca odstawia kieliszek na stolik i uroczystym tonem mówi dalej:

– Jest oczywiste, że się cieszę z powodu tej nagrody. – Patrzy tamtemu w oczy. – Nie zaśpiewam *Sto lat*, bo nie lubię głupich żartów, ale szczerze panu gratuluję.

Wkłada rękę do kieszeni marynarki. Nie zdążył wyciągnąć pistoletu czy czegoś w tym rodzaju, bo popielniczka trafiła go prosto w czoło. Mężczyzna bez prochowca upada do tyłu, ciągle z ręką w piekielnej kieszeni marynarki. Nic już nie może dodać, żadnego sarkastycznego komentarza, żadnego głupiego dowcipu z tych, których rzekomo nie lubi. Gospodarz bez szlafroka wstał i podszedł do sofy. Podnosi popielniczkę z ziemi i ogląda ją. Mimo siły uderzenia nie został na niej najmniejszy ślad: naprawdę bardzo solidna robota. Nie bez powodu Maria podarowała mu ją na urodziny jakieś pięć czy sześć lat temu. Jest gruba i solidna, powiedziała, żeby nie rozbiło jej to jego denerwujące postukiwanie fajką. Nieszczęsny zabójca nie rusza się. Plama na jego czole wygląda coraz gorzej, a gospodarz jest pełen podziwu dla swojej celności, on, który nigdy... Spanikował, dlatego zareagował w ten sposób; powodował nim instynkt samozachowawczy. To wszystko przez Nobla. Rozgląda się wokół, nie zwracając uwagi na książki na ścianach, nie widzi nas, nic nie widzi. Jest trochę niespokojny. Nie, nawet bardzo niespokojny. Nie odważa się dotknąć zwłok. Trzyma w dłoni popielniczkę, która mu uratowała życie. Jęknął, kiedy usłyszał dzwonek do drzwi.

Znika i wraca po paru sekundach. Wprowadza do biblioteki Orestesa Puiga. Na razie obaj się uśmiechają. Orestes Puig obejmuje go, zadowolony. Ale wtedy, ponad ramieniem tamtego, widzi trupa zabójcy i uśmiech zamienia mu się w całkiem inny grymas. Zdziwienie? Konsternacja? Panika? Wybitny noblista gestem zaprasza go, by zajął miejsce w fotelu, vis-à-vis niefortunnego zabójcy. Ale przybysz nie zwraca na niego uwagi, stoi i obserwuje martwego płatnego mordercę.

– Co tu się dzieje? – odzywa się po dłuższej chwili kontrahent morderców.

– Nie udało ci się.

Noblista mówi, trzymając cały czas popielniczkę w dłoni. Już od dłuższej chwili fajka zgasła i leży na biurku, zimna jak trup. Mówi swojemu agentowi, że według niego jedyną rzeczą, która go mogła popchnąć do takiego czynu, jest zawiść; że się na nim zawiódł, że myślał, że tworzą zgrany zespół i że zgodnie z logiką to jemu – położył rękę na piersiach – należą się honory, ale przecież

korzyści...

– Czy możesz mi wyjaśnić, o czym ty, kurwa, pieprzysz? – Orestes Puig nadal nic nie rozumie.

– Nie próbuj mnie przekonać, że nie znasz tego człowieka...

Orestes Puig podchodzi bliżej, blady, na miękkich nogach. Ogląda ranę.

– Jest ogłuszony – mówi z rozpaczliwą nadzieją w głosie, nie odwracając się.

– Przypuszczam, że jest martwy. To znaczy na to liczę i tego życzę sobie z całego serca.

– Ale jak mu się to przytrafiło? – Ma na myśli tę brzydką plamę na czole.

– Zderzył się z popielniczką.

– Ale przecież... – Patrzy na wybitnego noblistę, przerażony. – Co, u licha, tu się stało? Co ty, do jasnej cholery, zrobiłeś?

Orestes Puig zauważa pozycję prawej ręki martwego mordercy i podnosi marynarkę, żeby sprawdzić, czego szukała ta ręka. Gospodarz, widząc, że usiłuje odzyskać pistolet swojego najemnika, uderza go popielniczką z całej siły w plecy. Orestes Puig pada na płatnego mordercę, jakby chciał go rozliczyć z fatalnego niewywiązania się ze zlecenia. Noblista uderza popielniczką jeszcze raz, jeszcze i jeszcze w klatkę piersiową Orestesa Puiga, powtarzając z wściekłością to za zawiść, tę przeklętą zawiść, która cię zżerała żywcem, dlatego nie chciałeś, żebym się cieszył z? co? i z każdym uderzeniem zamienia narzędzie, dotychczasowe narzędzie zbrodni, w prawdziwie morderczą broń zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem. Wtedy, całą we krwi, odstawia popielniczkę na biurko, tam gdzie jej miejsce, obok fajki. Siada i pociąga łyk armaniaku. Nagroda Nobla. W końcu. Po tylu latach wysiłków, po ciężkim stresie towarzyszącym trzem ostatnim edycjom, kiedy mówiono, że ma duże, naprawdę duże szanse, po ogłoszeniu wszem wobec, że dłużej nie zniesie tego piekła, jakie przechodził zawsze w październiku, w końcu przyznali mu Nagrodę Nobla. Przejdzie do historii. Jego dzieło przejdzie do historii, a ci żałośni, zawistni nieszczęśnicy nie chcieli dopuścić, żeby się nią cieszył choćby jeden dzień?

Noblista spojrział na oba trupy z pogardą. Nie rozumie, żeby nie wiem, jak się starał, złej woli Orestesa Puiga. Ostatnio obaj byli bardzo nerwowi, to prawda, jak zawsze w październiku, ale żeby zaraz myśleć o... O mój Boże!

Odstawił kieliszek na biurko i pomyślał głośno, że teraz powinien wezwać policję. Ale w tym momencie, przez przypadek, policja sama zadzwoniła do drzwi i noblista zerwał się na równe nogi, gotów wyjaśnić przebieg wypadków. Ze zrozumiałych względów wizerunkowych schował gdzieś w kącie szlafrok, który później zabierze do szpitala psychiatrycznego. Po paru sekundach wrócił do biblioteki, ale nie w towarzystwie policjanta, tylko Marii, która obejmowała go, składając gratulacje, obyś się nią cieszył wiele lat, ty na to zasługujesz, kochany, i uprzedzam, że jest tu paru łobuziaków z aparatami, którzy chcą cię, oj, co to za plama na koszuli? Wtedy Maria spojrzała na sofę.

– Co tam robi tych dwóch?

Podchodzi bliżej. Widzi, że ten na górze to Orestes Puig, a na dole Marc Vidal, aktor, i pyta co im jest? Już się upili? Czy to przypadkiem nie krew?

Potrząsa noblistą przerażona. Patrzy na niego pytająco.

– Nic takiego... chcieli mnie zabić – wyznaje przyszły samobójca chłodnym tonem kogoś, kto jeszcze nie zszedł na ziemię.

Telefon dzwoni, jakby chciał się przyłączyć do rozmowy, i noblista, na kilka tygodni przed tym, zanim wyskoczył przez okno w klinice, podnosi słuchawkę, komentując roztargniony, że telefon się urywa.

To ci z telewizji, jak widać, jakiś ptaszek im wyśpiewał, że... Tak, tak, wiemy, że to jeszcze nieoficjalna wiadomość i że nie można jej rozgłaszać, ale jednak chcemy, żebyśmy to my mogli ogłosić ją całemu światu. Zaraz będziemy u pana, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Gospodarz bez szlafroka odkłada słuchawkę, zadowolony. Patrzy, jak Maria rozchyła marynarkę mężczyzny bez prochowca.

– Nawet nie próbuj – mówi gospodarz i chwyta za popielniczkę.

Maria odwraca się, trzymając w dłoni srebrną płytkę, na której Puig może przeczytać swoje imię z dopiskiem dużymi literami Wreszcie! i podpisy przyjaciół, bez daty, i...

Po przeczytaniu gospodarz bez szlafroka w kolorze fioletowym upuszcza broń na ziemię. W niezrozumiały sposób popielniczka rozpada się na dwie części, jakby uznała, że robota, do której ją stworzono, już została wykonana.

– Możesz mi wyjaśnić, co tu się stało?

– Chcieli mnie zabić. Obaj.

– Ależ... Zastanówmy się: Marc Vidal? Orestes? Oni chcieli cię zabić?

– Orestes to wszystko zaplanował. Cholerna zawiść. A ten drugi to nie wiem, co za jeden.

Maria myśli, że być może wszyscy trzej mężczyźni sobie z niej żartują. Podchodzi do obu trupów i przypatruje się im. To nie wygląda na żart. Patrzy na gospodarza, który podniósł z ziemi popielniczkę w dwóch kawałkach i delikatnie położył na biurku, po czym usiadł. Wtedy rozległ się dzwonek i oboje drgnęli, nie ruszając się z miejsca.

– Aha! To muszą być ci z telewizji – mówi, sącząc ostatnie krople armaniaku z dna kieliszka. Z westchnieniem zmęczenia podnosi się w końcu, powoli, jakby ogarnęło go zniechęcenie, i wychodzi z biblioteki ze słowami już otwieram, spokojnie, już otwieram, nie trzeba tyle dzwonić.

My, książki, nawykliśmy do odgadywania, bo na naszych stronach jest przeszłość i teraźniejszość, i wszystkie indywidualne historie, więc umiemy interpretować to, co ludziom się przytrafia. Dlatego wiem, że Maria nie zdobędzie się na wysiłek, żeby wstać, i wiem, że na podeście przed drzwiami trzy ekipy telewizyjne już czekają niecierpliwie, żeby wejść, jedna przed drugą. Zawsze mnie zaskakiwała ludzka nieumiejętność odczytywania własnego przeznaczenia, wydarzeń wytyczających im drogę i jej punkt końcowy, który gdzieś już został zapisany.

Maria patrzy w moją stronę, nie zwracając uwagi na mój zielonkawy grzbiet, wyblakły w ciągu tylu lat słonecznej ekspozycji, gdy nie chroniły mnie zasłony. Kręci głową, przygnębiona. Słyszymy, że wybitny noblista otwiera drzwi. Maria myśli to wszystko takie realne, wszystko. Na wszelki wypadek mdleje i zostawia mnie samą w charakterze świadka.

V

PANDORA

– Rozumiem, co pan czuje. Wolałby pan, żeby była martwa, prawda?

– Tak. Źle jej nie życzę, ale wyświadczyłaby mi przysługę, gdyby była martwa, tak.

Zamilkli. Chudy mężczyzna wziął do ust prażony migdał i skupił się na przeżuwananiu, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie. Usadowił się wygodnie na krześle, założył okulary słoneczne, które ukrywały jego duszę, rozejrzał się dyskretnie wokół i powiedział jak ktoś, kto mówi o mającej się rozpętać ulewie:

– To się da załatwić.

Dreszcz przeszedł Carlesowi po plecach. Czyli to prawda.

– Przepraszam? – powiedział i zaczął się pocić.

– Źe wszystko, co można załatwić pieniędzmi, jest do załatwienia. Nie sądzi pan?

– Nie rozumiem.

– Dobrze pan rozumie. – Chudy mężczyzna sięgnął po drugi migdał. Uśmiechnął się i czekał, z nieograniczoną cierpliwością, aż tamten wyzna, że tak, że doskonale go rozumie, że ile to kosztuje. Ale nie podjął tematu. Żeby go zachęcić, mówił dalej łagodnie, tonem niemal pouczającym. – Jest pewna osoba, która utrudnia panu sprawy sercowe i finansowe, a ponadto nie chce przyjąć do wiadomości, że pan każe jej się wycofać.

– Tak, dokładnie tak to wygląda, ale...

Chudy mężczyzna wstał i po przyjacielsku wyciągnął rękę w jego kierunku.

– Jeśli będzie pan za długo się zastanawiał, to złapie pana ulewa.

Zanim odszedł, przypomniał mu, że jeśli się zdecyduje, to wie, gdzie go szukać, zabrał trzy ostatnie migdały i zniknął z tarasu. Carles nie odważył się odwrócić i sprawdzić, w którą stronę tamten idzie, taki był skonfundowany. Chwycił kufel i pociągnął łyk. Piwo nagle przybrało gorzki smak, jak nigdy. Nie zwrócił uwagi, że taras pustoszeje w szybkim tempie, ani nie przejął się

delikatną sugestią kelnera. Myślał o Fran i czy odważyłby się na taki krok. Wtedy pamięć mu podsunęła słodką buzię Claire i wydało mu się, że owszem, że dla Claire gotów był na każde szaleństwo, prawie każde. Bał się, bo to niemożliwe, żeby życie stawiało nas przed tak drastycznymi wyborami. Bogowie powinni tego zabronić. Kiedy znów pociągnął łyk piwa i uznał, że jest wodniste, uświadomił sobie nagle, że faktycznie, złapała go prawdziwa ulewa.

Koszula rozwieszona, spodnie za oknem, ręcznik pocierający energicznie włosy, buty w strasznym stanie. Przeklął dzień, w którym zasięgnął porady Tina. Tino już dawno mu sugerował, że są ludzie specjalizujący się w rozwiązywaniu problemów wszelkiego rodzaju.

Kiedy się wysuszył, spryskał włosy wodą kolońską, włożył suchą koszulę i żeby sobie dodać odwagi, popatrzył na zdjęcie Claire, które nosił w portfelu, odrzucił możliwość wykonania telefonu z aparatu w pokoju czy z komórki i zszedł na Ordino, do kabiny przed Bankiem Kredytowym. Rozłożył zwinięty mokry papier przed sobą i wybrał numer. Tak jakby tylko na to czekał, chudy facet od migdałów powiedział słucham, takim tonem, jakby to był dalszy ciąg rozmowy, jaką odbyli rano.

– Może byśmy jednak porozmawiali? Bez żadnych zobowiązań.

Po długiej, gęstej ciszy Carles westchnął i wyciągnął argument, który z jego perspektywy był najmniej istotny.

– To duża kasa.

– Nie dajemy zniżek, cena nie podlega negocjacjom. Oceniamy szczegółowo stopień ryzyka dla nas i dla klienta, a kiedy już dojdziemy do porozumienia i zainkasujemy należność, nie wycofujemy się, choćby się pojawiły nieprzewidziane przeszkody; bierzemy to na siebie bez problemu, bo jesteśmy prawdziwymi profesjonalistami. Obserwowanie pacjenta i pierwsze z nim kontakty to wyłącznie nasza sprawa, ze względu na rygorystyczne zasady bezpieczeństwa. Stuprocentowa skuteczność, stuprocentowe bezpieczeństwo po wykonaniu operacji. Niech pan spróbuje znaleźć kogoś, kto zaproponuje to samo za korzystniejszą cenę.

Chudy mężczyzna po wygłoszeniu tego panegiryku wyprostował się i spojrzał na stół, jakby się spodziewał, że znajdzie tam talerzyk z migdałami. Carles przymknął oczy i zastanawiał się. Warunki były ciężkie; gwarancja

całkowita; układ poważny i elegancki, i niech każdy radzi sobie sam ze swoim sumieniem. Tak to wyglądało w skrócie.

– Rzecz w tym, że musiałbym się jeszcze zastanowić.

– Tej nocy wyjeżdżam do Andory. Kwestia bezpieczeństwa.

– Czy pan myśli, że ja...

– Pozwolę sobie panu przypomnieć, że już wcześniej oświadczyłem: ja nic nie myślę – przerwał mu chudy mężczyzna. – Ale za cztery godziny będę daleko stąd, rozważając inną ofertę i ustalając nowe priorytety na liście klientów.

– Proszę na mnie nie naciskać. Potrzebuję więcej czasu, żeby to przemyśleć.

– Rzeczy są, jakie są. – Rzucił okiem na zegarek z obojętną miną, a później spojrzał mu prosto w oczy. – Jeżeli nie dostaniemy odpowiedzi w ciągu godziny, anulujemy nasz układ, rozstajemy się i nigdy nie rozmawialiśmy o niczym, co miałoby jakikolwiek związek z pańską partnerką. Nawet się nie znamy.

– Ależ ja nie mogę w ciągu godziny podjąć decyzji w takiej sprawie!

– Proszę spróbować.

Gdyby patrzył na nią bez uprzedzeń, musiałby przyznać, że jest ładną kobietą. Ale nie mógł oddzielić wyglądu od jej nienawistnego postępowania w ostatnim czasie. Teraz zajmowała miejsce przy pomocy usłużnego kelnera, mimo że on wstał na powitanie, niechętnie, tylko po to, żeby ludzie wokół nie zwrócili na nich uwagi, i zaraz usiadł, poważny, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Czekał, aż ona coś powie. Ale Fran traciła czas, przeglądając kartę i wypytyjąc o jakieś głupstwa kelnera, tak jakby chciała go zatrzymać jak najdłużej z lęku przed samą z mężem. Zamówiła dla siebie, nie przejmując się, czy on już złożył zamówienie. Typowe dla Fran. Kiedy kelner na niego spojrzał, odpowiedział, że chce to samo, i czekał niecierpliwie, żeby już sobie poszedł.

– Dlaczego chciałaś się ze mną spotkać?

Jeszcze nie spojrzał jej w oczy. Dopiero teraz to zrobił, czekając na odpowiedź. Od jej spojrzenia zaboląły go źrenice. Przebiła je, bo dysponowała taką mocą, prześwieciła mu mózg i zabrała się do czytania jego myśli, a on już się widział zgubiony, ponieważ Fran właśnie była na tropie jego kontaktu z tym facetem od prażonych migdałów, decyzja na tak, sto procent należności przed rozpoczęciem akcji i całkowita gwarancja, że nic go nie obciążą, ponieważ to nie będzie wyglądało na wypadek, to będzie wypadek. A teraz ona, z tą zabójczą łatwością, wybierała jego myśli łyżkami, a on w duchu przeproszał, Fran, ja nie chciałem, naprawdę, nawet sobie nie wyobrażasz, jaki kamień ciąży mi na sercu, od kiedy wiem, że mają cię zabić, ale taka jest prawda, sama na to zapracowałaś. Tak, to twoja wina, a mimo to kiedy podpisywał w banku zgodę na wypłatę pieniędzy, skrobanie pióra po wydruku zabrzmiało złowrogo jak pióro królów, kiedy zatwierdzają egzekucję skazańca. Carles czekał, aż ona powie morderco, natychmiast cię zadenuncjuję i nie unikniesz publicznego napiętnowania ani więzienia. Ale zamiast tego zapytała nadal się zadajesz z tamtą kurwą?

– A ty jesteś subtelna jak zawsze.

Fran przesunęła po stole w jego stronę teczkę w żółtym kolorze. Otworzył ją,

przekonany, że znajdzie jakieś swoje zdjęcie z Claire, w którymś łóżku w hotelu w Arieja lub w Langwedocji, jak się kochają, ukrywając przed ludźmi, z dala od kpin kolegów, ale nie wystarczająco daleko, żeby się ukryć przed wzrokiem tej fretki Fran; jaka piękna jest Claire, naga, głaszcząca go po piersi, kochająca go tak jak żadna inna kobieta wcześniej. Ale nie było to zdjęcie z jakiejś nocy spędzonej z Claire, tylko z tego dnia, kiedy zgodził się dostarczyć w Montpellier walizkę pewnemu jegomościowi, który bardzo dobrze płacił, jeśli nie zadawałeś żadnych pytań. Spojrzał na Fran ponad fotografią. Ona z anielskim uśmiechem pochyliła się do przodu, jakby chciała mu wyznać jakiś sekret.

- Trzymam cię za jaja.
- Nie mam pojęcia, co przewoziłem.
- A ja tak.
- Chcesz mnie szantażować?
- Nie.

Udała, że patrzy na ogromny bukiet kwiatów ustawiony przed lustrem w rogu restauracji.

- To dlaczego mnie tutaj wezwałaś?

– Jestem gotowa rozmawiać o rozwodzie – oświadczyła. – I jestem zdecydowana na podział wszystkich akcji i wartości obu mieszkań i domu.

Dwa lata i trzy miesiące oczekiwania na te błogosławione słowa, które padły właśnie teraz.

- Domu się zrzekam.
- Nie. Podzielimy się.

Taka wspaniałomyślność była podejrzana. Coś tu się nie zgadzało. A może w końcu stała się człowiekiem? Za długo ją znał, żeby teraz we wszystko uwierzyć.

- To dlaczego pokazujesz mi zdjęcie?

– Nie, nic takiego: chcę cię tylko uprzedzić, że jeżeli będziesz grał nieuczciwie, ja wiem o tobie wszystko...

Wszystko? Wiesz, że rozmawiałem z tym łasuchem, który pochłania migdały? Że cię śledzą dzień i noc, żeby...

– ...ale stawiam jeden warunek.

Zamknął teczkę i oddał ją z zawartością; nawet nie zniżył się do tego, żeby zniszczyć zdjęcie. Czekał, aż ona poda swoje warunki. Wymyślił coś niemożliwego do przyjęcia i wszystko pozostanie jak dotąd, ale to on będzie tym złym.

– Musisz mi pozwolić odbyć lot nad Andorą.

– Tylko tyle?

– Aha.

Cisza. Już od dłuższej chwili nie patrzyli sobie w oczy. Na czym polegał podstęp?

– Tylko tyle? – nalegał Carles.

– Dobrze, wycofuję propozycję.

– Nie, zaczekaj. – Wyobraził sobie, w ogólnym zarysie, układ, który mu właśnie zaproponowała. Ale gdzie tu był podstęp?

Ona spojrzała mu w oczy i ukrywając uśmiech, powiedziała zaskoczyłam cię, co? Ale jeżeli nie przyjmiesz tego prostego warunku, obiad się skończył i między nami nic się nie zmieniło.

– Dobrze. Poproszę o zgodę.

– Bez żadnej zgody. Improvizacja. Nieformalna. Rozumiesz?

– Wiesz, że nie mogę tego zrobić.

– Ciekawe... Parę dni temu zabrałeś na wycieczkę tę swoją kurewkę i nie prosiłeś o żadną zgodę.

Jeżeli śledziła go w taki sposób, to mogła wiedzieć wszystko. Nawet znać treść jego rozmów z chudym mężczyzną.

– Jeden lot i załatwione?

– Z drugą osobą. A ty będziesz udawał, że nie jesteś moim eks. Wynajęty pilot, i tyle.

Teraz wszystko zrozumiał. Spróbował wyobrazić sobie tamtego faceta, ale na próżno.

– Tak czy nie? – zapytała Fran, wkładając kopertę z fotografią do torebki, jakby zamierzała już wyjść.

Carles nie mógł wyjść z podziwu: Fran, choć to się wydawało niemożliwe,

zakochała się. Co za ulga, mój Boże!

– Postaram się to załatwić.

– Nie. Załatw to. Inaczej wycofuję się ze wszystkiego.

W dniu, kiedy zakomunikował Fran, że chce się zakochać, mieć marzenia, że już dość, że to koniec, że już dłużej nie wytrzyma w tak zimnej relacji, tak na dystans, takiej, że nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle jesteśmy razem, ona obrzuciła go lodowatym spojrzeniem i powiedziała wybij to sobie z głowy: razem aż do śmierci. Ponadto i tak robisz, co chcesz, spędzasz dni, ryzykując życie, uważasz się za supermena, zadajesz się z jakimiś pieprzonymi fotografami i połamanymi himalaistami, zgarniasz niezłą kasę i żyje nam się ekstra. Czego chcesz więcej?

Wtedy się zaczęło. Wtedy zaczął patrzeć na Fran jak na prawdziwego wroga, ponieważ sama ustawiła się w roli wroga, nic nie robiąc i nie zostawiając mu pola manewru, a jego ogarnęła taka obsesja, że w pracy koledzy zaczęli mu dokuczać; mówili uważaj, smutny Charly, tylko patrzeć, a będziesz miał wypadek, jak trochę bardziej się rozkojarzysz, i wtedy Tino powiedział nie wiem, co ci jest i co się z tobą dzieje, ale znam ludzi, którzy umieją rozwiązać każdy problem na świecie, i dał mu numer kontaktowy, a on, największy imbecyl świata, zadzwonił, a teraz chociaż dzwonił i dzwonił, numer nic sobie nie robił z jego natarczywości, i w końcu zrozumiał, że telefon został porzucony ze względów bezpieczeństwa, i co, do cholery, teraz zrobię, żeby skontaktować się z tym facetem od migdałów i powiedzieć mu ej, nie trzeba, sprawa sama się rozwiązała, nic nie trzeba robić, pacjentka już mi nie przeszkadza, nie chcę się narażać na niepotrzebne ryzyko, rozumie pan?

Ponieważ mieli jechać do heliportu w Tírvi, żeby odebrać pacjenta z zawałem i dostarczyć go do szpitala w Escaldes, kiedy wystartowali, zablokował połączenie z centralą, zdjął słuchawki, a Tino, przerażony, zapytał co ty do cholery wyrabiasz?, wtedy on dał mu znak, żeby również zdjął słuchawki i krzyknął musisz mi dać telefon do tego, co to rozwiązuje problemy. Tamten kiwnął głową, że okej, i skierowali się na Tírvię, a Carles się uspokoił. Kiedy już wrócili, po służbie w barze Gonsalvesa pieprzony Tino dał mu dobrze znany pieprzony numer telefonu, a on zaprotestował nie, Tino, nie ten; na ten dzwoniłem z osiemdziesiąt razy i nic.

- Co się dzieje? Jesteś bardzo...
- Nie. Rzecz w tym, że... No, po prostu, chcę się z nim skontaktować.
- Ale ja mam tylko ten numer.

Szlag by trafił Tina i faceta od migdałów. I co ja mam teraz zrobić? Co? No co? Co mam robić? Zacząć krzyczeć ej, nie zabijajcie Fran, już nie trzeba, nie obciążajcie tą śmiercią mojego sumienia, które ma długą pamięć. Zaczął się pocić, bo, ponadto, stuprocentowego bezpieczeństwa nie da nawet Bóg. Albo tylko Bóg, natomiast ten facet od migdałów może zawieść i zostawić jakiś ślad; zawsze jest ten pierwszy raz.

To była głupia przejażdżka, bez sensu. Fran, bardzo elegancka, siedziała z przodu, obok niego, jak za dawnych czasów, a tamten głupi osioł (facet wyglądał na prostaka, mówił niezrozumiałym, bezpłciowym głosem kastrata z akcentem francuskim z Étoile, miał idiotyczny kucyk i przyjechał srebrnym mercedesem) siedział z tyłu, bez słowa; miał nadzieję, że złapią go mdłości. Kiedy lecieli nad Sant Miquel d'Engolasters, Fran rozentuzjasmowana krzyczała przez ramię chéri, popatrz na te krowy, a Carles uznał, że to żenada, skoncentrował się na locie i udał, że kołysze ich podmuch wiatru, żeby mieć przyjemność zobaczyć, jak chéri wymiotuje. Ale typ był charakterny, więc nie dał mu tej satysfakcji i kiedy wrócili do bazy Beta, poszedł z nimi na kawę, co miało być ostatnią rzeczą, jaką musiał zrobić wspólnie z tą przekłętą dziwką Fran, i wtedy, korzystając z jedynej chwili, kiedy chéri zostawił ich samych, może po to, by pójść wymienić pesety bez świadków, on, przez wzgląd na dawne czasy, powiedział uważaj na siebie, Fran.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Żebyś uważała. Żeby nie przytrafiło ci się coś złego.

– Dlaczego miałyby mi się coś przytrafić?

– Nie, tak tylko...

Nie. Nie wszystko mógł jej powiedzieć. Nie mógł jej powiedzieć, że żadnym cudem nie może się skontaktować z płatnymi mordercami, którzy pewnego pięknego dnia, wkrótce, ją... no, ją...

– Powiedz, co niby miałyby mi się stać? – Z mało przyjazną miną przeszła go wzrokiem. – Że ten mężczyzna nie jest dla mnie odpowiedni? Co? O to ci chodzi?

W tym momencie chéri wrócił z łazienki, a on machnął ręką, dając do zrozumienia, że trudno, przykro mi, nic więcej nie mogę zrobić, i zanim ona i jej potulny partner zdążyli zareagować, pocałował ją w usta i pożegnali się definitywnie w sposób bardzo oziębły, jedyne możliwy.

Patrzył, jak odjeżdżają cichym mercedesem, w ciemnych okularach, elegancy niczym bogowie, którzy zstąpili na ziemię, w stronę przejścia granicznego Pas de la Casa, w kierunku Francji, i uświadomił sobie, że jego milczenie wynikało z tchórzostwa.

To był Tino, który zmienionym głosem powiedział mu przez radio jedź do szpitala, Charly, zdaje się, że... No, dobrze, więc...

Nie wiedząc o niczym, już się domyślał i tylko się zdziwił, że tak szybko to poszło, ten wypadek, który nie powinien wyglądać na morderstwo, ta niepotrzebna zbrodnia, bo już nie trzeba było zabijać Fran.

– Fran – powiedział Tino przygaszonym głosem – wydaje się, że... No więc, wydaje się, że została zabita.

– Co ty mówisz?

Lęk. Stuprocentowe bezpieczeństwo pooperacyjne, przekłęci, dlaczego dałem się w to wplątać. O Boże, i co ja mam teraz zrobić. Głos Tina sprowadził go na ziemię.

– Ona i ten facet, który robił za szofera.

– Ale dlaczego mówisz, że...

– Ktoś zaaranżował wypadek. Bardzo nieudolnie. Zaraz po ciebie jadę. Gdzie jesteś?

– W Montgarri. Już skończyłem. Wracam natychmiast. Jesteś w bazie Beta?

– Charly...

– Tak?

– Bardzo mi przykro.

– Dzięki, Tino. Wracam piorunem.

Wszystko to twoja wina, Tino, to przez ciebie, dałeś mi numer telefonu, którego nigdy nie powinienem był mi dawać, ani ja nie powinienem był cię prosić.

Nie pomyślał o Claire, o tym, że to, co zaplanował, miało zmienić ich życie od góry do dołu. Za bardzo się bał. Nawet gdy helikopter nabierał wysokości, myślał, jak uciec na koniec świata, bo było tylko kwestią czasu, powiedzmy, jednej doby, kiedy dodadzą dwa do dwóch.

Kiedy przelatywał nad Borda de Perosa, teraz już bez żadnych emocji, zobaczył duże stado owiec pasących się w dole, obojętnych na tragedię rozgrywającą się na niebie. Zobaczył też pasterza, który podnosił głowę, osłaniając oczy ręką. Wtedy zrobił spiralę, żeby wznieść się wyżej i przelecieć bezpiecznie nad Port d'Aulà, i to go ożywiło, bo udowodniało mu, że chociaż panicznie się obawiał tego, co teraz nastąpi, zawsze było lepiej żyć, nawet z lękiem i nieczystym sumieniem, niż być ofiarą nieudolnie zaaranżowanego zabójstwa, które miało wyglądać na wypadek. I wtedy gwałtowny ruch samolotu uwolnił wahadło, które wcześniej zablokowało się w aparacie ukrytym pod tylnym siedzeniem, wprawiło w ruch mechanizm i nastąpiło zwarcie zaplanowane dwa dni temu przez martwych bogów w ciemnych okularach i cały helikopter zrobił dostojne bum i zamienił się, na oczach owiec i przerażonego pasterza, w wóz Eliasza, jak ogromna, piękna, tragiczna kula ognia. I kiedy kula ognista zamieniła się z kolei w kupę dymiącego żelastwa, spadła na płaskowyż Perosa, obok skromnego pomnika upamiętniającego bohaterów, jakby chciała dołączyć do pasących się owiec. Kiedy znów zapanowała cisza, przerażonemu pasterzowi wydało się, że spod ziemi wydobył się głos, zardzewiały i porośnięty mchem, który mówił sram na to wszystko, co to za hałas, do cholery? Znów będą nas fotografować!...

VI

CLAUDI

– Słyszałeś, co powiedziałam, Claudi?

– Co?

– Słyszałeś mnie?

– Tak.

– Co ci powiedziałam.

– Nie wiem.

Wzięła głęboki wdech, żeby się uspokoić.

– Wychodzę.

– Dobrze.

– Musisz sobie przygotować obiad.

– Bardzo dobrze.

– Postawiłam ci ciecierzycę obok mikrofalówki.

– Nie umiem obsługiwać tego urządzenia.

– Przygotowałam ci rondel. Dobrze?

– Bardzo dobrze. Kiedy wrócisz?

– Nie wiem.

– Dobrze.

– Nie pytasz mnie, dokąd idę.

– Dokąd idziesz?

– Nieważne. Ciecierzycy, rondel, kuchnia. Zapamiętasz?

– Tak, dziękuję.

Usłyszał kroki kobiety, jakieś dźwięki w kuchni i zaraz ponownie Herminia pojawiła się w gabinecie. Podniósł głowę. Przypatrywała mu się tak, jakby chciała go oszacować.

– Gdybyś musiał wyjść, zmień koszulę.

– Nie muszę wychodzić.

– Słyszałeś, co powiedziałam? Zmień koszulę, gdybyś wychodził.

– A ta jest zła?

– Jest okropna.

– Nie muszę wychodzić – powtórzył z naciskiem, w obronie własnej.

Ale kroki żony już oddalały się w korytarzu. Jeszcze usłyszał skrzypnięcie otwieranych drzwi i zaraz potem, jak zamykają się z rezygnacją.

Trwał jakiś czas pogrążony w lekturze, otoczony przyjazną ciszą panującą w mieszkaniu. Upłynęła długa godzina, zanim podniósł głowę: był głodny.

– Herminia?

Nikt mu nie odpowiedział. Tylko jakieś mgliste wspomnienie... Nie: nie wiedział, co mu właściwie powiedziała. Wstał i wyszedł z gabinetu.

– Herminia?

Kiedy mijał kuchnię, postanowił tam zajrzeć. Zobaczył rondel, ciecierzycę i wszystko sobie przypomniał. Przełożył ciecierzycę do rondla i postawił na wolnym ogniu. Poszedł do salonu. Tam zasiadł w fotelu. Wpatrywał się intensywnie w obraz, który go fascynował już od paru miesięcy. Od kiedy się zrujnował, kupując go wbrew opinii Herminii, która utrzymywała, że to kpina, żeby jedyna postać na obrazie była odwrócona tyłem. Tak: odwrócona tyłem kobieta dokądś szła. Ale prawie dawało się odgadnąć profil jej twarzy, i to ją czyniło bardziej atrakcyjną. Cieszyła wzrok, mimo że luźne ubranie nie pozwalało odgadnąć jej kształtów. Bardzo chciał zobaczyć twarz wieśniaczki. Dokąd zmierzała tak pewnym krokiem? W stronę horyzontu, który...

Wstał i zbliżył się do olejnego obrazu. Po raz pierwszy, a już minęło parę miesięcy, od kiedy go nabyli, uświadomił sobie, że tam, gdzie kierował się wzrok kobiety, coś błyszczało, tak żywo, że wydawało się, jakby...

– O cholera – powiedział, mimo że nie było nikogo, kto mógłby zareagować na jego słowa. Podszedł jeszcze bliżej do płótna, do tej jasności w głębi. Kątem oka cały czas obserwował wieśniaczkę, jakby stojąc tak blisko, już ją wyprzedził i odwracając się dyskretnie, mógł zobaczyć jej twarz w całej okazałości. I zobaczył. Oświetloną, promienną.

– Dzień dobry – zagadnął ją wesoło. – Dokąd pani zmierza?

– W tamtą stronę. W stronę światła. A pan?

– Nie... Chciałem tylko zobaczyć pani twarz.

Wieśniaczka zatrzymała się rozbrojona jego odpowiedzią, z rękami na biodrach, i wybuchnęła szczerym śmiechem:

- No to już pan zobaczył. Skąd pan idzie?
- Nie wiem dokładnie. Mogę pani towarzyszyć?
- Czemu nie.
- Och, jaki wspaniały zapach!
- Ma pan na myśli obornik?
- Och, już tak dawno nie... Nieprawdaż?

Już wiedział, że jest zakochany na zabój w tej kobiecie. Spojrzał za siebie bez przekonania, ale zobaczył jedynie okolice wioski kobiety, którą z siebie tylko wiadomych powodów uznał za atrakcyjną. Nie był młody, ale czuł się w pełni sił, energii, z apetytem na szczęście, z chęcią wpatrywania się w słońce na wschodzie, i powiedział wieśniaczce jeżeli dasz mi rękę, będę ci towarzyszyć, by zobaczyć słońce wyłaniające się zza... Jak się nazywa to wzgórze?

- Wzgórze Osłów.
- Zza Wzgórza Osłów. Jaka piękna nazwa!
- To tylko nazwa. A pan jak się nazywa?

Profesor uściśnął jej rękę. Pierwszy odcinek drogi znał na pamięć, tak często go obserwował z jadalni swojego mieszkania. Ale teraz zaczęli się wspinać na nieznane wzniesienie, wyraźnie oświetlone wschodzącym słońcem...

- Co za zapach, o mój Boże!

Po obu stronach drogi rozciągały się świeże ścierniska.

- Tak, to rosa.
- Ach, rosa... – westchnął profesor, oddychając pełną piersią. I wyobraził sobie, że ma osiem lat i biega po ścieżkach Sau. Odwrócił się w stronę kobiety.
- Kocham cię – powiedział.

Ona, nie wypuszczając jego dłoni, spojrzała mu w oczy i wybuchnęła śmiechem, który w jego uszach zabrzmiał jak szum strumyka. Claudi poczuł zapach świeżo zżętych żyta i pszenicy, związanych w snopki.

Spojrzał za siebie, w stronę zachodu, z lekkim wyrzutem sumienia. Widać było tylko wioskę kobiety, jak przed chwilą, jakby nie ruszyli się z miejsca, chociaż światło wschodu stawało się coraz silniejsze.

Claudi i śmiejąca się wieśniaczka szybko dotarli na szczyt Wzgórza Osłów. Słońce już stało wyżej, straciło żółty odcień porannej jutrzynki i raziło w oczy. Wszystko wokół było przezroczyste. Zapach zżętej pszenicy dochodził aż do szczytu pagórka. A na dole snopki tworzyły mendle...

– Nadal zbieracie zboże w ten sposób? – Wskazał jeden z mendli blisko drogi.

– A niby jak mielibyśmy to robić?

Wolał nie zgłębiać tematu. A ponieważ to, co teraz przeżywał, było nieprawdopodobne, wziął obie ręce wieśniaczki w swoje dłonie i zapytał, jak się nazywa. Uśmiechnęła się i wskazała kieszonkę koszuli.

– Co pan tam ma?

Spuścił głowę. Długopis. Wyciągnął go i położył jej na dłoni.

– Chcesz? Jest ze srebra.

– Do czego służy?

– Do pisania. – Nieśmiało: – Umiesz pisać?

– Och, nie!

Oddała mu długopis, tracąc zainteresowanie.

– To nie pisze się ołówkiem?

Zwrócił uwagę na ręce dziewczyny: silne, spracowane, prawie jak ręce mężczyzny.

Wrócili tą samą drogą.

– Jak się nazywa ta wieś?

Odpowiedzią był tylko jej dźwięczny śmiech.

– No, powiedz, jak się nazywa?

– A niby jak ma się nazywać? Pan pyta o takie rzeczy...

Zamilkła; w miarę jak się zbliżali do wsi, zauważył coś jakby opór, który nie pozwalał mu iść swobodnie. Ta trudność powiększała się z każdym krokiem.

– Co panu jest?

– Sam nie wiem. Trzymaj mnie...

– Już nie nazywa mnie pan panią?

– Jak ci na imię?

Ale w momencie, gdy dziewczyna otwierała usta, Claudi poczuł, że wciąż go jakaś siła, której nie potrafiłby nazwać. Mógł jeszcze zobaczyć, jak wieśniaczka porusza ustami, może wyjawiała mu imię, ale już jej nie słyszał. I wtedy uderzył całym ciałem o ziemię, a wokół zapanowała ciemność, jakby nagle oślepl.

Znajdował się w zamkniętej przestrzeni, która miała swojski, choć trudny do zidentyfikowania zapach. Podniósł się z obolałym tyłkiem. Jego kroki wywoływały echo, jakby się znalazł w jakimś pustym wnętrzu. Po paru minutach oczy oswoiły się z ciemnością. Świeciło tu słabe światło, którego źródła nie umiał zidentyfikować. Zrobił jeszcze kilka kroków, znów usłyszał ich echo. Zbliżył się do otworu, coś jakby drzwi, które prowadziły do... Teraz, kiedy oswoił się ze światłami ewakuacyjnymi, zaczynał rozumieć. Te światła pochodziły ze zredukowanego do minimum oświetlenia sali, w której się znajdował, a on, wracając z pejzażu przesyconego słońcem wyłaniającym się zza Wzgórza Osłów, na moment został oślepiony. Sala ze światłami ewakuacyjnymi, jakby to był teatr... Jakby... Nie: wisiało coś na ścianach. Obrazy. Muzeum. Wrócił po swoich śladach do miejsca, w którym spadł. Teraz, z trudnością, rozpoznał obraz: *La paysanne* Milleta. Jego obraz; i jego wieśniaczka niemal odwrócona tyłem. Znajdował się w muzeum. W muzeum? Był w sali, z której jedyne wyjście prowadziło do dwóch kolejnych sal, wychodzących na szeroki korytarz. Nad wejściem do korytarza był napis, którego nie dało się odczytać z powodu ciemności.

Przechadzał się po innych salach, próbując odgadnąć, co to za muzeum. Również nie rozpoznawał obrazów, nie mógł ich skojarzyć z jakąś znaną instytucją. Chociaż tak: sądząc po niektórych płótnach, mogło to być Miejskie Muzeum Malarstwa, ale nawet skąpe światło, jakie mu towarzyszyło, zadawało temu kłam, bo tu wszystko było uporządkowane i pięknie pomalowane, bez kurtyn, które tylko zbierały kurz. Kiedy trochę przyspieszył, uświadomił sobie, że jego kroki rozbrzmiewały skandalicznie głośno. Nie wiedział, co ma robić, ale instynktownie zdecydował, że nie ma ochoty się ujawnić, dopóki nie będzie miał jasności co do tego, co się stało. A poza tym *La paysanne* Milleta nie wisiała w Miejskim Muzeum Malarstwa, tylko w jego domu. Był tak oszołomiony, że tym, co naprawdę było niepojęte, a mianowicie, że obraz go wypluł, połknąwszy go uprzednio, w ogóle nie zaprzętał sobie głowy.

Po paru godzinach błądzenia był już pewien: znajdował się w odnowionym Miejskim Muzeum Malarstwa. Bardzo go to uspokoiło, bo uświadomił sobie, że śni. Zobaczył przed sobą strzałkę kierującą do męskiej toalety, która mu przypomniała, że jest spragniony; wszedł i wypił porządny łyk wody prosto z kranu.

Mimo oczywistości miejsca, w którym się znajdował, kiedy usłyszał coś w rodzaju przytłumionej syreny i zapaliły się kolejne światła, a z daleka dobiegł odgłos różnych kroków, i wszystko wyglądało realnie, on poczuł się nie na miejscu. Musiał odrzucić wyjaśnienie, że to sen. Zdecydował się ukryć w toalecie, żeby zyskać na czasie i wszystko przemyśleć. Został wypluty przez obraz, a w to nikt mu nie uwierzy.

Która to godzina? Według jego zegarka... żadna: zegarek stanął. Stanął? Zegarek, w którym dopiero co wymienił baterie? W każdym razie spędził długą godzinę w toalecie, aż się oswoił z rutynowymi odgłosami muzeum: krokami, urwanymi rozmowami, przytłumionym śmiechem któregoś strażnika, stukającymi obcasami jakiejś pani... Odetchnął głęboko i wyszedł z miną jednej z wielu osób zwiedzających, starając się ukryć nie wiedzieć jakie przestępstwo. Jakby był zwykłym zwiedzającym, ruszył w kierunku trzech sal w głębi. Teraz mógł odczytać napis: Wystawa ze zbiorów J.G. Jasne. To sale zarezerwowane na wystawy czasowe. Wziął głęboki wdech i skierował się do wyjścia.

– To niemożliwe, to niemożliwe... – powiedziała cichym głosem bardzo postarzała Herminia, trzymając się mocno drzwi, bo ledwie mogła ustać na nogach. Z otwartymi ustami patrzyła na mężczyznę, który stojąc w progu, nie decydował się wejść do środka.

– Co jest niemożliwe? – odezwał się jakiś mocny głos dochodzący z mieszkania.

– Claudi... – wyszeptała kobieta, patrząc na zjawę.

– Wydaje mi się, że zostawiłem ciecierzycę na ogniu.

– Co takiego? – Herminia była bliska omdlenia.

– Bardzo mi przykro. Musiało wszystko się spalić.

– O cholera, Claudi! – odezwał się donośnym głosem mężczyzna, który właśnie podszedł do drzwi.

– Mogę wejść? – Ostentacyjnie zignorował mężczyznę, ale nadal coś go powstrzymywało przed wejściem do środka.

– Oczywiście – powiedział ignorowany mężczyzna. – Ale skąd, do cholery...
– Do Herminii: – Bo to Claudi, prawda?

Zamknął drzwi, które nadal skrzypiały.

– Oj, nie wiem, co mi jest – powiedziała Herminia, spiesząc do salonu, żeby jak najszybciej usiąść.

– Ile czasu minęło, od kiedy...? – zapytał, przekraczając próg jadalni, która bardzo się zmieniła. *La paysanne* już nie wisiała na ścianie.

– Ile czasu minęło od czego? – Herminia, pocierając ręce, nadal zmieszana, opadła na starą sofę.

– Od... od... Nie wiem. Od... No nie wiem: od kiedy wyszedłem. – Odniósł się do jej wyglądu: – Widzę, że się zmieniłaś.

Wtedy przyszło mu do głowy, żeby zajrzeć do swojego gabinetu, obok jadalni. Wystarczyło przekroczyć próg, a już pojawił się ból – stół i jego ukochane papiery znikły, a półki z książkami zostały zastąpione okropną tapetą, tak jakby czuli przemożną potrzebę, żeby zatrzeć po nim wszelki ślad. Poczul na ramieniu rękę mężczyzny, który się tłumaczył niepewnym głosem.

– My po prostu... Ten pokój...

– Mieszkasz tutaj?

Wyszedł z gabinetu, nie czekając na odpowiedź. Herminia siedziała i patrzyła na niego przestraszona.

– Musimy zawiadomić... – wydusiła z siebie.

– Kogo? – zapytał Claudi odruchowo, ale bez specjalnego zainteresowania.

– Nie wiem. Doktora Grau. Prawda?

– Tak, to dobry pomysł – powiedział mężczyzna i jak tchórz wycofał się z jadalni.

Herminia nie miała odwagi upomnieć go powinieneś wiedzieć, Claudi, że martwi nie wracają do domu. Również nie chciała mu wypominać bardzo drogich, ale szczerych, bardzo szczerych egzekwii; nawet nie powiedziała, że modliła się do wszystkich świętych, żeby go przyjęli na swoje łono, i do Boga, żeby okazał miłosierdzie jego duszy. Również nie wymawiała mu wyplakanych

łez ani wyrzutów sumienia, a to dlatego, że płakała ze złości, smutku, z poczucia bezsilności, kiedy powtarzała sobie między nami nie wszystko było, jak trzeba; dlaczego zostawiłam cię samego tamtego dnia, dlaczego... Ale przede wszystkim, chociaż nie była tego świadoma, podobnie jak wszyscy żywi ludzie, myślała i co ja teraz zrobię z moimi niepotrzebnymi łzami?

– Dlaczego jesteście tacy... – powiedział Claudi, patrząc na żonę. I wskazując głową korytarz. – Kim jest ten facet?

Ona zasłoniła twarz dłońmi i rozpłakała się. Claudi nie pamiętał, żeby płakała kiedykolwiek z takim przekonaniem.

– Co tu, do cholery, się wydarzyło, możecie mi to wyjaśnić?

– Ale to niemożliwe.

– No dobrze: albo mi wyjaśnisz, albo...

– Umarłeś dziesięć lat temu, Claudi – powiedziała, wyciągając chusteczkę z kieszeni. – Dziesięć lat temu.

Teraz to on musiał usiąść na sofie.

– Zmarłem? Dziesięć lat temu? – Machnął ręką. – Zwariowałaś.

– Dziś mija dziesięć lat.

– Zawracanie głowy.

– Dziś mija dziesięć lat, Claudi. Pamiętaliśmy o tej dacie każdego roku z tych dziesięciu.

– A na co zmarłem, jeśli można spytać? – trochę, tylko trochę wkurzony.

– Na co? – Patrzyła przed siebie, jakby chciała wzrokiem przebić ściany, a za nimi czas. – Nie wiesz?

– Ależ Herminio... Skoro tu jestem, to znaczy, że nie zmarłem!

– Zaraz przyjdzie doktor Grau – poinformował mężczyzna, zaglądając do jadalni.

Poważnym, cichym głosem, w którym słyhać było pretensje i dużo zapiekłego bólu, Herminia powiedziała Claudi, rzuciłeś się przez okno. Nie wiem dlaczego, bo nigdy nie mówiłeś, że...

Zaszlochała i wytarła nos. Później spojrzała mu w oczy i mówiła dalej.

– Nigdy nic nie mówiłeś... – Pokręciła głową. – Czy ja wiem? Mój Boże, oczom własnym nie wierzę.

– Dotknij mnie – powiedział, wyciągając do niej rękę. – Dotknij, do cholery!

Po chwili wahania z całej siły ścisnęła chusteczkę i wyciągnęła drugą rękę w jego kierunku. Trzy szczupłe zimne palce dotknęły dłoni Claudiego.

– Widzisz, kobieto? Nie jestem duchem.

– Dziesięć lat temu. I nic się nie zmieniłeś.

– Widzisz? Nie umarłem! – Zastanowił się przez chwilę. – Ale ty się postarzałaś.

– To przez ciebie się postarzałam... Przez ciebie i pod wpływem czasu stałam się stara.

– Herminia mówi prawdę. Wskoczyłeś przez to okno, a ja zaświadczyłem przed sędzią – powiedział mężczyzna.

– Co zaświadczyłeś?

– Zrozum mnie... Chodziło o to, żeby oszczędzić zmartwień biednej Herminii...

– Co zaświadczyłeś?

– Że ty to ty. Z rozbitą głową i połamanymi nogami, ale że to byłeś ty.

– Na litość boską! – protestowała Herminia.

– To co, do cholery, mam powiedzieć! – bronił się, zdenerwowany.

– A skąd wiedziałeś, że ja to ja? Ja ciebie nie znam.

– No... Ja... owszem, ja ciebie znałem. Jesteś znany.

– Myślę, że się mylisz.

– Jesteś profesorem bardzo... Przepraszam; jesteś tym profesorem, który... Co mam ci powiedzieć! Znałem cię, i tyle. – Do Herminii: – Doktor mówi, że będzie najpóźniej za dziesięć minut.

– Żeby sprawdzić, czy jestem żywy czy martwy?

– Nic nie rozumiem, nic z tego nie rozumiem – powtarzała Herminia, pocierając nos chusteczką, jakby chciała zahamować krwotok wspomnień i zmartwień.

– Bardzo dobrze – powiedział Claudi. – Już mniej więcej wiem, o co chodzi. Mogę iść się odlać?

– Oczywiście, proszę – odezwał się mężczyzna. – Drogę znasz.

W ciągu paru minut wrócił do Miejskiego Muzeum Malarstwa, stęskniony, jakby życie miasta, ruch na drodze, spieszący się ludzie byli dla niego tylko przeszkodą.

Nie wiedział, jaki to dzień tygodnia. Nic nie wiedział. Miał tylko jasność, że za żadne skarby świata nie stanie oko w oko z doktorem Grau. Spacerował od niechcienia po salach. W sali XIV natychmiast zwrócił uwagę na wieśniaczkę, której imienia nadal nie znał. Podszedł do obrazu. *La paysanne*. Jego obraz. Jego słońce. Jego wieśniaczka, która mu jeszcze nie powiedziała, jak się nazywa. Stał przed nim długą, bardzo długą chwilę. Później spacerował po całym muzeum i trochę się zdenerwował, kiedy zorientował się, że jeden ze strażników dziwnie na niego patrzy. Wiedział, że nie ma przy sobie nic, co by wyglądało podejrzanie, ale to spojrzenie wcale mu się nie podobało. Udał, że interesują go inne epoki, i oddalił się od swojej wieśniaczki; przyglądał się obojętnie obrazowi Picassa, który w innych okolicznościach wywarłby na nim wrażenie. Patrzył też na pozostałe obrazy, obojętnie, bo głowę miał zaprzątniętą czym innym. On tylko czekał, aż przyjdzie pora zamknięcia galerii i ta pora nadeszła, kiedy jasnowłosa strażniczka z grubymi nogami wypraszała zwiedzających proszę wyjść, już zamykamy, proszę się skierować do.

Claudi, zamiast skierować się do, zdecydował się schronić w toalecie, którą już znał. Tam czekał, aż zapanuje spokój. Wreszcie zgasły światła. Wtedy wyszedł ze swojej kryjówki i skierował się do sali wieśniaczki, ale nie potrafił stłumić odgłosu kroków. Nagle oślepiła go latarka. To musiał być ten przeklęty strażnik, który chciał go przyłapać, albo stróż nocny. Nie zastanawiając się długo, rzucił się biegiem przed siebie przez sale, w ciemności, orientując się po obrazach, że już się zbliża do swojej wieśniaczki, a za nim krzyki, napomnienia, pogrożki i ruchome silne światło latarki. Wreszcie wpadł do swojej sali i sam nie wiedząc, co robi, rzucił się na obraz. Po kilku sekundach latarka, a za nią zdyszany strażnik, przeczesywali całe pomieszczenie z nadzieją na pewne zwycięstwo, bo sala nie miała drugiego wyjścia. Ale nie było nikogo.

– Coś takiego! – zawołał strażnik. Nie wierząc własnym oczom, znów przeczesał latarką wszystkie kąty. Nic.

W laboratorium zebrało się troje wyspecjalizowanych restauratorów i osobiście

pan J.G., który nie otworzył ust ani razu. Ta, która miała tu najwięcej do powiedzenia, z okularami spuszczoneymi na szyję, powiedziała nie da się tego wyjaśnić w żaden sposób. Wszyscy zebrani z uwagą oglądali obraz *La paysanne* Jeana-François Milleta, ustawiony dla wygody na sztalugach. Wszyscy czworo prawie dotykali go nosem. Wieśniaczka, która częściowo ukrywała twarz, uchwycona w pozie niebędącej pełnym profilem, szła w kierunku wschodzącego słońca, wylaniającego się zza jakiejś bliżej nieznannej góry. Na pozór wszystko było w porządku. Ale konserwator, który wywołał zamieszanie, wskazywał teraz ostrożnie plamki obok wieśniaczki. Plamki, które przy odrobinie wyobraźni mogły sprawiać wrażenie czyjejś obecności...

– Zostawmy to tak, jak jest – uciął J.G.

– Ale nie było tu ich przed incydem.

– Są państwo pewni?

Nikt nie chciał się wychylać. On dobrze wiedział, że plamek wcześniej nie było, natomiast sprawiał wrażenie osoby, która najmniej się tym przejmuje.

– Wilgoć? – zaryzykował tylko po to, żeby coś powiedzieć.

– Nie.

– Grzyby?

– Nie. Tu jest tylko farba.

– Zjawiska nadprzyrodzone?

– Proszę nie żartować...

Wniosek ekspertów, który zamykał sprawę, był następujący: pigmenty plamek, które się pojawiły zaledwie parę godzin temu, były z tej samej epoki co wszystkie pigmenty na obrazie, a pod malunkiem tych niepojętych form znajdowało się tylko płótno, co ich jeszcze bardziej zdziwiło.

Właściciel obrazu i wszystkich dzieł uczestniczących w wystawie czasowej zapewnił, że nie zamierza składać żadnej reklamacji ani w muzeum, ani w ratuszu, i wszyscy odetchnęli z ulgą. A kiedy już się znalazł w domu, zamknięty w swojej sancta sanctorum, spędził długie godziny przed *La paysanne*, licząc na to, że dostrzeże tam jakikolwiek ruch. Był przekonany, że ktoś go wyprzedził.

VII

RAJ

Dzień, w którym zabiłem pierwszą dziewczynkę, uświadomił mi, jak łatwo mi przychodzi zabijanie, ale jednocześnie nieodwracalnie zmienił moje życie. Od tego momentu wykluczyłem się bowiem z normalności, stałem się kimś wyjątkowym. Z tak prostego powodu, wcześniej nigdy bym w to nie uwierzył. Teraz tak, i to bardzo. Zwłaszcza że mam zakaz wstępu do Raju i muszę żyć ze świadomością tej kary. Albo buntując się przeciw niej: mam szaloną nadzieję, że pewnego dnia zakradnę się tam wbrew zakazowi. Teraz, kiedy wiem, że jedyne ciepło ludzkie, do którego mam prawo, należy do mego adwokata, przyjąłem do wiadomości, że skazany jestem w życiu na samotność. Nie mam prawa wrócić do domu, bo to już nie mój dom. Ani żona, ani chłopiec nie chcą nawet o mnie słyszeć. Ani matka w podeszłym wieku, ani moje siostry nie zamierzają nigdy mnie oglądać. Nie mam do nich o to pretensji: ja także za nimi nie tęsknię. Nie wiedziałbym, gdzie oczy podziać, i one też. Lata spędzone w więzieniu pomogły mi pogodzić się z tym, że w życiu mogę liczyć tylko na siebie. Przez dwadzieścia dwa lata nikt mnie nie odwiedził, jeśli nie liczyć adwokatów. Miałem ich pięciu, wszyscy z urzędu, i wszyscy, choć teoretycznie graliśmy w tej samej drużynie, nie przejawiali wielkiej ochoty, żeby dać mi jakiś powód do radości. Żadnych wizyt, ani dawnych przyjaciół, ani krewnych; wszyscy odwrócili się ode mnie, a mnie to zwisa. Żyję sam, sam żyłem w celi i sam będę żył poza więzieniem. Nie wiem, skąd tyle hałasu o moje uwolnienie; ja o nie nie prosiłem, w gruncie rzeczy cela była moją skorupą, chroniła mnie przed nienawiścią ludzi z zewnątrz, pozwalała mi studiować i czytać wszystko to, czego w życiu bym nie przeczytał, gdybym był na wolności. Teraz będę musiał patrzeć na odmieniony pejzaż, nowe twarze, martwić się, żeby mnie ktoś nie rozpoznał... Wyznaję, że mam ochotę popatrzeć na dziewczynki pijące cola cao, przejdę przed nimi jak ktoś, kto szuka spokojnego stolika, przy oknie, z widokiem na ulicę. Chcę też patrzeć im w oczy tak długo, aż one na mnie spojrzą, żeby sprawdzić, czy odgadują moją istotę, moją naturę, która wychodzi mi przez skórę i przez oczy, czy raczej to tylko moje wymysły. No dobrze, żeby była jasność: jeżeli czegoś żałuję, to nie tego wszystkiego, co zrobiłem, tylko że tak głupio wpadłem. Nie mam żadnych wyrzutów sumienia. Oczywiście, teraz

bym już tego nie robił, ale nie ze względu na dziewczynki, tylko przez cały ten szajs, jakim jest konieczność ukrywania się, i lęk, który temu towarzyszy; tak, przede wszystkim strach, jaki mi wpoili. Mówię, jak jest i co czuję: gdyby mnie nie wypuścili, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby umrzeć w więzieniu. Niech ich wszystkich jasny szlag; ja sam sobie wystarczam. I do nikogo nie mam zaufania. Ale wbrew zakazowi wrócę tam i siądę przy tym samym stoliku; może jak już będę siedział, zobaczę po prawej stronie jakąś inną dziewczynkę popijającą cola cao. Nawet jej nie dotknę, ale miałbym wielką ochotę przejść blisko niej, kiedy będę szedł do toalety. W ten sposób mógłbym wyobrazić sobie, że życie wznawia swój bieg w punkcie, w którym wszystko się popsulo. Można powiedzieć, że to z mojej winy, bo się zagapiłem. Nie da się o wszystkim pamiętać. Złapali mnie na gorącym uczynku, bo nie umiałem się powstrzymać, kiedy słyszałem krzyk dziewczynki w ciemności. A jak dodać do tego przeklęty pech, że prawo jazdy wypadło mi, kiedy czwarta świnka kopła mnie w brzuch... Prawo jazdy o wszystkim przesądziło, było jak mój podpis, kiedy znaleźli ciało, choć muszę przyznać, bardzo niestarannie je pogrzebałem. Ja się przyznałem, że owszem, pojawiłem się w baraku, ale jakieś dwa–trzy dni wcześniej.

– I co pan tam robił, w tym baraku?

– Lubię spacerować i rozmyślać. Zawsze mi się podobał pejzaż w Romeus. A ponieważ wiał nieprzyjemny wiatr, wszedłem do środka.

– Serwis meteorologiczny zapewnia, że w tym tygodniu ani razu nie wiał wiatr w tych okolicach.

– Serwis meteorologiczny nie spacerował w Romeus tamtego dnia.

– I w czasie tych dwudziestu... dwudziestu pięciu dni nie zauważył pan braku prawa jazdy?

– Nie. Ile czasu minęło, od kiedy sprawdzał pan ostatnio, czy ma przy sobie prawo jazdy? Co? Proszę sprawdzić, może też gdzieś pan zgubił i nie wie gdzie.

Nie uwierzyli mi, chociaż się zaklinałem na wszystkie świętości, że mówię prawdę. Poza tym bardzo trudno jest kłamać: musisz doskonale pamiętać wszystko, co powiedziałeś, wersję, którą stworzyłeś, konfabulując, żeby nie popaść w sprzeczność w zeznaniach. Zawsze się znajdzie jakiś cwaniaczek, który cię na tym przyłapie. Ach, a nie powiedział pan wcześniej, że to w piątek wychodził pan ze szkoły? Dobrze, faktycznie się pomyliłem, zgoda. Ach tak?

A nie mówił pan, że jest całkiem pewien? I tak dalej w tym stylu, tylko po to, żeby cię skołować i zmącić myśli. A potem mówią, że oskarżony wielokrotnie popadał w sprzeczność. Specjalnie tak robią, żeby cię pogrzyżyć, choćbyś był niewinny. Teraz, w ciągu tych lat, wypracowałem sobie taką wersję wydarzeń, która całkowicie uwalnia mnie od winy. Pięć dziewczynek, jedna po drugiej. Perfekcyjnie. Ale już za późno, bo gdy całą beczkę soli zjadłem w więzieniu, w ciągu dwudziestu dwóch lat, to mnie wypuszczają na wolność i mam ochotę złożyć pewną wizytę, nie całkiem niewinną. Powiedzmy, żeby domknąć krąg. Pójdę się przywitać z tym przeklętym dziennikarzem, który jak tylko rozeszła się wiadomość o wypuszczeniu mnie z więzienia, opublikował moje aktualne zdjęcie. Nazywa się Vélez Coştam i w internecie znalazłem jego fotografię: dobrze ją sobie zapamiętałem. Z winy tego degenerata ogoliłem głowę i zapuszczam brodę; ten skurwiel, publikując moją podobiznę, postawił mnie nagiego na środku drogi. Najpierw myślałem złożyć wizytę więziennemu fotografowi. Ale nie: on robi swoją robotę, przeznaczoną do archiwum. To dziennikarz tak go omotał, że zdobył mój portret i opublikował z takim komentarzem, że można go podać do sądu... Jasne, że facetowi nie mogę wybaczyć. Wiem, mam dwie opcje, kiedy już go zlikwiduję: albo wziąć na siebie śmierć skurwysyna, albo tego nie robić. No patrzcie, wkurzam się i zaczynam rzucać mięsem. Przedtem byłem dobrze wychowany, ale więzienie wszystko niszczy, nawet maniery. Jeżeli wezmę na siebie śmierć tego zasrańca, znów stanę poza prawem i będę musiał się ukrywać. Nie ma mowy!... Jeśli nie przyznam się do zabójstwa, śmierć naprawdę ma wyglądać na wypadek w ludzkich oczach, ale nie w jego uszach: jemu trzeba uświadomić, kim jestem i dlaczego musi umrzeć. Powiem mu to, patrząc prosto w oczy. Napawając się jego strachem, tego pieprzonego imbecyla. To nie ja dokonam zemsty, to moje wspomnienia. Na razie nie chcę o tym mówić nawet na tych stronach, do których nikt nie ma dostępu i których nigdy nie znajdzie, bo są dobrze ukryte w mojej głowie. Tak się przyzwyczyłem do spędzania dni na rozmyślaniu, że półeczki mentalne mam dobrze umeblowane.

Nic więcej nie mogę zrobić: muszę przyznać, że cieszy mnie perspektywa wypalenia cygara przy kawie i wyglądania przez okno na ulicę bez dzwonek, syreny i gadki funkcjonariuszy no rusz się, kurwa, głuchy jesteś czy co. A tu słyszę, że już lata temu rząd zabronił palenia w barach i ludzie się nie buntują.

To niby gdzie mamy palić? Idiota ze mnie, bo przecież rzuciłem palenie jakieś pięć lat temu, a teraz, kiedy zaskoczyła mnie wolność, wróciłem do nałogu. Jestem wolny półtora dnia i zdążyłem wypalić trzynaście cygar, aż mnie zemdliło, natomiast nie otworzyłem jeszcze żadnej książki. Po pierwsze, musiałbym ją sobie kupić albo pójść do jakiejś biblioteki i powiedzieć, jak się nazywam, a to mi się nie uśmiecha. To nie żarty mieć zakazane, wyklęte nazwisko. Nie żebym miał jakieś opory moralne, bo wszystko mi zwisa, ale to bardzo niepraktyczne w życiu codziennym.

Wiem, że jestem zadzumiony. Byłem nauczycielem historii, nieźle zarabiałem, wychowałem się w normalnej rodzinie, miałem żonę i syna i podobały mi się dziewczynki, ej, trzymałem to w ryzach aż do dnia, kiedy sprawy przybrały zły obrót, ponieważ zaproponowałem takiej jednej, że ją odprowadzę do domu, i tak jakoś wyszło, że nie poszliśmy do domu, tylko zabrałem ją do lasu Romeus, na co ona ależ panie profesorze, gdzie pan idzie, to nie tędy. Potem mnie wkurzyła, bo tylko płakała i płakała, a ja chciałem, żeby się zamknęła, i w końcu tak zrobiłem, że przymknęła się raz na zawsze, do cholery. To była jej wina, a ja mogę przysiąc, że nie chciałem jej zabić. Tak wyszło, dlatego że miałem do czynienia z beksą. W każdym razie nic się nie stało. Mówiło się o niewytłumaczalnym zniknięciu i tym podobne rzeczy, ale żadnych konsekwencji. A ponieważ wszystko poszło tak łatwo, znów ogarnął mnie niepohamowany apetyt na dziewczynki i po paru dniach, co było ryzykowne, bo nadal szukali tamtej beksy i z góry skazany byłem na niepowodzenie, no więc pim pam; w gruncie rzeczy zrobiłem to, bo spodobał mi się klimat niebezpieczeństwa, tajemniczości, dziewczynek i przygody... No i kto by pomyślał: dziewczynka nie płakała. Uśmiechała się. Ale jak już zrobiłem swoje, ta przeklętnica powiedziała znam cię, ty jesteś profesor Russó, prawda? Widać nie trafiłem na naiwną, choć na taką wyglądała. Ja na to nie wiem, o kim mówi, nie znam człowieka, a ona jeszcze dodała, że wie od przyjaciółek, że dziwny ze mnie gość, i widzę, że faktycznie. Czyli że zabrałem do lasu lolitkę! Dotarło do mnie, że nie da się żyć pod presją takiego zagrożenia i pozwoliłem jej się wygadać; nawet się wypowiedziała, z pogardą, o moich genitaliach, a ja zapytałem gdzie się tego nauczyłaś, kurewko, a ona na to od facetów takich jak ty, profesorze Russó. I wtedy musiałem ją udusić, nie miałem wyjścia. Śmiesz mi, kiedy mówią, że jestem chory. Nic z tych rzeczy, po

prostu poza barokiem i ogólnie nowożytnością aż do końca ancien régime'u również podobają mi się dziewczynki, podniecają mnie lolitki, tylko żeby nie gadały. Problem w tym, że nawet jeśli nie paplają, moje nieletnie kochanki muszą być, już po wszystkim, zamordowane, zamordowane na amen: zneutralizowane. To nie moja wina, tylko okoliczności; adwokaci tego nie rozumieją, adwokaci to zasrani imbecyle. Żaden z pięciu, jakich miałem, tego nie ogarniał. Krążą wokół tematu i nawijają coś o moralności... Pieprzone papugi.

Nie liczyłem się z tym, że mnie nakryją, zwłaszcza tak szybko. Nadmierna ufność, która doprowadziła mnie do wielu zakazów, a przede wszystkim – to moja obsesja – zakazu wstępu do Raju. Tylu rzeczy muszę się wyrzec, bo jakbym sobie pozwolił, wróciłbym do więzienia... Moje więzienia: Manzanares, cztery lata, Can Brians, sześć, Lleida, pięć, Quatre Camins, siedem. Aż do tego dnia, kiedy mi powiedzieli, że mogę się zabierać, i to przed zakończeniem wyznaczonej kary. Okazuje się, że na mocy nie wiem jakich przepisów muszą mnie wcześniej wypuścić... Nie wiem dokładnie, o co tu chodzi, bo jak adwokaci mi to wyjaśniali, myślałem o niebieskich migdałach; nie byłem zainteresowany tematem: wiedziałem, że mam tam spędzić całe życie, więc nie interesowało mnie liczenie dni.

Wypuścili mnie na wolność daleko od domu i ostrzegli, że nie wolno mi do niego wracać. Ani zbliżyć się do miasta na odległość mniejszą niż sto kilometrów. Jestem wolny, a to znaczy, że zrobię, na co mam ochotę, pojedę, dokąd zechcę, a oni niech się cmokną w nos. Teraz siedzę w pociągu, po tylu latach, i prawie nie patrzę na pejzaż za oknem, tak bardzo mnie absorbuje myślenie i zapisywanie w głowie, podczas gdy zbliżam się do mojego domu, do miasta, do zakazanego miejsca. A potem złożę tę wizytę, o której wspominałem, i przysięgam, że dopiero wtedy odejdę gdzieś daleko. Niech się wypchają sianem! Nie odwiedzę rodziny: nikt na mnie nie czeka. Chłopiec, który teraz będzie miał tyle lat co ja, jak się to wszystko wydarzyło, natychmiast zmienił nazwisko, skurwysyn, i już nie nazywa się Rousseau, co jest świetne do podrywania; przynajmniej jesteś Francuzem, co, chłopiasiu? No więc chłopiec nie przyjechał mnie odwiedzić ani jednego zasranego razu. Niech spada! Krzyżyk na drogę. Żona przyjechała raz i to było straszne. Zapowiedziała, że wyprowadza się gdzieś daleko, i powiedziała mi dużo przykrych rzeczy; lepiej

by zrobiła, gdyby wcale nie przyjeżdżała. Niech się wypcha, ona też! Wiem, jestem sam.

Nie zacznę znów z dziewczynkami, bo stawka jest za wysoka. To narkotyk, na który nie mogę sobie pozwolić. Ale coś będę musiał robić. Zabronili mi powrotu do szkoły i zasugerowali cztery posady w różnych miejscowościach. Chcę się gdzieś zatrudnić, jak już wykonam zaległe zadania, oczywiście. Może podejmę fuchę kominiarza: dużo ruchu, brud, oczyszczenie z wszelkich win, potem się przebieram i kiedy będę czysty i pachnący, poczytam sobie trochę i już nie będę słyszał tego no rusz się, kurwa, głuchy jesteś czy co strażników. W gruncie rzeczy wiem, że wbrew pozorom wcale nie jestem narwany. Należałoby powiedzieć, że jestem prawdziwym pacyfistą; to z dziewczynkami to całkiem inna historia, żadna tam choroba czy coś: wszystkim podobają się dziewczynki i nie zamykają ich z tego powodu. Przyznaję, że zabiłem pięć razy, ale nie jestem okrutny: doprowadziły mnie do tego okoliczności, krzyki... Tego moja żona nie chciała zrozumieć, dlatego na mnie splunęła. Tak, kiedy przyjechała na wizytę, plunęła na mnie. To znaczy: płwocina zatrzymała się na szybie w rozmównicy, kiedy byłem w więzieniu prewencyjnym przed rozprawą. To znaczy, zanim uzyskała urzędową jasność, czy jestem winny czy nie. I już na mnie pluła! Nie widziałem jej ani jednego pieprzonego dnia tego pieprzonego procesu. Teraz jesteśmy po rozwodzie, bo nie da się żyć z taką kobietą. Prawdę mówiąc, nawet nie wiem, gdzie mieszka. Wpadłem przez głupi przypadek. Zatrzymali mnie, ponieważ w wesołym miasteczku doprowadziłem do hysterii dziewczynkę, chwytając ją w pałacu strachów, a krzyki przerażenia zwały się z krzykami innych dziewczynek, które też chciały, by ktoś je złapał, żeby móc naprawdę się przestraszyć. Ktoś, nigdy się nie dowiedziałem kto, ale mam wrażenie, że jeden z aktorów, którzy straszą zwiedzających, zaatakował mnie krzesłem i padłem bez czucia w ciemnościach. Nie miałem nic na swoje usprawiedliwienie. A ci skurwysyni ruszyli po nitce do kłębka i dodali dwa do dwóch... Są bardzo sprytni, zadając pytania. Doszli do pięciu zabójstw. A kiedy ja wszystkiemu zaprzeczałem na komisariacie, znaleźli ciało tej świnki, a obok niej moje prawo jazdy. Teraz mogłem sobie gadać, skoro mieli przeciwko mnie takie dowody. Szybko im to poszło: nawet nie pamiętałem, że było ich aż pięć. Jedna po drugiej. Ale sam jestem sobie winien: nie zachowałem ostrożności. A przymknęli mnie tylko dlatego, że postraszyłem dziewczynkę, nic więcej,

w zwykłym familijnym wesołym miasteczku. Kto by pomyślał.

Starając się ukryć podniecenie, powoli otwierałem drzwi Raju, z takim namaszczeniem, jakby chodziło o akt liturgiczny. I już byłem w środku! Za ladą stał ciemnowłosy chłopak i przygotowywał kanapki. W powietrzu unosił się delikatny zapach kawy. Trzy stoliki zajęte. Siadłem przy swoim, który akurat był wolny, tam gdzie siedziałem dwadzieścia dwa lata temu i gdzie rozpocząłem karierę. Dopiero jak się rozgościłem, spojrzałem w prawo, jakby to była ceremonia inicjacyjna. Spojrzałem tam, gdzie siedziała pierwsza dziewczynka, ta, od której zaczęła się katastrofa. Ale zamiast dziewczynki popijającej cola cao zobaczyłem faceta, który podniósł głowę znad hamburgera i nagle się przestraszył. Wkurzyłem się, naprawdę. Mężczyzna z pełną gębą, z otwartymi ustami patrzył na mnie i mówił o kurwa, toż to ten pieprzony morderca, którego wypuścili na wolność, ten zdeprawowany pedał, który... Mężczyzna połknął, co miał w ustach, i uśmiechnął się, a ja wypominałem sobie co z ciebie za idiota, żeby wracać do Raju, kurwa, chcesz sobie skomplikować życie czy co. No i zobaczymy, co teraz robi ten gość. A gość nadal się uśmiechał, przeżuując, i gestem zaprosił mnie, żebym się do niego przysiadł. I kiedy jak w hipnozie już miałem się podnieść, z tyłu za mną pojawił się jakiś mężczyzna, drugi kierowca ciężarówki, który podszedł do stolika tego z hamburgerem i usiadł na krześle, wskazanym mu przez tamtego ruchem głowy. Zimny pot. A ja pomyślałem no popatrz, co za szczęście, jaka szkoda, że nie mam komu o tym opowiedzieć. I kiedy już zacząłem się zastanawiać, czy warto było narażać się na niebezpieczeństwo w tak głupi sposób, tylko żeby poczuć adrenalinę, znów oblał mnie pot, jak przed zawałem, kiedy obaj mężczyźni odwrócili się w moją stronę i przyglądali mi się z powagą. Zimny pot i myśl co ci przyszło do głowy, żeby przekroczyć zakazane drzwi Raju? Wtedy tamten młokos wyszedł zza lady i zapytał, co podać. Żeby była jasność: najchętniej uciekłbym jak najszybciej, ale podkreścony adrenaliną, jakiej dostarcza niebezpieczeństwo, powiedziałem hamburgera z jajecznicą i frytkami. Podwoiłem niebezpieczeństwo. Tak, i piwo. A kiedy sobie poszedł, tamci dwaj przestali mi się przyglądać i z zasłyszanych fragmentów rozmowy wynikało, że pochłonął ich temat nowej ciężarówki, którą właśnie dostarczono i która pewnie stała zaparkowana na ulicy, za moimi plecami.

Zaatakowałem jedzenie bardziej ze złością niż z apetytem: jeden z pierwszych posiłków na wolności, ale w atmosferze zagrożenia. I wtedy zastygłem z otwartymi ustami, pełnymi jajeczniczy i frytek. W lokalnej gazecie na stoliku obok zobaczyłem zdjęcie znanego mi faceta. Sięgam po gazetę i aż mnie замуrowało. Wierzycie w przypadek? Ja nie. To ponad moje siły. Najpierw się poczułem jak sierota, bez celu w życiu: ten skurwiel Vélez patrzył na mnie z gazety, tak jakby mu zrobili jedno zdjęcie w całym życiu, bo to był ten sam portret, który znałem na pamięć. A obok nekrolog. Koledzy z redakcji na zawsze zachowają cię w pamięci. Cholera: zamiast się ucieszyć, poczułem się pozbawiony możliwości zemsty. Nagle. Żeby jakiś przekłety wypadek na drodze zabił mi go, zanim dokonałem aktu sprawiedliwości... Nie będę mógł powiedzieć, że nigdy mu nie wybaczę opublikowania mojego zdjęcia z tekstem, który znam na pamięć: „Zapamiętajcie tę twarz: zdeprawowany morderca, który nosi miano Potwora z Raju, na wolności. Pilnujcie waszych córek. Jeśli go zobaczycie... polejcie go wrzącym dziegciem”. A teraz on nie żyje, a ja nie mam z tym nic wspólnego. Nagle poczułem się pusty. Ja i owszem, na zawsze zachowam cię w pamięci. Poczułem chęć, żeby wziąć udział w twoim pogrzebie, zwłaszcza po tym, jak przekonałeś ludzi, że niby to ja wymyśliłem coś tak idiotycznego jak „Potwór z Raju”. Na litość boską! Może rzeczywiście pójde na ten pogrzeb. Ty skurwysynu, przez ciebie straciłem jakikolwiek poważny cel w życiu. Chyba że sobie poszukam innego, na przykład sędziego, który powiedział, że dożywocie to dla mnie za mało. Albo pięciu godnych pogardy adwokatów. Albo Juliá z Manzanares, który mnie przezwiał mordercą dziewczynek. Albo Bastida, który mnie zgwałcił, nim upłynęły dwa tygodnie od uprawomocnienia wyroku... Tak się przejąłem brakiem celu w życiu, że prawie nieświadomie włożyłem do ust cały widelec frytek. Żeby nie zwracać na siebie uwagi, odwróciłem głowę. „Potwór z Raju”! Też mi coś, zasrany dziennikarzyno, nie mogłeś wymyślić czegoś oryginalnego! Jak tu się nie wkurzyć.

O kurwa mać: na ulicy, nie widząc mnie, może oślepią odbłaskiem szyb, przechodziła ta świnia, moja eks z kwaśną miną, a ja mam usta pełne jedzenia. Pomyślałem, że jeśli przyjdzie jej do głowy wejść do Raju, nie mam nic do gadania, bo przyłapałoby mnie dwa dni po tym, jak wykopali mnie z więzienia, na przekroczeniu pierwszej zasady. Zapamiętaj: jeśli się zbliżysz na odległość

stu kilometrów od miasteczka i twojej rodziny albo rodziny którejkolwiek z twoich ofiar, wrócisz tu na kolejne lata. A ja, jeszcze siedząc w więzieniu, już ekscytowałem się myślą, jak uchylam drzwi Raju, ale odpowiedziałem adwokatowi i funkcjonariuszowi że tak, zrozumiałem, doskonale rozumiem, nawet mi przez myśl nie przeszło, skądże znowu. Tymczasem czekałem, aż otworzą się drzwi i Carmela podejdzie prosto do mojego stolika, wymachując nożem, albo jeszcze gorzej, z rękami na biodrach, i rzuci mi w twarz jedzenie. Wstałem i odwróciłem się, jeszcze z pełnymi ustami. Carmela spojrzała mi w oczy, ale mnie nie poznała. I wtedy do mnie dotarło: to nie mogła być ona, Carmela musiałaby być dwadzieścia dwa lata starsza niż w dniu, kiedy na mnie splunęła, i też przyszło mi do głowy, że kiedy prawda wyszła na jaw, musiała wyjechać z miasteczka z chłopcem, bo dalszy pobyt tam byłby nie do zniesienia, ani godziny dłużej. Carmela zamówiła coś u śniadego chłopaka, a ja zostawiłem banknot na stole i podszedłem do drzwi, jeszcze przeżuując; udawałem, że wzywa mnie jakaś pilna sprawa. Właśnie uświadomiłem sobie, że nie mogę poruszać się po świecie tak beztrosko. Skoro byłem napiętnowany, musiałem nauczyć się z tym żyć. Otworzyłem drzwi Raju, ale po to, żeby wyjść stamtąd na zawsze, wygnany, choć nie dostrzegłem żadnego anioła z ognistym mieczem. Pieprzone frytki, pieprzona jajecznica. Pieprzone piwo, którego nawet nie spróbowałem.

Było około pięćdziesięciu osób; mało jak na mój gust. Ja, w ciemnych okularach, różniłem się bardzo od portretu opublikowanego przez Véleza. Podziękowałem grzecznym skinieniem głowy za nekrolog, który mi wręczyła funkcjonariuszka, i usiadłem w dyskretnym miejscu, żeby się trochę rozejrzeć. Po chwili, jako że nic się nie działo, zacząłem czytać nekrolog, gdzie stało, że niejaki Vélez spod ciemnej gwiazdy, z jajami jak berety, zmarł takiego to a takiego dnia w wieku trzydziestu siedmiu lat i że był znany na całym świecie z powodu numeru, jaki wykręcił biednemu Potworowi z Raju. Rodzina, koledzy, przyjaciele i Potwór z Raju będziemy cię zawsze pamiętać. Będzie nam brakowało twojego uśmiechu. Spoczywaj w pokoju, ty skurwysynu. Jak już przeczytałem, schowałem do kieszeni i zacząłem udawać, że gorliwie wsłuchuję się w ceremonię. Od tylu lat nie uczestniczyłem w żadnym pogrzebie, że nawet mi wydało się to zajmujące. Całkiem przyzwoity skrzypek i przywiedły pianista umilali nam czas bardzo smutną muzyką.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia – powiedziałem prawie szeptem wdowie, bardzo zresztą ładnej. Wyszedłem z kaplicy czy z sali, jak to się teraz mówi, i znalazłem się w grupie dziennikarzy i fotografów, którzy ciągle pstrykali; pomyślałem sobie znów się pakuję w tarapaty. Jeżeli ktoś z więzienia rozpozna mnie na zdjęciach, już po mnie.

– Przepraszam, a kim ty jesteś?

Odwróciłem się. Jakaś kobieta z piękną, ale poważną twarzą zakłóciła mój spokój.

– Zwyczajny czytelnik Véleza – i żeby nie pozostawić wątpliwości – prawdziwy z niego profesjonalista.

– Ach, bo przez moment myślałam, że...

Zachęcić ją czy lepiej trzymać na dystans?

– Co sobie pomyślałaś? – zdecydowałem się.

– Nie... Czy byliście na tym samym roku na dziennikarstwie, czy...

– Nie, coś ty! Jestem dużo starszy, skądże! W każdym razie mógłbym być jego profesorem, a tak nie jest.

Uśmiechnęła się uprzejmie i dołączyła do grupy mężczyzn, którzy o czymś zażarcie dyskutowali. Śmiech kobiety zinterpretowałem, jakby mi powiedziała zgoda, jesteś starszy, ale jeszcze niczego sobie. A ja bym jej odpowiedział to dlatego, że dbam o siebie. Mnóstwo lat w więzieniu, ale dwie godziny dziennie rozciągania i skłonów, i koszykówka na boisku przez pierwszych dziesięć lat. To znaczy do chwili, kiedy się dowiedzieli, że zgwałciłem i zabiłem dziewczynki, bo od tego momentu tamta banda lizusów nie chciała mieć ze mną nic wspólnego, nie wiem, czy mnie rozumiesz.

– Pierwszych dziesięć lat! – zdumiała się oczarowana kobieta z piękną twarzą. – To znaczy, że spędziłeś w więzieniu więcej niż dziesięć lat!

– Więcej niż dwadzieścia – odpowiedziałbym, puszczając do niej oko.

– Zabijałeś i gwałciłeś dziewczynki? – zapytałaby, żeby się upewnić, czy dobrze mnie zrozumiała.

– Nie – ja bym odpowiedział. – Gwałciłem i zabijałem dziewczynki. Nie jestem jakimś pieprzonym nekrofilem. Przysięgam, że nie chciałem ich zabić, ale ponieważ tak wrzeszczały, ja...

– A z jakiego powodu przyszedłeś na pogrzeb poważanego dziennikarza? – drażylały dalej, zaintrygowana.

– Jedno nie wyklucza drugiego. Mogę być odrażającym mordercą, ale też umiem się cieszyć ze śmierci skurwysyna.

– Słucham?

– Chcę powiedzieć, że wydaje mi się, że jestem jedynym, który tu przyszedł się cieszyć.

Przerażenie na twarzy pięknej kobiety. A ja przyjacielskim gestem położyłbym jej dłoń na ramieniu i wtedy uświadomiłbym sobie, że pierwszy raz od dwudziestu lat dotykam kobiety. I pomyślałbym, że świat jest dla mnie taki niesprawiedliwy, że aż bym się rozplakał. W tym momencie zdecydowałbym, że odprowadzę ich na cmentarz. Nie po to, żeby się upewnić, że Vélez już nigdy nie wyjdzie z grobu, ale szukając okazji, by jeszcze raz położyć rękę na ramieniu kobiety o pięknej twarzy.

Na cmentarzu zachowywałbym się bardzo dyskretnie i po wszystkim zapytałbym kobietę, jak się nazywa, i powiedziałbym też zapraszam cię na obiad, ale ty będziesz musiała zapłacić, bo ja jestem spłukany. A potem powiedziałbym jej, że właśnie widzę, że aż się palisz z ochoty, więc chodźmy do ciebie i wymieńmy się aktualnościami.

– Co masz na myśli, mówiąc wymieńmy się aktualnościami? – by zapytała.

– No więc ty mi opowiesz, kim jesteś i co tu robisz, ja ci powiem, że zapłaciłem za zło, którego się dopuściłem, i jeśli wszystko się ułoży, to się dostosuję na nowo do społeczeństwa. Bardzo bym chciał rozpocząć wszystko od zera – teraz śmiały ułkon w jej stronę – najchętniej z tobą.

A ona zaczęła się śmiać i powiedziała coś takiego, co za bujna wyobraźnia. I co za zły gust w podanym przykładzie.

– Bo improwizowanie nie jest moją mocną stroną – tłumaczyłbym się.

– Dobrze: spróbuj jeszcze raz.

I wtedy ja powiedziałbym sentencjonalnie, że ptakiem, który opuszcza własne gniazdo, jest człowiek, który opuszcza swoje miejsce.

– A jakie jest twoje miejsce? – spytała, uwiedziona i zaintrygowana okrągłymi słowami.

– Od wielu lat żyję sam, bo nie widziałem powodu, żeby komukolwiek

z otaczających mnie ludzi zaproponować dzielenie moich snów.

– Nikomu?

– Nikomu. – I wtedy dodałbym: – Ale ty jesteś inna, dla ciebie gotów jestem opuścić gniazdo i poderwać się do lotu.

Wtedy ona wzruszyła się i powiedziała niech się stanie, jak chcesz; zaprosisz mnie na obiad, ja zapłacę i pofolgujemy sobie jak dwoje rozkosznych dzieci.

W tym momencie rozejrzałem się, wypatrując mojej nowej przyjaciółki, ale jej nie dostrzegłem; nie było nikogo. Ani jej, ani krewnych, ani znajomych Veléza. Asphalt i puste płytki. Cierpliwy cyprys przyglądał mi się z ironią. Cisza. Sam stałem nad pustym grobem mojego wroga. Co za kurewskie życie.

VIII

NUNC DIMITTIS

...złó nas przytula z radosnym spojrzeniem,
a ból za drzwiami już czeka w milczeniu.^[1]

AUSIÀS MARCH

Możecie zwać mnie Ferriol. Z tym filozoficznym przymrużeniem oka wreszcie mogę zacząć pisać o moim życiu długopisem ze szczerego srebra. Teraz już wolno mi wszystko powiedzieć, ponieważ żyję na ziemi niczyjej i bez obawy mogę ujawnić swoje sekrety.

Rozpocząłem karierę przestępczą w wieku czterech lat, w przedszkolu. Kiedy panna Roser, najwyraźniej zagniewana, spytała, kto wsadził czerwoną plastelinę do wazonu z kwiatami, spojrzałem oskarżycielskim wzrokiem na Plàcida i wychowawczyni, nie zdając sobie sprawy z mojej manipulacji, zabrała biednego chłopca na stronę, żeby mu wygłosić surowe kazanie na temat niszczenia materiału dydaktycznego. Wiedziałem, że Plàcid nie będzie się bronił, bo był dzieckiem cichym i na dodatek nie miał pojęcia, co to takiego ten materiał dydaktyczny. Nie puścił pary z ust. Jeśli chodzi o mnie, nie czułem wyrzutów sumienia; wręcz przeciwnie: od tego wszystko się zaczęło. Pojąłem, jak święty Paweł na drodze do Damaszku, z tą różnicą, że nie musiałem w tym celu spaść z konia, że życie oferowało nieskończone możliwości, jak się umiało postępować inteligentnie.

Plàcida spotkałem po wielu latach: nadal miał minę osoby zamyślanej. Już chciałem go przeprosić, ale kiedy mi powiedział od niechcienia, że pracował na giełdzie i dobrze zarabiał, pomyślałem, że skoro tak mu się życie ułożyło, nie zasługiwał na żaden gest zaległych przeprosin. Mimo wszystko najbardziej zaskakuje mnie fakt, że nadal myślę o Plàcidzie przedszkolaku i jest mi go żal. Pewnie dlatego, że ten dzieciak nie miał jak dowieść swojej niewinności, bo była nie do udowodnienia. A może, jak się głębiej zastanowić, dlatego że mam czułe serce.

Wyczynem w przedszkolu przekroczyłem granicę i coraz częściej robiłem eskapady tam, gdzie w końcu zostałem na dobre: na drugą stronę; choć to dziwnie brzmi, kiedy używam określenia druga strona w okolicznościach, w jakich obecnie się znajduję.

Życie, co było do przewidzenia, toczyło się nadal: w wieku sześciu czy siedmiu lat zabrałem drobne matce; a kiedy poskarżyła się i pokazała pustą

portmonetkę, za oskarżenie z dowodami wystarczyła ta straszna cisza macierzyńska. Kiedy już minęła, powiedziała co to ma znaczyć, no co, dzieci? Ja, który miałem za sobą parę ciężkich przejść z matką, zrobiłem zatroskaną minę, która mnie wykluczyła, i spojrzałem w stronę siostrzyczki. Byłem spokojny, bo w odruchu zawodowstwa nie tylko opróżniłem portmonetkę, ale też z bólem serca odżałowałem parę kompromitujących monet, które znalazły się w worku śniadaniowym mojej siostry. Żebyśmy się dobrze zrozumieli: było mi przykro, bo musiałem się pozbyć dwóch monet; losem mojej siostry, jak mi się wydaje, nie zaprzętałem sobie głowy. W tamtych czasach, choć ciągle jeszcze moje serce było czułe, już miałem zatwardziałą duszę. Moja siostra, biedaczka, została ukarana, nie wiedząc, za co dostała po twarzy. A ja zrozumiałem, że te dwie monety to symboliczne cło, które czasem trzeba uiścić, żeby sobie zapewnić bezkarność. I że trzeba je wyłożyć bez zastanowienia; trzeba wliczyć w koszty własne i nie myśleć o nich więcej. Nie byłem jeszcze tego w pełni świadomy, ale już pracowałem nad swoją zawodową przyszłością.

Po tym, jak nie poczułem najmniejszego wyrzutu sumienia ani żalu, już wiedziałem, jaka będzie moja przyszłość. Chociaż wcale mi na tym nie zależało, musiałem robić krzywdę innym, niekoniecznie w sensie dosłownym, ale musiałem działać na ich szkodę bez ryzyka, że zakłóci to mój wewnętrzny spokój. Łatwiej powiedzieć niż wcielić w życie. Sytuacją, w której zrobiłem wielki krok w procesie zatwardzania duszy, była sprawa Bolety. Wtedy miałem jakieś piętnaście lat.

Na początku wyglądało to na żart. Powiedziałem, że tak, że to wyjątkowy piesek, który umie pływać, choć nikt go tego nie uczył. I wrzuciłem go do ciemnej wody na oczach dziewczynki. Nie wiem; miałem ochotę poczuć się kimś ważnym dla tej małej, której czarne oczy wywierały na mnie przemożny wpływ. Taki, że jeszcze teraz doskonale je widzę. Suczka zrobiła plum. Plum. I nie wypłynęła. Ja myślałem, że wszystkie psy radzą sobie w wodzie, ale widocznie jedno tak, drugie nie. Plum. I nadal nie wypływała. Czarne oczy dziewczynki, wpatrując się we mnie, czekały, aż suczka wystawi pyszczek, żeby zaczerpnąć powietrza i ponownie się zanurzyć w czarnych głębinach jeziora w poszukiwaniu nieprawdopodobnych śladów innych psów. Czarne oczy ciągle patrzyły na mnie, wierzyły we mnie i uśmiechały się niepewnie, bo ta wiara była ślepa, i patrzyły na niezmaconą powierzchnię jeziora, a suczka nie

wyływała, żeby się popisać cawlem, jakby miała ołów w łapkach.

– Boleta? – odezwała się w końcu nieśmiało. Później, coraz bardziej zaniepokojona, powtórzyła jej imię, aż wreszcie zupełnie tracąc zaufanie, którym dotychczas mnie wyróżniała, dobyła dramatyczny krzyk Boletaaaaa, spojrzała na mnie oskarżycielsko i krzyżąc, pobiegła przed siebie.

Muszę wyznać, że to, co zrobiłem, nie pozostawiło mnie obojętnym. Z jednej strony żal Bolety, schrupanej przez ryby, ale przede wszystkim przez długi czas dręczyło mnie cierpienie mojej kuzynki. Zaczynałem rozumieć, że w zawodzie przestępcy jest wiele trudnych chwil, czy to sprowokowanych, czy nieoczekiwanych.

Tak, to był ważny moment, skoro nadal o nim pamiętam! Dotarło do mnie, że moje życie będzie trudne, a ja muszę mieć duszę twardą jak stal i serce z żelaza, jeśli chcę być prawdziwym profesjonalistą. I że muszę pracować intensywnie, jeśli chcę żyć bez pracy.

Ponieważ nie chcę nikomu podpaść, więc kiedy zdecydowałem się na zawodowstwo, postanowiłem czcić z równym zaangażowaniem dwóch patronów mojego fachu: świętego Ferriola z Besalú i świętego Dyzmę, Dobrego Złodzieja. Zawsze osiemnastego września i dwudziestego piątego marca robię sobie wolne, nawet gdy stanie mi na drodze naiwna torebka, kusząc mnie apetycznym portfelem. Tego surowo przestrzegam.

Ktoś mógłby mnie uznać za przesądnego. Ale ja, stosując te zasady, mogę się uważać za świetnego zawodowca. Chociaż w naszym fachu nie mamy zwyczaju przechwalać się ani zręcznością, ani dochodami, które przynosi nam talent.

W życiu musiałem robić tyle nieprzyjemnych rzeczy!... To faktycznie mnie gnębi. Bo mam świadomość, że skrzywdziłem wiele osób, które nie zrobiły mi nic złego. Mogły nawet sobie być skurwysynami, ale ja do nich nic nie miałem. Portfel w metrze (klasyka), cała torebka z portfelem, okularami przeciwsłonecznymi i tamponem przy drzwiach toalety albo w bezbronnych przebieralniach na plaży. Dowody osobiste, prawa jazdy i paszporty, które przekierowywałem, z korzyścią, do nowych, bardzo z tego zadowolonych, właścicieli... Szczęśliwy traf, jak wtedy, kiedy wsiałem do autobusu i poczułem, że coś twardego uwiera mnie w tyłek, a to była koperta szczęścia z banknotami stupezetowymi (przypadek szczególny, ale autentyczny)! A nawet mogę wpisać do zawodowego curriculum rzeczy, które robiłem niechętnie albo

nie mając pewności, czy powinienem je robić; a jeszcze trzeba doliczyć te fuchy, które odrzuciłem po prostu z powodu wrodzonej deontologii zawodowej.

To ja byłem tym, który w roku osiemdziesiątym trzecim skradł obraz Rigauda z Luwru. Tak: to byłem ja. Nadal go szukają. I mnie nadal szukają, jak przypuszczam. A zrobiłem to w sposób najbardziej prymitywny, jaki sobie można wyobrazić; jak to się mówi, ukradłem go przypadkiem. Akurat byłem w Paryżu, pozyskując dewizy w różnych liniach metra w godzinach szczytu. Faktycznie, metro jako miejsce pracy dostarczyło mi najwięcej sukcesów, najwięcej radości i największego poczucia komfortu wynikającego z posiadania posady pewnej i stabilnej; do szczęścia brakowało mi tylko żony, która by na mnie czekała w domu i pytała, jak minął dzień, a ja bym odpowiadał bardzo dobrze, kochanie, bardzo dobrze. Nieważne, w jakim kraju, metro zawsze jest prawdziwą kopalnią, co zmusza mnie do szacunku dla podróży w interesach. No i tak się składa, że pewnego dnia w Paryżu zabłądziłem do Luwru, bo ciekawość artystyczna nigdy nie była mi obca. Sytuacja przedstawiała się tak, że po przywłaszczeniu dwóch wypchanych portfeli, pozostawionych w bezpiecznej przechowalni (żenującej przechowalni, którą należałoby zadenuncjować, bo z bezpieczeństwem nie miała nic wspólnego), podziwiałem obrazy w sali i zauważyłem, że właśnie jacyś pracownicy zmieniają położenie płócien czy coś w tym rodzaju. Może zakładali system alarmowy; teraz już nie pamiętam dokładnie. A Rigaud stał na ziemi, przykryty płótnem, które go dokładnie zasłaniało, podczas gdy tamci dyskutowali sam nie wiem o czym i skupiali się na oglądaniu ściany. Ponieważ miałem na sobie kombinezon roboczy bardzo podobny do kombinezonów personelu muzeum, nie zwrócili na mnie uwagi. A ja wtedy podchodzę i biorę Rigauda, choć to wcale nie jest mały obrazek (jeszcze nie wiedziałem, że to Rigaud), i wychodzę z sali, demonstracyjnie żując gumę (co robię zawsze, kiedy chcę opanować nerwy), przechodzę przez tuzin sal i kiedy dochodzę do wyjścia, widzę, że tu każdy jest zajęty swoimi sprawami, a ja jestem jednym z wielu pracowników Luwru; wskazuję niedbałym ruchem ręki zaparkowaną w pobliżu ciężarówkę. Zupełnie niepotrzebnie, bo nikt się mną nie interesował. Robili swoje. Może budowali te szklane piramidy, ważniejsze niż cały ancien régime. A ja dalej idę w stronę ciężarówki, taszcząc Rigauda. Minąłem ciężarówkę i zlałem się z tłumem, nie wiem, czy tych, którzy chcieli się dostać do muzeum, czy innych, bo w Paryżu

zawsze jest pełno ludzi o każdej porze. Bez problemu w ciągu paru minut znalazłem się na Saint-Honoré z miną kuriera zmęczonego długim dniem pracy.

Kiedy dotarłem do pensjonatu, zamknąłem drzwi na klucz i zaciągnąłem zasłony. Ściągnąłem szare płótno, pod którym ukrywał się obraz, i wyłonił się *Nunc dimittis* Rigauda w całej okazałości. Serce waliło mi bum-bum, kiedy sobie pomyślałem, jakie miliony za niego zgarnę. Owinąłem Rigauda w kapę i schowałem pod łóżkiem. A następnego dnia kupiłem wszystkie dzienniki w dobrze poinformowanym kiosku i sprawdziłem, że mój obraz nazywał się *La Présentation de Jésus au Temple*, niejakiego Hyacinthe'a Rigauda, 1743. I że był wart niezłą kupę forsy. Coś takiego. Podobno był własnością Ludwika XIV, aż do tego dnia, kiedy został moją własnością.

Pozostałe dni w Paryżu spędziłem, doksztalając się w kwestii słów, które stary Symeon wypowiedział na widok świętego dzieciątka. A w międzyczasie przygotowywałem bezpieczną trasę ucieczki dla siebie i dla Rigauda. Dewiz mi nie brakowało, więc mogłem sobie pozwolić na luksus prośby o pomoc i na zamykanie ust. Po pięciu dniach (nie chcę was zanudzać ściśle fachowymi szczegółami), opłaciwszy wyświadczone mi uprzejmości, wyruszyłem w drogę powrotną. Nie ma to jak dom. Własnoręcznie sfabrykowałem nową ramę, rozwinąłem płótno i powiesiłem obraz w salonie. Hyacinthe Rigaud. Obraz raczej brzydki, z przerażającym lekceważeniem prawdy historycznej; cały jest jednym wielkim anachronizmem przez lekceważące podejście do archeologii. Ale prawda jest taka, że kiedy już poznałem jego wartość, nie trzeba było mnie zachęcać, żebym go namiętnie pokochał, jakbym był starym Symeonem, który recytuje *Nunc dimittis*, choć mam nadzieję, że nieprędko nadejdzie na mnie ta ostatnia godzina, gdybym przypadkiem uwierzył w Boga. Dotąd nie mogę się nadziwić, jaka nieporadna jest Gendarmerie.

Powoli dowiadywałem się różnych ciekawych rzeczy: ów tajemniczy Hyacinthe Rigaud nie był wcale tajemniczy, ale bardzo znany. Nazywał się Jacint Rigau i Serra, urodził się w Perpignan, zanim Hiszpania podarowała to katalońskie miasto i jego okolice Francji. To pobudziło moją ciekawość i dowiedziałem się, że w Perpignan jest muzeum Rigauda, gdzie przechowywany jest jego autoportret, który ponoć jest bardzo znany, choć ja o nim nigdy nie słyszałem. Postanowiłem go zdobyć; dobrą stroną mojej pracy jest to, że nie muszę pytać o cenę. Żeby przeprowadzić rozpoznanie, pojechałem

do Perpignan, zrobiłem zbiórkę dewiz na dwóch targowiskach w godzinach szczytu i odszukałem obraz w sali, uprzednio płacąc uczciwie za bilet. Oczywiście bardzo się zdziwiłem, kiedy stanąłem przed obrazem! Rigau i ja jesteśmy identyczni. Do tego stopnia, że po tamtej kulturalnej wizycie mam wrażenie, że żyję w muzeum, zawieszony na ścianie wytapetowanej na czerwono, ograniczony ramami, wystrojony w jakiś śmieszny kapelusz, coś jakby turban, z tamtym dziwnym, chyba żartobliwym uśmiechem. Kiedy wychodziłem z muzeum, miałem wrażenie, że strażnik instynktownie chciał do mnie podejść, żeby mi zabronić ucieczki z obrazu zawieszzonego w czerwonej sali jego muzeum.

Może już nadszedł czas, żebym się przyznał, że miano Ferriola, którym wam się na początku przedstawiłem, było fałszywe. To tylko taki hołd dla świętego patrona. Naprawdę na imię mi Jacint, tak jak Rigau. Tak więc mam się na baczości, choć sam dobrze nie wiem dlaczego. Tak, nazywajcie mnie Cinto.

W końcu zainteresowania doprowadziły mnie do wysokiej kultury. Od kiedy zabrałem do domu obraz Rigau, miałem nowe cele i fascynacje. Teraz posiadam całą kolekcję płyt gramofonowych i kompaktowych z tematem *Nunc dimittis* mędrca Symeona. Jedyna taka kolekcja na świecie, a wszystkie obiekty, które się na nią składają, zostały podprowadzone przeze mnie w galeriach handlowych, wyspecjalizowanych sklepach, antykwariatach, sklepach muzealnych... Ach, jak tęsknię za moim domem i jego skarbami... Oświadczam, że nie wydałem na nie złamanego grosza, tylko zainwestowałem część życia: pracuję i studiuje z zapamiętaniem, żeby móc poświęcić się swojej pasji, do której zaspokojenia jeszcze wiele brakuje. Ambicja, którą uważam za szlachetną.

Próba przeniesienia do domu mojego autoportretu, który namalował przed wiekami Rigau i który, o dziwo, jeszcze wisiał w jakimś muzeum, doprowadziła mnie niechcący do wcześniejszej emerytury. Faktycznie to przeniesienie i czynności pomocnicze, które przedsięwziąłem, były ostatnimi przejawami mojej aktywności zawodowej.

Wszystko się zaczęło (albo kontynuowało) w muzeum Rigauda w Perpignan. Już wykonałem stosowne czynności przygotowawcze, żeby zabrać stamtąd mój autoportret: znajdowałem się w sali wytapetowanej na czerwono i wpatrywałem się uważnie w obraz. Naprawdę podziwiałem, jak Rigau w wieku siedemnastym

umiał przedstawić mnie tak wiernie. Aż trudno uwierzyć. Do tego stopnia, że jeden z nielicznych zwiedzających rzucił mi spojrzenie, jakby chciał zapytać, co robi Rigaud poza swoim portretem, a tymczasem ja się zastanawiałem, co ja robię wewnątrz obrazu. Rozumiecie mnie? Miałem wrażenie, że nie wiem do końca, gdzie i kim jestem. W pewnej chwili, kiedy w sali nie pozostał nikt ze zwiedzających, podszedłem bliżej do portretu: o cholera!... Tak blisko podszedłem, że choć po waszych minach widzę, że mi nie wierzycie, znalazłem się wewnątrz, z tym śmiesznym turbanem na głowie, i widziałem samego siebie w czerwonej sali, jak patrzę zdziwiony. Albo przestraszony. Jak tylko trochę się rozejrzałem, przed sobą nie miałem już sali muzealnej o czerwonych ścianach, tylko siebie samego, w poplamionym fartuchu, patrzącego na mnie ze zdziwieniem. Moje ja, które miałem przed sobą, nie nosiło na głowie jakiegoś śmiesznego turbana, tylko ścierkę, której zadanie polegało zapewne na ochronie włosów przed odpryskami farby. Tamten drugi ja patrzył na mnie, jakby studiował modela przed przeniesieniem na płótno. Nie wydawał się przerażony. Przerażony byłem ja.

– Skąd pan się tu wziął? – zapytał oskarżycielskim tonem.

Wskazałem płótno, które właśnie malowałem, ale na obrazie był pejzaż czy studium pejzażu do portretu jeszcze nieistniejącego.

– No? – nalegał malarz.

– Z... z Perpignan. Byłem w Perpignan.

– Mon Dieu! Przecież jesteśmy w Paryżu!

Nie wyglądał na przestraszonego, natomiast ja...

– Tego się obawiałem – powiedziałem.

Pozwoliliśmy, aby między nami rozciągnęło się gęste milczenie przesycone zapachem farb. Odezwałem się, żeby je przerwać:

– Mam na imię Cinto. Jacint.

– Tak jak ja. – Patrzył na mnie z uwagą. – I wygląda pan tak samo jak ja.

– To pan wygląda jak ja.

– Wszystko jedno. Ale skąd pan się tu wziął?

Jak miałem mu wyjaśnić, że przychodzę z czasu, który jeszcze się nie wydarzył? Nie przyjął tego do wiadomości, ale też nie przejął się zbytnio moimi wyjaśnieniami.

– Posłuchaj pan, panie Jacincie: ja podróżuję, ponieważ tworzę przestrzeń. I czasami naprawdę w nią wchodzę... Myślę, że mam do tego prawo. Ale to, co pan mówi o podróżowaniu w czasie...

A więc mój dubler przyznawał się bez problemu, że robi wycieczki do wnętrza swoich obrazów. Tylko niektórych obrazów, uściślił później. I że było coś jeszcze bardziej nieprawdopodobnego.

– Co mianowicie?

– Że jest pan do mnie uderzająco podobny. Jest pan kalką.

– Może pan i ja jesteśmy tą samą osobą.

– Bêtises.

– Nie całkiem. Też się nazywam Rigau, podobnie jak pan.

– Nie tylko Jacint?

– Nazywam się Cinto Rigau i Serra.

– Pan sobie żartuje. – Popatrzył na czubek pędzla, gdzie farba zdążyła już zaschnąć. Odłożył pędzel na stół. – I też pan się urodził w Perpignan?

– Nie. Jestem z Banyoles.

– To niedaleko Perpignan. I jest pan malarzem?

– Nie. Z zawodu jestem złodziejem.

Milczenie. Popatrzył mi w oczy i nagle wybuchnął śmiechem.

– To tak jak ja! – powiedział.

– Jak pan? Pan maluje.

– Tak, ale kiedy dochodzi do wyegzekwowania należności za zlecenie... polecam się opiece świętego Ferriola.

Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, czy kpi, czy o drogę pyta. Na wszelki wypadek też się roześmiałem, ale nieszczerze. Tym rodzajem śmiechu, kiedy się nie wie dokładnie, o co chodzi.

I wtedy uświadomiłem sobie, że tęsknię za wszystkim, co porzuciłem. A może to był lęk przed przygodą? W każdym razie to, co się stało później, jeszcze nie jest dla mnie jasne.

Wyszedłem z pracowni Rigau bez pożegnania i zamiast stąpać po paryskiej ulicy sprzed bardzo wielu lat, znalazłem się na drodze porwanej kołami wozów, czując zapach słomy. O cholera, powiedziałem sobie. Odwróciłem się, żeby

wrócić do pracowni, ale za mną było tylko pole z mendlami tak równo ustawionymi, że aż miło było spojrzeć. Słońce wschodziło za moimi plecami i ogrzewało kark, rysując na drodze mój cień. Przedemną, jeszcze w sporej odległości, pierwsze domy jakiejś nieznannej wioski, a parę metrów dalej, na środku drogi zobaczyłem ładniutką wieśniaczkę, z rękami na biodrach, która uśmiechała się do mnie kpiąco.

– Gdzie tak chodzą po świecie ze ścierką na głowie?

Instynktownie, żeby się nie ośmieszać, chciałem ściągnąć turban, ale okazało się to niemożliwe, jakby do mnie przyrósł.

– Gdzie jesteśmy? – spytałem, zamiast jej odpowiedzieć.

– Jeszcze jeden... – Z cierpliwym westchnieniem: – A niby gdzie mielibyśmy być?

– No właśnie o to panią pytam.

– Jeszcze jeden, który mi mówi przez pani.

Podszedłem do kobiety. Muszę przyznać, że była wyjątkowo pociągająca i że najchętniej pozostałbym u jej boku.

Popatrzyłem za siebie, w stronę wschodzącego słońca i położonego nieco z boku pagórka. Głęboko wciągnąłem powietrze!

– Nie pamiętam, kiedy ostatni raz czułem zapach świeżo zżętego zboża!

– A tak, i rosa, zapach obornika, prawda?

Gestem zachęciła mnie do pójścia drogą w kierunku wschodzącego słońca. Wtedy usłyszałem zmęczone kroki, niezbyt dziarskie, ale nie zauważyłem, skąd dochodziły. I prawie wpadłem na mężczyznę, który zjawił się nagle i zmierzał prosto na mnie. Zatrzymał się, jakby chciał się pochwalić swoją koszulą w kwiaty, naprawdę okropną.

– Teraz to pan się zjawił – stwierdził zaintrygowany.

– Tak. Kim pan jest? Gdzie jesteśmy?

Mężczyzna nie odpowiedział. Podszedł bliżej i na ucho wyszeptał utknąłem tu po same jaja, po korzenie jaj, w taki upał. I w ogóle, zawsze taki sam, rozumie pan?

Widząc jego otępienie, pozwoliłem, by instynkt zdobył przewagę nad dobrym wychowaniem. Ukradłem mu, elegancko, srebrny długopis, który wystawiał nos

z kieszeni kwiecistej koszuli. Nawet nie poczuł. Ze srebra, z prawdziwego, szczerego srebra!

Kiedy wieśniaczka podała mi rękę i uroczym gestem zaprosiła, byśmy poszli razem w stronę wschodzącego słońca, mężczyzna w kwiecistej koszuli już zniknął nie wiadomo gdzie.

Co mam wam powiedzieć!... Tęsknię. Ale tu nie mam nic do roboty i mam takie poczucie wolności, że słów mi brak. Nie wiem, co było wcześniej, a co później, ponieważ percepcja czasu znikła. Nie wiem, czy jestem smutny czy wesoły. Ja, kiedy wieśniaczka się do mnie uśmiecha, idę w stronę Wzgórza Osłów. I mam czas na pisanie moim długopisem ze szczerego srebra na papierze grubym i zmiętym o wszystkim, co przeżyłem, zanim się tu znalazłem. Mam wspomnienia, piszę o tym, dlatego tęsknię. Dobrze się czuję, ale wspominając dawne czasy, mógłbym wyrecytować *nunc dimittis servum tuum, Domine, secundum verbum tuum in pace*^[2]. Tak, słowa starego Symeona, które w subtelny sposób wyrażają, że już czas umrzeć. Dlatego nie odważam się ich wymówić głośno, bo w gruncie rzeczy nie chcę umierać, nie kusi mnie to. Żyję w dwóch wymiarach? Wydaje mi się, że nie, ale muszę przyznać, że nie wiem, co było wcześniej, co później, i kiedy czytam ponownie, co napisałem, nie bardzo rozumiem, jakby mi szwankowała pamięć. No właśnie, nie wiem, co to znaczy: przedtem i potem. I nie wiem, gdzie jest mój dom, o którym mówię, że do niego tęsknię. Ale jednocześnie, jakbym był starym Symeonem, czuję przemożną potrzebę powierzenia się świętemu Ferriolowi i błagania go, żeby w dobroci swojej pozwolił odejść swemu pokornemu słudze w pokoju, daleko od tej cholernej pooranej kołami drogi i tego pieprzonego wilgotnego ścierniska, i jego zapachu, amen. Słyszę odgłos kroków na drodze.

– Chce pan, żebym mu towarzyszyła na Wzgórze Osłów?

– Co? – zapytał mężczyzna w turbanie, chowając zmięte papiery do kieszeni.

Podowała mu rękę.

– Będzie mi pan towarzyszył?

– Prawda, że już tam byłem parę razy? – mężczyzna zapytał niepewnie. – Prawda, że tak?

Ona pokręciła głową i nic nie odpowiedziała, jakby znużyło ją gadanie. Mężczyzna nie zwrócił na to uwagi, zauroczony pejzażem. I wypłynął mu ze środka, bezwiednie, okrzyk:

– Och, co za zapach! I co za kolory wschodzącego słońca! Gdyby Rigau mógł to zobaczyć...

– Śmiesz mnie to pańskie gadanie o słońcu – przerwała mu wieśniaczka, lekko zirytowana. – O słońcu, które nas pali, kiedy orzemy, siejemy, plewimy, żniemy, wiążemy snopki i młócimy. I które kryje się za mgłą, kiedy jest najbardziej potrzebne.

Nagle spojrzała na mężczyznę i wybuchnęła śmiechem. Ten śmiech to była prawdziwa muzyka. Ujął rękę podaną mu przez wieśniaczkę, zadowolony, że może spacerować z taką kobietą. I w porywie poetyckiego natchnienia powiedział chodź, nadobna wieśniaczko: dzień jest długi, a świeca coraz krótsza.

I poszli oboje w stronę wschodzącego słońca.

IX

SREBRNA KULA

Blondyn pozdrowił osiemdziesiąt pięć osób, które czekały przed Pałacem i powiewały machinalnie, bez entuzjazmu, niewielkim sztandarem w barwach narodowych. Usiadł na swoim miejscu z taką rezygnacją, jakby siadał na krześle elektrycznym. Na siedzeniu przed nim, w odpowiedniej odległości, zgodnie z protokołem, z westchnieniem zajął miejsce minister Policji. Stuknął w szybę ochronną, oddzielającą Sternika od kierowcy.

– Pomachaj im jeszcze, no już – rozkazał minister.

Posłuchał, rozsyłając wokół uśmiechy, podczas gdy osiemdziesiąt pięć osób wznosiło okrzyki na cześć Najwyższego Sternika i Dobroczyńcy Narodu. Wtedy wznosił rękę, dokładnie w momencie, kiedy samochód ruszał.

– Bardzo dobrze.

Minister Policji spojrział na niego i otworzył usta, przerażony.

– Pieprzyk ci spadł! – powiedział takim tonem, jakby to była kwestia racji stanu. Tamten nie zwrócił na niego uwagi i nadal uśmiechnięty pozdrawiał lud.
– Mówię, że ci spadł! – wściekał się minister.

– Kiedy się jedzie alejami, ludzie są daleko, panie ministrze.

– Ale twoim obowiązkiem jest...

Blondyn uspokoił go gestem, wsadził rękę do kieszeni, wyciągnął sztuczny pieprzyk i przykleił go dokładnie tam, gdzie jego miejsce, z profesjonalną zręcznością. Lubił wkurzać ministra Policji; łączyło ich przeznaczenie, ponieważ nie przejmując się chłodem ani groźbami Frontu Ludowego, Najwyższy Sternik i Dobroczyńca Narodu, mężny i nieulękły, nie miał zamiaru odstąpić od zwyczaju przejażdżki i przemieszczał się otwartym samochodem służbowym. Gdyby tylko pozwolili mi działać...

Słuchał z krytycznym nastawieniem przemówienia Najwyższego Sternika i Dobroczyńcy, naszpikowanego komunałami, tymi samymi co zawsze, niezawierającego nic nowego. Ze swojej kryjówki mógł obserwować reakcje Narodu: nawet ci w pierwszych rzędach z trudem powstrzymywali ziewanie.

Gdyby tylko pozwolili mi działać...

– Ja bym tak tego nie powiedział, panie ministrze.

– Czego byś nie powiedział?

– Że klęski żywiołowe to próba, jaką Bóg zsyła na ludzi, żeby się przekonać, czy zasługują na swój los. Nie wiem, kto coś takiego wymyślił.

– To ładnie brzmi.

– Ale to nieprawda.

– I co z tego?

– Jak to co z tego? To nieprawda!

– Licz się ze słowami.

– Robimy, co możemy, żeby klęski żywiołowe nie powodowały takich zniszczeń i aby fatalne skutki powodzi zostały zrekompensowane w ciągu paru tygodni.

– Co znaczy zrekompensowane?

– Zmniejszone, opłacone, naprawione. I dlatego pracuję dzień i noc; dlatego nie mam ani chwili odpoczynku, bo chcę jak najlepiej dla wszystkich poddanych. Dla wszystkich!

Minister Policji zapisał coś w notatniku, kiedy w eskorcie pięciu opancerzonych samochodów wracali do Pałacu.

– No już, pomachaj trochę ludziom.

– Ja bym stanął cały we łzach na tle baraków, w otoczeniu fotografów, i wziąłbym na ręce brudną, zasikaną dziewczynkę, a potem uśmiechałbym się wspaniałomyślnie do kamery. Panie ministrze.

Kiedy to powiedział, pozdrowił usatysfakcjonowany biednych poddanych, którzy go gorąco oklaskiwali. I znów poczuł ukłucie w karku, jak zawsze, kiedy sobie przypominał, że Front Ludowy przeznaczył dla niego srebrną kulę.

Kiedy już się znalazł w Pałacu, w swoim pokoju, ściągnął pieprzyk, starannie odłożył go na miejsce i opadł zmęczony na fotel. Właśnie zaczynał się relaksować, kiedy zadzwonił dzwonek. Spojrzał na tablicę: jadalnia. Już czas?

Na dole, w aneksie jadalni, pod okiem szefa Protokołu, spróbował w obecności notariusza zupę (bardzo dobra) i sos o nieokreślonym smaku, który

ostatecznie okazał się sosem rybnym.

– Wszystko w porządku – potwierdził.

Kelner zabrał talerze, skierował wzrok na szefa Protokołu, żeby go prosić o zgodę, otwarto przed nim drzwi i wszedł do wielkiej jadalni, gdzie tego popołudnia znalazł się tylko jeden szczególny gość – kobieta. Z aneksu zdążyli jeszcze usłyszeć nienawistne milczenie Najwyższego Sternika, kiedy damski głos, zdecydowany i przejęty, pytał, co zrobi rząd, żeby pokryć koszty napraw po ostatnich burzach, skoro niedawno ogłosił, że nie będzie spłacał zagranicznych dłużników z powodu utraty płynności finansowej.

– No i co, ekscelencjo?

– Z dużej litery.

– Słucham?

– Ekscelencjo.

– Ach! No i co, Ekscelencjo?

– Bardzo dobrze. – Po dość długiej przerwie. – Jakie było pytanie?

Szef Protokołu zamknął cicho drzwi, które oddzielały aneks od jadalni.

Blondyn, cichym głosem, żeby nie słyszano go w jadalni, nieoczekiwanie wystąpił z propozycją; powiedział proszę mi pozwolić opracować strukturalny plan wykorzystania rezerw uzyskanych z dochodów dwunastu banków narodowych i wszystkich międzynarodowych, które działają na terenie kraju.

– Co powiedziałaś?

– Nic takiego, panie ministrze: jeżeli bank wykazuje dochody bez inwestowania, zmuszę go do pomocy państwu.

Tymczasem za drzwiami zapadło ciężkie milczenie, przerwane rzuconym w przestrzeń pytaniem no i co, Ekscelencjo? Jaka jest odpowiedź?

Szef Protokołu musiał przyznać niechętnie, że to, co powiedziałaś, ma sens. Spojrzał na blondyna i natychmiast się zdenerwował.

– Ej! Ty cwaniaku, pieprzyk musisz nosić zawsze! – Przestraszony. – Tak mi się właśnie wydawało, że coś się nie zgadza!

Zabroniono sprowadzania do kraju jakiegokolwiek egzemplarza „Observera”,

w którym dziennikarka Caroline Bryan, z nienawiści do kraju, chciała ośmieszyć Jego Ekscelencję, nazywając go nieporadnym i bezużytecznym zarozumiałcem, i zapewniała, że sprawiał wrażenie raczej automatycznej kukły niż szefa Państwa i że...

– Powiedziałem, rozstrzelać ją.

– Ależ Ekscelencjo!... Ona mieszka w Minnesocie!

– A gdzie to jest?

– W Ameryce.

– To niech ją rozstrzelają w Minnesocie, co mi tu zawracasz głowę? Wysłać komando. Nie mogę puścić płazem takiej zniewagi naszego kraju, bo kiedy się mnie ośmiesza, to się ośmiesza całą Ojczyznę.

Tak, Ekscelencjo. Komando.

Tej nocy minister Policji i szef Protokołu wezwali jeszcze trzech ministrów i wprowadzili ich w szczegóły swojego zwariowanego pomysłu.

– To naprawdę zwariowany pomysł – podsumował jeden z ministrów.

– My też tak uważamy. Ale problem w tym, że w tym tygodniu umówił się na kolejne dwa wywiady, żeby opowiadać o sukcesach Ojczyzny w...

– Dla kogo te wywiady?

– „La Repubblica” i „Der Spiegel”.

– O mój Boże.

– No właśnie.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Aż jeden z ministrów zapytał czy widzicie tylko takie rozwiązanie?

– Sprawa jest pilna. Jego Ekscelencja ostatnio dużo stracił wizerunkowo.

– Tak, wiemy.

– Ale ryzyko jest duże, jeżeli...

– Ryzyko jest duże, jeśli nie powstrzymamy tego słowotoku, na który wzięło go ostatnio dla zagranicznej prasy. Kurwa, już całkiem się rozminął z rzeczywistością. Naprawdę bredzi!

– E tam.

Usłyszał wstawaj!, ale upłynęło jeszcze parę sekund, zanim zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Dwaj ministrowie przy jego łóżku; jak, do cholery, tu weszli, skoro on zamknął drzwi na klucz i...

– Wstawaj, blondyn! – powtórzył minister Wojny. – Za pięć minut masz być ubrany i uczesany. Z pieprzykiem.

– W co mam się ubrać...

– Wszystko jedno. Ubierz się ciepło, bo jest chłód. I nie zapomnij o pieprzyku.

W obecności siedmiu ministrów dowiedział się, na czym polega problem; dodali jeszcze, że wiedzą doskonale, że on go zauważył już jakiś czas temu.

– I co mam...

– Udzielić wywiadów.

– A co na to Jego Ekscelencja, panie ministrze?

– Z dużej litery, proszę.

– Co na to Jego Ekscelencja?

– Nie twoja sprawa.

– I... mogę coś zmyślać?

– Zastosuj logikę.

– Nie wiem, jakie są decyzje Rady Ministrów.

– Jutro o dziewiątej pierwszy wywiad.

Ktoś rzucił mu dossier z uwagą to ci powinno wystarczyć, żeby zaimprovizować dobre przemówienie. Wiemy, że potrafisz.

– A jeśli odmówię?

– Sam osobiście cię rozstrzelam. Zrozumiałeś, blondyn?

O dziewiątej rano, z pieprzykiem na właściwym miejscu, słuchał tłumacza, który przekazywał mu pierwsze pytanie szefa sekcji politycznej „La Repubblica”. I zastosował logikę w odpowiedzi. Uznał za zabawne wymyślanie oświadczeń, z których nic nie wynikało, ale też mu nie szkodziły i prawdopodobnie nie szkodziły również ustrojowi ani osobie Sternika. To było ryzykowne, ale zabawne. Po długim stresie nastawiania karku Frontowi

Ludowemu należało mu się trochę rozrywki. Przepraszam, że co?

– Wydaje się, że Jego Ekscelencja ma bardzo jasne poglądy.

– Jasne jak słońce, drogi Saverio, jeśli wolno mi poufale użyć pańskiego imienia.

– Ależ oczywiście, ekscelencjo.

– Z dużej litery, proszę.

– Naturalnie, przepraszam, Ekscelencjo.

Tak, to było zabawne. Chociaż wiedział, że Rada Ministrów w komplecie śledziła wywiad, podsłuchując w drugiej sali. Nawet nie zadali sobie trudu, żeby poinformować Najwyższego Sternika i Dobroczyńcę Narodu; pozwolili, żeby się oddawał absorbującemu zajęciu gry w golfa z dwójką swoich najbardziej cenionych i podziwianych idoli, którzy ponadto poświęcili czas, żeby go nauczyć paru trików zarezerwowanych dla profesjonalnych graczy w golfa najwyższej klasy.

Kiedy Sternik przeczytał reportaż, w którym to on nadawał ton rozmowie, uzupełniony trzema wspaniałymi zdjęciami, bardzo był zadowolony, że świetnie mu poszło, chociaż tak go zajmowała służba Ojczyźnie, że już niewiele z tego pamiętał. Mówisz, że kiedy się odbył ten wywiad?

Mijały dni i tygodnie. Aż przyszedł czas na przewidziane protokołem najważniejsze wydarzenie roku: „Przemówienie o stanie Ojczyzny”, w którym Najwyższy Sternik zwykł czytać z kartki o sukcesach rzeczywistych lub zmyślonych i zapewniał, że powodzi nam się coraz lepiej i cały świat nam zazdrości. Korzystając z tego, że dzięki przeprowadzonej w najmniejszym szczególe strategii Sternik w ostatniej chwili musiał się położyć do łóżka z powodu jakże stosownej wysokiej gorączki, Rada Ministrów nie poinformowała o tym nikogo, poza kilkoma niezbędnymi wyjątkami, i nie odwołała uroczystości.

Przemówienie po raz pierwszy w całej historii Ojczyzny nie zostało odczytane, tylko wygłoszone, i to z polotem, co reżim uznał za sukces. Do tej pory jest oklaskiwane. Sternik, dalekowzroczny, stanowczy, energiczny, inteligentny, wymowny, a nawet sympatyczny, popisując się w pewnych momentach subtelnym poczuciem humoru i ironii, a w innych sarkazmem, po

raz pierwszy mówił z otwartą przyłbicą, na stadionie, wystawiając odważnie kark tym zbirom z Frontu Ludowego. Efekt przeszedł wszelkie oczekiwania, więc nie trzeba było długo przekonywać opornych mężów stanu, że najlepszy sposób, aby informować blondyna na bieżąco i z pierwszej ręki, to pozwolić mu brać udział w posiedzeniu Rady Ministrów. Niech słucha i milczy. Z pieprzykiem na policzku. A jak trzeba będzie robić zdjęcia, to niech na chwilę siądzie na miejscu premiera.

– A co na to Najwyższy Sternik i Dobroczyńca Narodu, panie ministrze? – zainteresował się przestraszony blondyn.

– Szczegóły nie powinny cię obchodzić.

Kraj może niekoniecznie, ale reżim kwitł do tego stopnia, że prawie bez fałszowania sondaży Sternik zdobywał godną pozazdroszczenia popularność. Ekonomia dostosowała się do oczekiwań i przyspieszyła. A ludzie się uśmiechali. I wszyscy byli szczęśliwi, poza sternikiem et cetera.

– Z dużej litery.

– Poza Sternikiem Et Cetera.

– Nie mogę tego tolerować! Kim jest ten intruz?

– Ekscelencjo: robimy to dla dobra kraju, dla dobra ustroju, dla dobra pańskiej osoby. Proszę tylko spojrzeć, jak wzrosła pańska popularność i szacunek wśród narodu.

– Naród gównno mnie obchodzi.

– Sternik nigdy nie powinien tak się wyrażać.

– Masz rację: obchodzi mnie gówienko. Teraz lepiej?

– Muszę pana zostawić, Ekscelencjo. A jeśli Ekscelencja chce trochę się rozerwać, zostawiam raport o ożywieniu gospodarczym.

– A ja mam w to uwierzyć.

– Tak. Teraz tak. Wcześniej nie, ale teraz tak: dane są prawdziwe. A wszystko to dzięki Najwyższemu Sternikowi! Dzięki poświęceniu Waszej Ekscelencji. Dzięki...

– Posrajcie się ze szczęścia.

I wszyscy się posrali. Z satysfakcji, a Sternik ze złości. Aż się pojawił pewien

problem.

- Co takiego powiedział blondyn?
- Że się niepokoję o własne bezpieczeństwo.
- Dlaczego?
- Bo ci z Frontu Ludowego chcą mnie zlikwidować.
- Nie zrobią tego, kto jak kto, ale ty dobrze wiesz. Ile lat nadstawiałeś policzek i nic się nie działo?
- Ale może się wydarzyć w każdej chwili. Zwłaszcza kiedy sprawy idą dobrze. Nie chcę jeździć otwartym samochodem: tylko samochód opancerzony i koniec dyskusji.
- Zapowiedziany jest przejazd Sternika do Trzech Miast i pojedziesz tam. Otwartym wozem. To nie jest dobry moment na okazywanie tchórzostwa.
- Ale...
- Odmawiam.
- Nie pojedę.
- Rozstrzelamy cię, przecież wiesz.
- Jak pan sobie chce, panie ministrze. Ale tak czy inaczej, będziecie mieli niezły pasztet. Panowie.
- Nie możesz nam tego zrobić, blondyn.
- Mogę, jeszcze jak mogę, panie ministrze. Ale jest jedno rozwiązanie, tanie i proste.
- Jakie? – zapytało unisono sześciu obecnych ministrów.
- Proszę pozdrawiać ludzi ruchem dłoni. Ekscelencjo.
- Pozdrowię, jak będę chciał.
- Albo będzie Wasza Ekscelencja machać do ludzi, albo go zlikwiduję na miejscu.
- Aż tak?
- Aż tak. Ekscelencjo.
- A o czym będzie dzisiaj mówił ten mistyfikator?
- Najwyższy Sternik i Dobroczyńca Narodu dziś w Trzech Miastach napelni

nam serca wiarą w Ojczyznę i w nieustanną pracę rządu i naczelnika dla jej dobra.

– O, jakie to ładne. Ale dlaczego musimy jechać otwartym wozem? To niebezpieczne!

– Zawsze Ekscelencja tak sobie życzył.

– Mówię, że to niebezpieczne.

– Nie można zmieniać zasad z dnia na dzień. Ekscelencjo. Zawsze tak robiliśmy.

– Tak, ale to nie ja jechałem tym otwartym wozem! Nie widzisz tego?

– Proszę pozdrawiać prawą ręką!

– Zawsze machałem lewą!

– Już od dłuższego czasu macha się prawą. Musi się Ekscelencja przyzwyczaić do nowego zajęcia, ekscelencjo.

– Z dużej litery.

– Obawiam się, że już nie, ekscelencjo.

I w tym momencie z niezawodnego karabinu, który wystawił nos z za wysokiego ciemnego budynku, wystrzeliła srebrna kula, skierowana prosto w kark Sternika z taką precyzją, że blondyn natychmiast stracił robotę.

X

ZNIKAJĄCY PUNKT

Nie chcę znać malarzy,
których obrazy kupuję:
na pewno by mnie rozczarowali.

J.G.

EPILOG

Spanikowany, że ktoś go rozpozna, i przerażony, że zacznie krzyczeć, dokonał tytanicznego wysiłku i przekroczył próg Sali Wystawowej Fundacji. O tej porze nie było tam zbyt wielu zwiedzających i właściwie to nawet się zdziwił, że nikt nie zwrócił na niego uwagi ani go nie wytknął oskarżycielskim palcem. W recepcji, gdzie za ladą siedziała kobieta z fryzurą w jaskrawożółtym kolorze, kupił elegancki katalog i oglądał go z uwagą. Trzysta szesnaście obrazów z różnych epok, na ogół wycenianych wysoko lub bardzo wysoko. Nigdy do tej pory kolekcja J.G. nie była udostępniana w całości. Zawsze starannie kalkulował, które obrazy pokazać tym razem.

Katalog nie zawierał informacji, że rodzina (w rzeczywistości jakiś odległy kuzyn, co to wyłonił się nie wiadomo skąd, ale okazał się najbliższym krewnym) zorganizowała wystawę z zamiarem sprzedaży części obrazów, żeby pokryć koszty spadkowe. Mało kto o tym wiedział.

Po kilku godzinach powolnego kontemplowania rozboleły go stopy i na pewno musiały bardzo spuchnąć. Siedząc na ławce w sali numer III, patrzył znużony na sześć obrazów, które wisiały przed nim na ścianie i od czasu do czasu znikwały, przesłonięte przez zwiedzających: jeden wspaniały Chagall, ogromny obraz Barceló, utrzymany w afrykańskich klimatach, jeden Millet i jeden kobiecy autoportret węglem, jedyny rysunek w kolekcji J.G. i jedno z nielicznych dzieł sztuki wyłamujące się z ogólnej tematyki pejzażu. Gdyby szukać dziury w całym, można by zwrócić uwagę na niedostatek sztuki współczesnej. Ale ogólnie rzecz biorąc, wspaniała kolekcja, niewyobrażalna, zaskakująca. Westchnął. Jak bardzo pragnąłby tu nie być! Jak bardzo wolałby, żeby nigdy nie doszło do tej wystawy!

Kiedy tak siedział przed obrazami, przywołał w pamięci pogrzeb J.G. Tamtego dnia wrócił do domu z uczuciem niemocy, zagubienia, zastanawiając się a co teraz, po co to wszystko. Tamtego dnia, przebijając się, odruchowo wsadził rękę do kieszeni marynarki. Wyciągnął z niej jakieś papiery – trzy nekrologi z ostatnich pogrzebów, w których uczestniczył. Natychmiast

doszedł do wniosku, że zakładał ją tylko na pogrzeby. A następnie, choć było mu przykro z tego powodu, zapominał o zmarłych porzuconych w kieszeni. Uznał, że to niewybaczalne. Nigdy o tobie nie zapomnimy, drogi nieobecny. Aż nadejdzie dzień, kiedy warstwa farby, jaką nakłada czas, sprawi, że rany nie będą już tak głębokie, a ból tak dotkliwy. Poza tym Wielkim Bólem, jakim było jego życie: są zmarli, których bardzo żałujesz, ale to tylko zmarli, i tacy, jeśli masz skłonność do przeżywania bólu, o których nigdy nie zapomnisz. I każdej bezsennej nocy dochodzisz do wniosku, że dla ofiar Żałoby nie ma żadnego pocieszenia.

Nie mógł uczestniczyć ani w pogrzebie J.G., ani w późniejszej mszy żałobnej, bo odbyły się w czasie niedającej się przełożyć podróży. Ale czytał gazety i dowiedział się o szczegółach jego nieoczekiwanej, tragicznej śmierci. Musiał przyznać, że spoczywa na nim odpowiedzialność za zapomnienie, w jakie będzie popadał, począwszy od tego dnia, biedny J.G., poniewierający się w licznych kieszeniach żałobnych marynarek. Ale nie czuł się winny tej śmierci, mimo że to on podziurawił jego ciało kulami.

Kiedy jeszcze był żywy, J.G. zbliżył nos do rysunku, tak blisko, jakby chciał powąchać papier. Spędził dobre dziesięć minut przed autoportretem Sary Voltes-Epstein. O wiele więcej w nim życia i głębi niż na zdjęciu, które Nina mu wysłała ze swojego iPhone'a. Tym lepiej. Usytuowany przed rysunkiem, zaczął podchodzić coraz bliżej. Zignorował głos właściciela galerii z tyłu za sobą, zagadującego a wie pan, czyj jest ten obrazek w tle? Podszedł jeszcze bliżej; na tyle, że miał wrażenie, jakby znalazł się wewnątrz. Artystka przed lustrem, unikając konfrontacji z własnym spojrzeniem, poruszała węglem z magiczną precyzją, bez litości dla małych zmarszczek, na które sobie dzielnie zasłużyła i które nie szpeciły twarzy, sprawiającej pogodne wrażenie. Usłyszała jakiś dźwięk za zamkniętymi drzwiami pracowni i odwróciła wzrok od lustra, jakby się zawstydziała, że ktoś ją przyłapie na długim przyglądaniu się sobie. I to wszystko na oczach zdumionego J.G.

– Wychodzę na chwilę – usłyszał jakiś głos.

– Dobrze. – Wróciła do studiowania odbicia własnej twarzy.

I wtedy, jakby coś ją nagle olśniło, zaczęła rysować obrazek Mignona, który odbijał się w lustrze, obok niej, ale w głębi kompozycji. Obrazek na ścianie, który dotąd nie istniał na papierze, a teraz nadawał głębię portretowi. Żółte gardenie Mignona zamieniły się w szare i białe... Jaka szkoda. Wszystko z powodu głębi.

J.G. niechętnie oderwał się od kontemplowania rysunku.

– A wie pan, czyj jest ten obrazek w głębi? – powtórzył właściciel galerii, podczas gdy on nadal tkwił zdumiony i zmieszany w tym samym miejscu.

– To Mignon – powiedział cicho.

Po kolejnej minucie martwej ciszy J.G. poruszył się i zbliżył nos do podpisu, jakby chciał poczuć jego zapach. Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt sześć, przeczytał. I nagle poczuł, że znów jest wewnątrz rysunku, w pracowni artystki; stała obok mężczyzny, który powtarzał nic już nie zmieniaj, kochana: jest

fantastyczny. Nagle oboje odwrócili się, jakby w tym momencie zauważyli jego obecność. Chwilowa dezorientacja. I wtedy mężczyzna podszedł do kobiety i pocałował ją, a J.G. ogarnęła cała zazdrość świata.

Właściciel galerii z uśmiechem obserwował wrażenie, jakie na J.G. wywarł portret, i żeby odczarować nie wiadomo jaką magię, powiedział nie ma żadnych wątpliwości, jest autentyczny. Zdeponowała go rodzina.

J.G. nie od razu odpowiedział, jakby był nieobecny; bo faktycznie był. Po bardzo długiej chwili odetchnął głęboko i nie odwracając głowy w stronę właściciela, wycodził przez zęby:

– Sara Voltes-Epstein nie jest znaną artystką. – Starając się opanować drżenie. – Skąd taka cena?

– Bo z tą ceną obraz nie będzie tu wisiał ani tygodnia.

– Ja szukam obrazów olejnych.

Mężczyźni mierzyli się wzrokiem w milczeniu. Właściciel uświadomił sobie, że pokpił sprawę; mógł podać cenę dwa razy wyższą. Ale było za późno.

– Ma pan świetne dzieło sztuki. Dałem panu okazję nabycia tego rysunku, bo bardzo pana szanuję, i przyznaję, że już od dawna chciałem współpracować z takim jak pan kolekcjonerem. Ta cena to... – Ścisząc głos. – To okazja.

Lekkiego drgnienia powiek kobiety na portrecie nie mogli zauważyć, bo obaj mierzyli się wzrokiem.

– Niech mi będzie wolno coś zasugerować – dodał właściciel. – Ponieważ wartość portretu stale rośnie, może panu służyć do negocjacji przy nabywaniu jeszcze droższych dzieł sztuki.

– A są takie perspektywy?

– Niebawem.

J.G. znów się skupił na szkicu. Powoli wciągnął powietrze i wbijając wzrok w ziemię, jakby nie chciał napotkać innego spojrzenia, powiedział kupuję.

– Rozsądna decyzja. Cieszę się. – Nie mógł się powstrzymać i zatarł ręce, już zrelaksowany. Nagle spojrzął mu w oczy. – Przepraszam, a skąd pan wie, że ten obrazek w głębi to Mignon?

– To gardenie w bladożółtym kolorze.

– Ale jak...

– Abraham Mignon, tak. – I wyciągnął rękę do właściciela galerii. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Dobili targu. Wszystkie łzy wylane od momentu, gdy Sara Voltes-Epstein ukończyła rysunek, przepadły niczym garść piasku na pustyni, jak zazwyczaj się dzieje z troskami i radościami, które towarzyszą dziełom sztuki, kiedy opuszczają pracownię malarza i wyruszają w niepewną drogę.

Po niedługim czasie, dosłownie parę dni później, zjawiała się policja, a trzech przestraszeni świadkowie jeszcze bardziej się zdenerwowali i klęli w duchu że też na mnie trafiło, powinienem był uciekać. Jeden mechanicznie, odruchowo zaciągał się papierosem, drugi, ten z samochodu w jasnym kolorze, włożył płaszcz i podniósł kołnierz, bo wiał zimny wiatr, a trzeci krążył między jednym a drugim, przestraszony, i mówił nie wierzę, nie mogę w to uwierzyć, i krzyczał na psa, który zachowywał się najspokojniej z nich wszystkich. Ale żaden z mężczyzn nie miał odwagi podejść do czarnego samochodu. Wkrótce zgromadziły się aż trzy wozy straży miejskiej, z niebieskimi kogutami, żółtymi reflektorami, z jakimiś rozkazami co chwilę i pytaniem, gdzie są świadkowie. Aha, niech czekają, chcę z nimi porozmawiać. Ten, który rozkazywał, wsadził głowę przez okienko kierowcy bmw, przez spuszczoną szybę, skierował tam światło latarki i powiedział o mój Boże na widok siedzącego z tyłu mężczyzny, całego we krwi, a obok niego wyglądającej młodo kobiety, przytulonej do mężczyzny, jakby szukała w nim ochrony, w czerwonym płaszczu, który wcześniej musiał być biały albo jasnobeżowy. Wszyscy nieruchomi, jak do zdjęcia. I jeszcze jedno. I jeszcze jedno dla potrzeb śledztwa. I jeszcze w jakiej pozycji zastygły nogi, stopy mocno wbite w podłogę samochodu, bo nie mieli czasu, żeby się poruszyć. Dziewięć kul z magazynka na dziesięć. Pięć dla mężczyzny i cztery dla kobiety, co jeszcze musi potwierdzić autopsja. Jasne. Myślę, że to robota zawodowca. Uważam, że tak. Chcę wiedzieć, kim są ten mężczyzna i ta kobieta. I kierowca. Tak. I świadkowie. Dlaczego się tu znaleźli o tej godzinie i co widzieli.

– Proszę spojrzeć.

Jeden z techników kryminalnych pokazał mu trzy łuski naboju, które podniósł przez rękawiczkę.

– Co?

- To stara amunicja.
- Jak stara?
- Sprzed trzydziestu lat.
- Jak to twoim zdaniem wyglądało?
- Szofer spuścił szybę i ktoś strzelił do niego tylko raz, a potem wyładował cały magazynek na dwie ofiary siedzące z tyłu.
- Z zimną krwią, co?
- Tak. Profesjoniści. Może Bałkańczycy.
- Dlaczego?
- Ze względu na amunicję – ocenił blondyn.
- Więcej powiedzą ci z laboratorium.
- Założyłbym się o moje wąsy, że broń to Crvena Zastava z lat sześćdziesiątych.

– Ale ty nigdy nie nosiłeś wąsów – zareagował przytomnie ten drugi, który pochylił się nad szoferem i przyglądał mu się uważnie. Mężczyzna tkwił nieruchomo na swoim siedzeniu z kulą w lewym oku jak z ołowianą łzą. Zapewne chodziło o to, żeby się nie ruszał i nie przeszkadzał, podczas gdy zabójca wyładowywał całą swoją żółć na tych z tyłu. Dlaczego, kim trzeba być, żeby... Mój Boże, co za... Wtedy sobie uświadomił, że to śmierdziały wymiociny na drzwiach samochodu od strony szofera, i na pewno pobrudziłem sobie spodnie.

Wyprostował się, stojąc na zewnątrz samochodu, i odetchnął świeżym powietrzem, niezabrudzonym ani wymiocinami, ani śmiercią.

– Trzeba przeszukać okolicę. Od świateł w obu kierunkach. Na całej szerokości. I odciski palców na przyciskach. Jeżeli miał pomocników, musieli zostawić jakieś ślady. Aha, powiedzcie tym zasranym świadkom, żeby się nie kręcili, bo jeszcze nam tu zatrą ślady. Tak, teraz się nimi zajmę. A ten co tu robi? Nie zamknęliście ulicy?

Przed tą nocą, kiedy został podziurawiony jak sito, J.G. przebywał w towarzystwie kobiety jeszcze niezidentyfikowanej; był uroczym mężczyzną, który żył z tego, że umiał nawiązywać stosunki, wspomagany przez pokaźny majątek rodzinny.

- Skąd wiedziałaś, że spodoba mi się tamten autoportret Voltes-Epstein?
- Nie wiedziałam. Ale jest bardzo dobry.
- A dlaczego skontaktowałaś mnie z panem Sempau?
- Jesteśmy przyjaciółmi, on miał ochotę cię poznać, i ja też.

J.G. czekał, czy poruszy temat swojego udziału, ale Nina z uroczą nieśmiałością wskazała ręką drugie piętro i powiedziała cicho bardzo bym chciała zobaczyć...

– Co tylko zechcesz. Jestem do twojej dyspozycji. – Zastanawiał się parę sekund. – Pokażę ci nowy nabytek – powiedział, pocierając skroń, którą za parę godzin mieli mu podziurawić, jakby już go swędziała.

- Co to za obraz? – zapytała zaintrygowana Nina.
- Chagall.

Nie zareagowała. J.G. nie wiedział, czy dlatego, że było jej wszystko jedno, bo zależało jej tylko na romansie z nim, czy dlatego, że nie chciała się przyznać, że nie wie, co to za jeden ten Chagall.

Szła przed nim po schodach aż na drugie piętro. Odruchowo spojrzał na jej tyłek, który poruszał się delikatnie, kiedy wchodzili. Na górze wyprzedził ją przed drzwiami. Wybrał kod, żeby wyłączyć alarm, otworzył drzwi i światła w ogromnej sali zapaliły się same. Przestrzeń bez okien i mnóstwo ścianek działowych, które nie sięgały sufitu, na środku obszernego pomieszczenia, zajmującego całe drugie piętro. Ani kawałka pustego miejsca. Część obrazów na ziemi, opartych o ścianę, czekała cierpliwie na właściwą ekspozycję.

- Niewiarygodne – westchnęła Nina, oczarowana i zdumiona.
- Wejdz, proszę.

Kiedy już byli w środku, pokazał jej dwa obrazy – rysunek i obraz olejny, jedyne, które nie zostały powieszony ani oparte o ścianę, tylko wyeksponowane na sztalugach, jakby jeszcze znajdowały się w domu aukcyjnym. Ten po prawej to autoportret Voltes-Epstein. J.G. wskazał go, skłaniając głowę w stronę Niny, i powiedział to dzięki tobie. Wtedy stanął przed drugim. Mężczyzna z brodą, z workiem na plecach, z kijem w wolnej ręce, zamiast iść pokrytą śniegiem drogą, unosił się ponad zimnymi dachówkami mroźnego pejzażu Witebska. Podziwiali to cudo w ciszy. Po paru minutach Nina spojrzała na J.G., ale znów odwróciła głowę, zmieszana, bo przyłapała dwie błyszczące łzy, uwięzione na

krawędzi jego oczu. J.G. płakał przed płótnem, oczarowany. W ciszy oboje poczuli bezlitosne zimno białej równiny Witebska. On się cieszył, że Nina milczy i pozwala, by obraz ją oczarował. Jej zachowanie wzbudziło w nim czułość. Położył dziewczynie rękę na ramieniu, towarzysząc jej w tym odkryciu.

Przechadzali się wśród obrazów długą godzinę i podziwiali Muncha, Vermeera, Urgella, Hoppera, Mira i wielu, wielu innych, nie tak znanych, ale równie znakomitych, i przez chwilę nawet się przestraszył, a może oczekiwał, czy ta atrakcyjna kobieta nie przeżyje czegoś w rodzaju zawrotu głowy, duszności czy osłabienia w konfrontacji z różnorodnym pięknem wypełniającym ściany. Była mądrzejsza, niż przypuszczał. I jeszcze Mir, Viladecans, Corot, *Hortus conclusus* Marka Molinsa.

Kiedy poczuła, że bołą ją nogi, przysiadła na jednej z ławek ustawionych w strategicznych miejscach; miała taką minę, jakby rzeczywiście przeżywała lekki zawrót głowy.

– Jak to możliwe, zgromadzić aż tyle...

– No więc... Wystarczy poświęcić życie i majątek. Ale możesz mi wierzyć, czuję się szczęśliwy.

– To robi jeszcze większe wrażenie, niż się spodziewałam.

– A czego się spodziewałaś?

– Naprawdę... – Zamilkła, jakby trudno jej było się wysłowić. Zdobyła się na wysiłek i mówiła dalej: – Nie wiem, jak to wyrazić. Ale to przekracza moje wyobrażenie.

– Podoba ci się... – To było nieśmiałe pytanie bez żadnej sugestii.

– Jest tu tyle piękna, że nie wiem jak... Piękno oczywiste, bezdyskusyjne. – Pokręciła głową. – Bardzo mi przykro, po prostu mam ochotę się rozpłakać.

– Ależ płacz. Masz pełne prawo. – Wskazał ściany i obrazy. – One to doskonale rozumieją.

– Tak bardzo ci zazdroścę – powiedziała. I przez chwilę nie odzywali się, jakby czekali, jakby specjalnie chcieli przesunąć w czasie moment śmierci.

– A co pokażesz na wystawie w Zurychu?

– Trzydzieści pięć płócien. Nie: ostatecznie będzie ich trzydzieści siedem.

– Często wystawiasz?

– Co roku organizuję dwie wystawy, żeby pokryć koszty Fundacji: jedna w Zurychu, krótka, i druga w Barcelonie, wystawa stała, którą od czasu do czasu zmieniam. Żeby się dzielić swoimi zbiorami z ludźmi.

– To wystawa w Muzeum Miejskim?

– Dawniej tak; teraz, od dwóch lat, wystawiam w samej Fundacji.

– To znaczy, że nie ma tu wszystkiego.

– Aha.

Cisza. J.G. przygląda się przygnębionej kobiecie, która siedzi na łóżku przykrytym czerwona kapą, nie zwracając uwagi na smutny pejzaż za otwartym oknem. Odwrócił się do Niny.

– Przykro mi, że nie mogę mieć ich wszystkich przy sobie, choć przecież są w Fundacji. Ale kiedy wracają do domu... – szeroki uśmiech – witam je z honorami. Poza tym odwiedzam je incognito, kiedy są wystawiane.

– Ty decydujesz, co wystawiać?

– Tak. Korzystam z rad, ale kolekcja jest moja i ja mam ostatnie słowo.

– A autoportret i Chagall, kiedy...

– Nowe nabytki muszą poczekać parę lat, zanim zaczną podróżować. Dojrzewają jak wino w skórzanym bukłaku.

– Chcesz, żeby miały jasność, że tu jest ich dom.

Tylko się uśmiechnął. Nina przeszła się jeszcze parę razy po sali, w milczeniu. On nie patrzył na obrazy, tylko na nią, jak je ogląda. Aż do chwili, kiedy powiedziała najchętniej nie ruszałabym się stąd.

– Ja też.

– A co to takiego?

Zatrzymała się przed sztalugami na uboczu, na których umieszczony został obraz przedstawiający prosty, ale magiczny pejzaż, fascynujący światłem. Para ustawiona tyłem do obserwatora szła drogą między ścierniskami w stronę pagórka wyeksponowanego w blasku wschodzącego słońca.

– Millet – odpowiedział z lekkim zakłopotaniem.

– *La paysanne* – przeczytała Nina.

– Z 1854 roku.

– Ale co to takiego?

Nina wskazywała anachroniczną postać mężczyzny z czymś w rodzaju turbanu na głowie, patrzącego w stronę wschodzącego słońca, który prawie przysłaniał wieśniaczkę, jakby był domalowany albo...

J.G. spojrział na zegarek, skrzywił się i powiedział musimy też pożywić ciało. Ruszył w stronę drzwi.

– Wyjaśnię ci to w samochodzie.

Kiedy znaleźli się na parterze, na stojąco napili się czegoś, ale ona nawet nie zwróciła uwagi na to, co piła. Milczała, nieobecna duchem, myślami błądziła wśród skarbów na górze i dopiero po chwili zauważyła, że gospodarz podaje jej beżowy płaszcz, który miał się stać jej śmiertelnym całunem. Kiedy się ubierała z jego pomocą, J.G. postanowił, że przy kolacji przedstawi jej oficjalną wersję swojego życiorysu i powie, że rozpoczął od zbierania rysunków w Kole Sztuk Pięknych: szkiców odrzuconych, szkiców podarowanych, próbek artystycznych i tym podobnych rzeczy. Nie chciał zapisać się na kurs. Oświadczył nie chce malować ani rysować. Chce oglądać rysunki i obrazy, tak samo jak czytelnicy, którym nigdy nie przyszło do głowy, by napisać choćby linijkę, rozumiecie? Tak, ale skoro zawsze cię tu pełno i... No więc jak mówiłem. Powie jej, że tym, co ostatecznie przesądziło o jego przeznaczeniu, był zakup pierwszego obrazu: mając go w domu w dzień i w nocy, niemal osiągnął pełnię szczęścia. W krótkim czasie zebrał skromną kolekcję i dzięki udanym operacjom finansowym mógł bez przeszkód dysponować pieniędzmi. Wtedy zaczęła się prawdziwa droga przez mękę: oglądał, szukał, kupował, targował się, dyskutował... I najbardziej bolesna chwila: kiedy miał okazję coś kupić, ale za cenę zaporową, nauczył się pozbywać obrazów, które mu towarzyszyły bardzo długo, ale których rola polegała – teraz zdał sobie z tego sprawę – tylko na tym, by dzięki swojej wartości umożliwić nabycie skarbu jeszcze cenniejszego. Kiedy do tego dochodziło, przeżywał chwile euforii, ciesząc się nowym nabytkiem, i smutku, że musiał się pożegnać z obrazem, który darzył miłością bezwarunkową. Jak widzisz, Nino – miał zamiar jej powiedzieć – to jest życie bez wielkich wydarzeń. Ale teraz już od dłuższego czasu nie musiał się niczego pozbywać, żeby coś kupić, bo pieniądz rodzi pieniądz. Powie jej, że nawet udało mu się odkupić rysunki Ramona Casasa i pejzaż za mgłą Vancellsa, który go wzruszył, kiedy odnalazł go przez przypadek na wystawie w Terrassie,

i któremu, gdy go odzyskał ponownie, przysiągł na klęczkach, że już nigdy się go nie pozbędzie. Wspaniały. Jak to możliwe, że udało się namalować kropelki mgły na uspionym pejzażu? Jako streszczenie swojej biografii J.G. powie mam już pięćdziesiąt trzy lata i dotąd nie wiem, która epoka w malarstwie najbardziej mi się podoba. Oto moje życie, kochana Nino. A teraz opowiedz mi o swoim. Wtedy będą już przy drugim daniu. I kiedy wróci do domu następnego dnia, sam, uzbrojony w cierpliwość, znów będzie się wpatrywał we wschodzące słońce Milleta i być może spełni się wtedy marzenie jego życia.

Na dole, przed głównym wejściem, czekał na nich kierowca ze znudzoną miną.

– Do Barcelony. Do restauracji Cortada.

– O tej godzinie? – zapytał zdziwiony kierowca.

– Czekają tam na mnie – odpowiedział krótko. I otworzył tylne drzwi, żeby Nina mogła usiąść tam, gdzie miała zostać przeszyta czterema kulami, które były dla niej przeznaczone, dokładnie kiedy staną na pierwszych światłach, zjeżdżając Arrabassadą. Rozpoczęli jazdę w ciszy, ale zaintrygowana Nina odczekała tylko parę minut, zanim przypomniała mu, że miał jej wyjaśnić, o co chodzi z tym anachronizmem na obrazie, wyglądającym na obraz Milleta. Nie odpowiedział jej, jakby się skupiał na tym, jak prowadzi kierowca, albo jakby nie wiedział, od czego zacząć. Aż w końcu westchnął głęboko i powiedział nie śmieć się ze mnie, ale kiedy zobaczyłem po raz pierwszy portret Voltes-Epstein, wszedłem do środka.

– Co znaczy wszedłem do środka?

– No właśnie to. Jak inaczej mógłbym się dowiedzieć, że gardenie na obrazie były żółte?

– Nie żartuj sobie, proszę.

– Wszedłem w rysunek; wyrażając się ściśle, wstawiłem do środka głowę. Był tam jakiś mężczyzna i oboje, zarówno mężczyzna, jak i rysująca kobieta, odczuli moją obecność.

Po chwili milczenia kontynuował, ścisząc głos a jeśli chodzi o *La paysanne*...

– Co?

– To, że chciałbym zobaczyć jej twarz.

– Przecież stoi tyłem!

– Dlatego chcę przeniknąć do obrazu.

Cisza. Samochód, poruszający się delikatnie, bez wstrząsów, sprzyjał ciszy, mimo niesamowitości, o których w nim szeptano. Nie wiedzieli tylko, że pojazd z całą godnością zbliżał się do śmierci. Wtedy Nina cichutko się przyznała ja kiedyś chciałam się schronić w symfonii Mahlera.

– Rozumiem cię. Jeszcze jak rozumiem. – Cisza, coraz bliższa finału. Jakby we śnie mówił dalej, patrząc przed siebie: – Czasem widać tylko wieśniaczkę.

– Zawsze jest tyłem?

– Ale ona nie jest całkiem odwrócona ani nie do końca widać jej profil, dzięki czemu jest bardziej atrakcyjna... Czasami są tam we dwoje, czasem widać tylko plamki...

– I ten człowiek nie może wyjść z obrazu?

– Nie wiem. Sam chcę spróbować.

– Strach tego słuchać.

J.G. roześmiał się i powiedział jeżeli pewnego dnia gdzieś się ulotnię, szukaj mnie w moich obrazach. – Uśmiechnięty: – Zaczynaj od *La paysanne* na wszelki wypadek.

Wziął ją za rękę i wyszeptał na ucho spieszysz się gdzieś, tego wieczoru?

– Na najbliższe spotkanie jestem umówiona dopiero za dwa dni.

J.G. wyprostował się i zwrócił się do szofera:

– Proszę na nas nie czekać przed restauracją, bo już późno.

– Jak pan sobie życzy, ale ja...

– Nie, nie. Zostawi pan nas i proszę wracać do domu.

– Dziękuję.

Jeszcze parę zakrętów. J.G. wziął Ninę za rękę, a ona jej nie cofnęła.

– Dziękuję, że nie śmiałaś się z tego wszystkiego, co ci opowiedziałem – wyszeptał J.G.

– Śmiać się? To raczej budzi mój niepokój.

– A ukrywanie się wewnątrz symfonii nie budzi twego niepokoju?

– Budziłoby, gdyby to było możliwe. Wolę, żeby pozostało w sferze marzeń.

– A ja nie. Nie mogę.

Samochód zwolnił, bo dojeżdżali do przedmieść Barcelony i pierwsze światła, na które trafili, w tym momencie zapaliły się na czerwono. Kierowca powoli zahamował.

– Wszystkie dziesięć kul wystrzelono z tego samego pistoletu.

– Zawodowiec – powtórzył po raz trzeci oficer.

– Z całą pewnością. Z zimną krwią. Najpierw zatrzymał samochód na światłach.

– Jak?

– Wciskając przycisk dla pieszych.

– A skąd wiedział, że nadjeżdża właśnie ten wóz?

– Ktoś mógł go uprzedzić... stamtąd, na przykład.

– Sprawdziliście to wzgórze?

– Ani śladu, ale to nie mogło być inaczej. A potem kierowca opuścił szybę.

– Albo jechał z otwartym oknem.

– Za zimno, to niemożliwe. – Potarł ręce, żeby potwierdzić słuszność swojego komentarza. – W każdym razie z jakiegoś powodu kierowca opuścił szybę. Wtedy strzelił mu w twarz, a następnie załatwił tych z tyłu. Z zimną krwią. Precyzyjna robota: wszyscy martwi.

– W ciągu dwóch minut?

– Nawet mniej.

– Czekał na niego jakiś wspólnik, żeby ułatwić ucieczkę?

– Bardzo możliwe.

– Gdzie są kluczyki?

– Jeszcze ich nie znaleźliśmy. Pewnie zabrał je zabójca.

– Co mówią świadkowie?

– Słyszałem głucho wystrzały, kiedy szedłem poboczem.

– Pieszko?

– Tak. Żeby wyprostować nogi. Mieszkam tu niedaleko i lekarz nakazał mi codziennie, no...

– Dobrze, dziękuję. I co pan widział?

– Samochód, który się zatrzymał na czerwonych światłach. Nic szczególnego.

– No więc ja musiałem zahamować za tym czarnym bmw i zaraz sobie pomyślałem cholera, nie śpij, przecież już masz zielone, idioto. I ponaglam go światłami, i mówię co za skurwiel, masz zielone, i wysiadam z samochodu, i aż mnie замуrowało czy coś, bo ja jestem nerwus, i wtedy zobaczyłem kierowcę w słabym świetle latarni, i widzę, że na mnie patrzy, poszarzały na twarzy, i mówię mu kurwa, panie, jedziesz wreszcie czy nie, i dopiero wtedy zauważyłem, że facet patrzy na mnie tylko jednym okiem, coś obrzydliwego. Tak, tak, to ja zwymiotowałem, po prostu... No, dobrze, miałem mdłości i rzyg. Ale ja go nawet nie dotknąłem, jasne? Jestem niewinny jak baranek, zrozumcie.

– I mówi pan, że w środku było więcej trupów? Ach, no, ja nie miałem pojęcia. Wyprowadzałem psa, zawsze tak robię, kiedy wracam z pracy, no, wie pan. I nagle paf, stoi tu samochód. Nie, o tej porze ruch jest niewielki. A co za jedni, ci zastrzeleni? Mafia rosyjska, prawda?

– Pan wybaczy, ale ja tu jestem od zadawania pytań.

– Dobrze, dobrze, zrozumiałem.

– Czyli od świadków nie dowiedzieliśmy się niczego.

– Jak zwykle.

„Brutalne morderstwo J.G., znanego filantropa i kolekcjonera dzieł sztuki. Przerazający zamach, dokonany na pierwszym kilometrze autostrady Arrabassada, ofiarą padł również kierowca J.G. i jeszcze jedna osoba, na razie niezidentyfikowana”.

– Dlaczego napisali niezidentyfikowana, skoro wiemy, że nazywa się Nina Altet?

– Żeby dać czas na...

– Na co? – nalegał blondyn.

– To jest zamężna kobieta.

– Była.

– W porządku: była.

– I co z tego, że była zamężna?

- Była zamężna, ale nie z J.G.
- Śmierdząca sprawa.
- Jeszcze nie udało się skontaktować z mężem.
- Jeszcze nie?
- Był w podróży.
- Myślę, że musimy go dokładnie prześwietlić.
- Od góry do dołu. Mężowie zawsze są podejrzani.

Parę dni później niewiele osób miało szansę skojarzyć czy porównać dwa różne pogrzeby: pogrzeb J.G., wydarzenie na miarę pozycji towarzyskiej głównego bohatera, z udziałem osobistości ze świata kultury i wielu osób ze środowisk artystycznych, ale praktycznie bez żadnych krewnych, i pogrzeb Marii Altet, dla przyjaciół Niny Altet lub tylko Niny. Jej mąż, ciągle jeszcze zaskoczony, za stary na tyle witalności, jaką miała w sobie Nina, ze spuszczoną głową, wolałby być na jej miejscu, żeby nie musieć przez to wszystko przechodzić, nie przywitał się praktycznie z żadnym uczestnikiem uroczystości, bliskimi krewnymi, poza pięcioma dziennikarzami, którym się marzył sensacyjny reportaż. Nieszczęsny wdowiec był tak zaskoczony i zawstydzony, że wolałby cichy pogrzeb, bez żadnej ceremonii, czemu energicznie sprzeciwiła się rodzina zmarłej.

Spalili ich o tej samej godzinie, ale jego w Sant Cugat, a ją w Barcelonie. A podwójne zabójstwo wyrwało z korzeniami to, co zapowiadało prawie pewną namiętną historię miłosną.

Dwadzieścia pięć lat przed tymi równoczesnymi pogrzebami Carles powiedział uważaj, żebyśmy się nie najedli gówna! Odwrócił się, nie puszczając kierownicy.

– Ej, daj jej oddychać, ty bydlaku!

Carles, istny kłębek nerwów, prowadził jak energumen, pilnie śledząc lusterko wsteczne niż ruch na drodze. Cały czas spoglądał na Xirgu i widział, że jest jeszcze bardziej zdenerwowany niż on. Właściwy moment, żeby sobie uświadomić, że źle wybrał partnera.

– Aaaj! Wredna mała...

Wyrwał ugryzioną rękę, a wtedy dziewczynka zaczęła krzyczeć.

– Ucisz ją, do jasnej cholery!

Xirgu uderzył małą w twarz, jakby był jej ojcem, i powiedział zamknij się, słyszysz, ty gnido? Samochód zatrzymał się na światłach. Strażnik miejski zwrócił na nich uwagę.

– Na litość boską, ucisz ją, bo wpadniemy!

Wpadł na to, by włączyć radio, które po kilku nerwowych sekundach zaczęło emitować lamenty śpiewaczki flamenco, zlewające się z krzykami wrednej małej. Carles spojrział na strażnika z uśmiechem. W tym momencie przestał słyszeć protesty dziewczynki.

– Uważaj, tylko jej nie uduś.

– Pospiesz się, masz zielone, cholera, patrz, co robisz!

Po raz pierwszy porywali dziewczynkę i okazało się to dziecinnie proste. W momencie, gdy wychodziła ze szkoły, w otoczeniu innych dziewczynek w różnym wieku, które szły do autokarów, oni wcisnęli się w tłum, jakby im się spieszyło, i odłączyli ją od innych spokojnie, ale stanowczo i dziewczynka, nie wiedząc jak i kiedy, znalazła się sama na rogu szkoły. Sama. Nie: w towarzystwie dwóch nieznajomych. I zanim się zorientowała, co się dzieje,

wepchnęli ją do samochodu, na tylne siedzenie, obok jednego z mężczyzn, który ją przytrzymał i położył jej rękę na ustach, jakby sam się prosił, żeby go ugryzła. Samochód ruszył gwałtownie i po dwóch czy trzech minutach zorientowali się, że porywanie dziewczynek wcale nie jest dziecinnie proste, i dlatego powiedział mu uważaj, żebyśmy się nie najedli gówna.

Męka skończyła się, kiedy dotarli do doskonałej kryjówki, idealnej do perfekcyjnego porwania. Carles wysiadł z samochodu, podniósł metalową żaluzję, wrócił za kierownicę i zaparkował samochód na podwórzu. Wrócił, żeby opuścić żaluzję od strony ulicy, i przecisnął się do środka. Teraz trzeba było przejść do realizacji drugiego punktu perfekcyjnego planu. Niestety, nie mieli planu B.

– Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa – powtarzał Xirgu wewnątrz samochodu.

– Nie krzycz! Co się dzieje?

Carles otworzył drzwi, akurat w momencie, gdy Xirgu spoliczkował dziewczynkę. Ej, zacznij wreszcie oddychać!

Carles wyciągnął dziewczynkę za nogi i położył na środku dziedzińca. Zaczął sztuczne oddychanie usta-usta, byle jak, ze zbędną gestykulacją, podczas gdy Xirgu zasłaniał twarz rękami i mówił niech to wszyscy diabli. Ja się stąd zbieram.

Carles natychmiast się zerwał, złapał go za gardło i powiedział zostajesz tu, inaczej cię zabiję. A teraz spróbujmy ją odratować.

– Już zsiniała, nie widzisz?

Przez parę minut sapali, uderzali, przeklinali i wpadali w rozpacz. Aż w końcu zrezygnowany Carles, stojąc bezradnie nad dziewczynką, przez kilka nieskończonych sekund zastanawiał się, dlaczego wszystko tak źle poszło, teraz, kiedy znalazł rozwiązanie, jak uporządkować wreszcie ten cały bałagan, w jaki się zamieniło jego życie. Nagle wstał i powiedział realizujemy nasz plan, jakby nic się nie stało.

– Chyba zwariowałeś.

– Chcesz współpracować czy nie?

– Jasne.

– No to rób, co ci każę.

Mówił, że trzeba dalej działać zgodnie z planem: muszą zadzwonić

natychmiast do rodziny, zanim zdąży skontaktować się z policją.

– Idź do telefonu, zadzwoń i powiedz, co masz do powiedzenia.

– Przecież jest martwa! – Xirgu nie potrafił się pozbierać. Carles potrząsnął nim, chwytając go za ramiona, i krzyknął mu do ucha:

– Ale oni o tym nie wiedzą! Uspokój się. – O pół tonu ciszej: – Teraz nie możemy się wycofać, rozumiesz?

Cisza, na środku dziedzińca dwaj zdesperowani mężczyźni obok martwej dziewczynki. Carles ostatkiem sił powiedział cichym, ale stanowczym głosem:

– A forszę niech przyniesie kobieta; co do ostatniej pesety, jak nie, zabijemy dziewczynkę.

– Czekaj, czekaj, czekaj.

– Czekam.

– Słuchaj, a może zrobimy tak, zostawimy tu dziewczynkę, uciekniemy i nic się nie stało?

– Kiedy ją znajdą, odwiedzą mojego szwagra i zapytają, co u niego robi ten trup...

– Tak, jasne, no tak. Zgoda. Ale ja nie mam odwagi dzwonić.

– Niedobrze jest zmieniać plany.

– Skoro jest trup, plany się zmieniły.

– Nie krzycz.

– Nie krzyczę.

– Cicho, muszę się zastanowić.

Tyle pieprzonych godzin na przygotowanie porwania, tak żeby nic nie uszło ich uwadze, a teraz wszystko się poplątało. Dlaczego, o mój Boże, dlaczego mnie to spotyka?

– Zgoda, ja zadzwonię do rodziców – zdecydował zrezygnowany Carles. Daj mi tę kartkę. Ale ty masz zabrać... to. – Nie miał odwagi wskazać ciała dziewczynki. – Tam, gdzie... – Nieprzyjemna cisza, bo przecież nigdy nie chciał, żeby tak się to skończyło. – Na wysypisko?

Obaj milczeli. Gdzieś w oddali syrena strażaków spieszyła do ognia. Xirgu wziął głęboki wdech.

– Nie. Znam lepsze miejsce, ale będziesz musiał mi pomóc. Jak się ściemni.

Ochłonęli, jak już się dogadali. Carles poszedł do telefonu na placyku, zadzwonił do rodziców i powiedział, że dziewczynka została porwana i że dobrze się czuje. Że co? Nie, w żadnym razie: dobrze się czuje. No nie, cholera! Bo ja tak mówię, proszę pani! Ponadto uprzedził, że ich śledzą i jeżeli zauważą jakieś podejrzanе działania, coś z policją, wtedy naprawdę ją zabijemy, czy to do pani dotarło? I wskazówki. Niech pani zrozumie: nie chcemy jej zabić, chcemy tylko tyle a tyle peset w różnych banknotach. Jasne? No już, proszę uważać: godzina i miejsce. I odłożył słuchawkę. A kiedy wracał do garażu, ogarnęło go bezgraniczne poczucie niepewności; czemu zawsze przytrafiało mu się to najgorsze, komplikując jego życie, i tak pełne długów i śmierdzących, nierozwiązanych spraw i... Dobrze, że przynajmniej Rosa żyła z głową w chmurach. Zapadłbym się pod ziemię, gdyby dowiedziała się, że...

– Obudziła się? – zapytał.

– Słuchaj, koleś, ona jest martwa, martwa, rozumiesz? Wiesz, co znaczy martwa?

– Nie mów do mnie koleś.

– Jak chcesz, ale to jej nie przywróci do życia.

Parę godzin później Carles myślał nie wiem, dlaczego mnie to wszystko spotyka. Jestem nafaszerowany banknotami. Mam tysiące peset rozłożonych po całym garniturze, w nogawkach i za paskiem, aż mi gorąco ze strachu. Musiałem stracić pół godziny, żeby przekonać Rosę, że zjem kolację na mieście i może nawet nie wrócę na noc, bo praca nie pozwala mi ani na chwilę odpoczynku; a ona tak się wściekła, że aż chciałem jej powiedzieć nie wiesz, z kim rozmawiasz. Na to ona odpowiedziałaby mi wyzywająco: z kim mianowicie rozmawiam, z pożałowania godnym golcem? Na to ja nie, królowo, rozmawiasz z zabójcą dziewczynek. A na stacji benzynowej kolejka, właśnie teraz, kiedy mam czym zapłacić. Już od miesiący nie brałem samochodu, bo nie stać mnie było nawet na łyżkę benzyny. Cud, że udało się go uruchomić. Kurwa, czy nie widzą, że mi się spieszy, że muszę zdążyć na lot do Szwajcarii? Umrę z nerwów, któregoś dnia umrę z nerwów. Dlaczego się nie uspokoisz, skoro już masz pieniądze; teraz możesz zatkać dziury i uważać, żeby już nigdy więcej nie wdawać się w afery, wracać po południu do domu, przekąsić parę oliwek w barze Isabel, potem lekka kolacja i wcześniej położyć się do łóżka. Ale

zawsze musi pójść coś nie tak; Xirgu, który powinien być wzorowym żołnierzem, zabija mi dziewczynkę, ej, wypadek, nie zabójstwo; tak czy inaczej, ten głupek mi ją zabija. A ja się spóźniam, myślałby kto, mam teraz wszystkie pieniądze świata i mogę się spóźnić na samolot z powodu kolejki na stacji benzynowej przy ulicy Aragó.

Nalał benzyny do pełna, jak nigdy się nie zdarzyło za jego pamięci. Skreślił w stronę lotniska w Pracie. Po drodze zabłądził, bo ta sygnalizacja jest do dupy. I kiedy wziął ten zakręt, sto osiemdziesiąt stopni, po dziesięciu sekundach pojawił się policjant na motocyklu, a ja pomyślałem to już koniec, lepiej byś się rzucił głową w dół z mostu nad Llobregatem, z całą kasą, żeby spocząć na zawsze w zasranym pokoju. Na szczęście tamten dupek minął mnie, a za pięć sekund przejechał obok jego kolega. Zimny pot. Chciałbym być już w Szwajcarii, w banku, po wpłaceniu gotówki.

– Ale dlaczego nie możemy korzystać z nich już teraz?

– Widziałeś je, przeliczyłeś, wiesz, ile mamy, i wiesz, że podzielimy się pół na pół.

– Ale to ty zabierasz wszystkie pieniądze...

– Cholera, musimy odczekać parę miesięcy, na wypadek gdyby banknoty były znaczone czy coś w tym rodzaju.

– Coś w tym rodzaju?

– Widziałem to na jakimś filmie: margines bezpieczeństwa.

– Daj mi połowę i przysięgam, że nie ruszę ich bez twojej zgody.

– Xirgu.

– Co.

– Prawda, że tak się umówiliśmy, że taki jest plan?

– Tak, ale... kiedy widzisz taką kasę i...

– Masz do mnie zaufanie?

– Nie.

– Pocałuj się w dupę!

Xirgu nie pocałował się w dupę, ale zrezygnowany pogodził z tym, że musi czekać trzy miesiące, zanim dostanie swoją część, mimo wpadki z dziewczynką. W końcu to on ją zabił, to znaczy, zmarła mu na rękach; nie, raczej na jego

rękach przydarzył się jej wypadek. Albo lepiej: wszystko dlatego, że ta przeklętnica wbiła mu zęby w rękę, tak. Było, jak było, teraz nie miał silnych argumentów, żeby protestować.

Ponieważ sprawy przedstawiały się tak, a nie inaczej, zdecydowali, że nie będą się widywać przez najbliższe trzy miesiące. A jak nie przyjdiesz z pieniędzmi, to cię zabiję, ostrzegł Xirgu. Twoje prawo, zgodził się Carles. Na lotnisku prawie nie zwrócił uwagi na okazały mural Miró, którego nigdy jeszcze nie widział w naturze, bo w życiu nie po drodze mu było z lotniskami. Poza tym inne rzeczy leżały mu na żołądku, odciągając uwagę od tej kolorowej ściany, którą on sobie wyobrażał w czerni i bieli. Zanim zaparkował porządnie samochód, pomyślał, że samolot jest już pewnie nad Pirenejami. Spojrzał na bilet i stwierdził, że nadeszła pora odprawy. Stracił kolejnych dwadzieścia minut, bo nie wiedział, że trzeba najpierw zdobyć kartę pokładową. Pocił się, bo garnitur był wypchany banknotami, i pocił się, bo wszystko tu było dla niego nowe; zastanawiał się zdziwiony, jakim cudem jeszcze nie dostał zawału.

– Bardzo mi przykro, proszę pana, ale odprawa już jest zakończona.

– Ale ja przecież...

Nie wdał się w dyskusję ze stewardesą Swissaira, bo miał wrażenie, że jakakolwiek dyskusja, która mogłaby zwrócić na niego uwagę, była bardzo niebezpieczna. Z kartą pokładową w dłoni czuł się jak kupa nieszczęścia. Zostawił ją na ladzie, jakby parzyła go w ręce, i zawrócił na pięcie, by ta kobieta nie przyglądała się zbyt długo jego fizjonomii współnika zabójcy dziewczynek. Żeby było jasne: ja jej nie zabiłem, ja tylko prowadziłem samochód.

Kiedy pił piwo, za które zapłacił stupezetowym banknotem wyciągniętym dosłownie z rękawa, zorientował się, że na lotnisku wydarzyła się jakaś poważna draka. A on jeszcze nie wymyślił żadnego planu awaryjnego.

Pięć dni później Rosa pytała co? Nie bardzo rozumiem, o co chodzi.

– O to, że pani mąż jest na liście pasażerów samolotu.

– To zrozumiałam, ale o jakim samolocie mówimy?

– O tym, który wpadł do morza pięć dni temu.

– Mój mąż nie wsiadł do żadnego... – Milczy. Stoi w korytarzu i patrzy na

tapetę na ścianie, trzymając mocno słuchawkę, jakby się bała, że wymknie się jej z rąk. – Skąd państwo wiedzą?

– Jego nazwisko figuruje na liście pasażerów.

– Ale przecież...

– Słucham.

– Nie, nic takiego, proszę mówić dalej.

– Nie zauważyła pani jego nieobecności? – Rosa nie dostrzegła ironii w głosie.

– Bardzo często jest poza domem, z powodu pracy.

Nie wtajemniczała głosu w słuchawce w szczegóły, że coraz częściej znikał gdzieś bez uprzedzenia i wracał zamieniony w kłębek nerwów, nie mając ochoty otwierać gęby.

Po wysłuchaniu zdawkowych odpowiedzi na całą serię pytań głos zaproponował jej termin spotkania w biurze towarzystwa lotniczego i odłożył słuchawkę. Carles wsiadł do samolotu nie wiem dokąd i nic mi o tym nie powiedział. Dlatego nie wracał, bo jadły go ryby. Carles i te jego tajemnice. Carles, który mówił praca mnie zabija, a ja nie pytałam, jaka to praca, Carles, dlaczego cię zabija, bo już od dawna nie całowali się i nie miała okazji spojrzeć mu w oczy. Co miał zamiar robić w tym Zurychu? Dlaczego w ostatnich miesiącach zachowywał się bardziej histerycznie niż zwykle?

W biurze powtórzyli jej to samo, twarzą w twarz, kiedy już się przedstawiła, i że bardzo im przykro, składają jej kondolencje i towarzystwo zobowiązuje się do wypłaty odszkodowania za wypadek, tak, i widzę, że jest pani jedyną beneficjentką. A ona milczała, bo w gruncie rzeczy była przekonana, że jak wróci do domu i postawi jedzenie na stole, wejdzie Carles z niezadowoloną miną, że o nim nie pomyślałam, i znów będzie takie samo piekło jak kiedyś. Jestem już tym tak zmęczona, że w sumie ani się cieszę, ani martwię.

Po paru dniach spoglądania na ulicę przez okno, nie myśląc o niczym albo myśląc jakie miałam dziwne życie, Rosa wstała, zakasała rękawy i przystąpiła do systematycznego przeglądania rzeczy Carlesa; natychmiast odniosła wrażenie, że szpera w rzeczach nieznanego. Papiery, notatki trudne do odszyfrowania, jej sfatygowana fotografia sprzed kilku lat, zaraz po ślubie, w sukience w niebieskie kropki, która w czerni i bieli wyglądała jeszcze

smutniej niż w rzeczywistości, nic. Wszystko takie banalne, pozbawione życia. Tak jakby życie Carlesa nie toczyło się w domu. I ubranie, skarpetki: rozwijała je jedna po drugiej, bo szukała... No właśnie! Klucza.

Chociaż on nie wiedział, że ona wie, wiedziała, że ma maleńką kanciapę, gdzie przechowuje papiery, których nie chciał trzymać w domu. To było wtedy, kiedy zaczął pracować na własny rachunek jako przedstawiciel różnych przedsiębiorstw i powiedział słuchaj, Rosa (z dumą), począwszy od teraz będę pracował w ciągłym ruchu, wyjeżdżał i wracał, podróżował. I nigdy ci nie zabraknie pieniędzy do końca miesiąca: sobie zostawię tylko tyle, ile trzeba na pokrycie kosztów. Zaufaj mi.

W tym czasie Rosa jeszcze miała do niego ograniczone zaufanie, więc zaufała, choć nie do końca, i faktycznie nigdy nie zabrakło pieniędzy na prowadzenie domu, a jeszcze mogła zaoszczędzić, żeby sobie coś kupić. Nie wiedziała tylko, czy to, co on zostawia dla siebie, to pieniądze na pokrycie kosztów czy co. Nigdy się nie dowiedziała, ile zarabia Carles. I nigdy nie odważyła się o to zapytać. I tak powoli, z miesiąca na miesiąc, odsuwali się od siebie, aż pewnego dnia, nie mówiąc jej ani słowa, rozbił się w odległości trzech mil morskich od Barcelony w samolocie, który zmierzał do Zurychu.

Klucz: przez cały dzień przeszukiwała maleńką kanciapę, do której teraz weszła po raz pierwszy. I chociaż nie wszystko rozumiała, zorientowała się, że wpakował się w jakieś afery z niewypłacalnością, wezwaniami na policję, zagrożeniem zajęcia majątku i... Carles, kim ty właściwie jesteś? Ale nie znalazła ani śladu jakiejś ewentualnej kochanki. Tylko jedno słowo, xirgu, pojawiała się od czasu do czasu ze znakiem zapytania, z wykrzyknikiem albo bez niczego. Xirgu?, xirgu!, xirgu. Co znaczy xirgu, Carles?

Powierzyła sprawy adwokatowi, żeby wszystko wyczyścił, nawet kosztem uszczuplenia kwoty odszkodowania. I poszła do pracy.

Rosa nie mogła pogrzebać męża, bo okazało się niemożliwością wydobyć samolotu z głębin. Ani nie mogła wyprawić mu nabożeństwa żałobnego jak Bóg przykazał, bo nie miała rodziny, z którą mogłaby się podzielić tą złą wiadomością. Ani nie opłakiwała śmierci Carlesa, ponieważ nie miała łez, żeby płakać po śmierci męża, który prowadził podwójne życie i zmarł w sposób zdradziecki. I pomyślała oby nie przyszło ci do głowy wrócić z morskiej głębi, bobym cię wyrzuciła z domu na zbity pysk; zmarli ze zmarłymi i jedyne, czego

mogą oczekiwać, to wspomnienie. A za tobą, Carles, nie tęsknię, bo mnie zraniłeś i napełniłeś moje życie goryczą do tego stopnia, że nawet nie chciało mi się po tobie płakać.

Aż pewnego dnia, w drugą rocznicę wypadku, w domu pojawił się niewysoki, chudy, nerwowy mężczyzna o czarnych, gęstych włosach, który się przedstawił jako Apel.les Xirgu, wspólnik Carlesa. Usiadł w fotelu, gdzie ona spędzała godziny na rozmyślaniu, i powiedział zbadałem sprawę i...

– Xirgu?

– Tak. Apel.les Xirgu.

– Xirgu... – powtórzyła, jakby wracała z daleka.

– Tak jak mówiłem, zbadałem sprawę i...

– Jaką sprawę?

– Śmierci pani męża.

– Ach. – Zmęczona, bardzo zmęczona. – Pilot nie miał licencji?

– Pani męża nie było wśród ofiar.

– Spenetrował pan głębinę, żeby to sprawdzić?

– Nie. Znaleźliśmy jego kartę pokładową.

Zmęczona spojrzała przez szybę na balkon.

– W czym byli panowie wspólnikami?

– W różnych sprawach. Nie mówił pani o mnie?

– Nie.

Widać, że Xirgu to było nazwisko. Jak tej aktorki, no jasne.

– Nie chce pani wiedzieć, gdzie się ukrywa?

– Dlaczego miałby się ukrywać, skoro jest martwy?

Xirgu, zdenerwowany, przygładził włosy i nic nie odpowiedział. Ona zareagowała.

– Dlaczego nie idzie pan z tym na policję?

– Mam swoje powody. Gdzie się ukrywa? Jak przekazuje pani pieniądze?

– Jakie pieniądze?

– Proszę uważać, bo jeśli nie zechce pani współpracować... może się to dla pani źle skończyć.

Rosa wstała energicznie i podeszła do drzwi wejściowych. Była tak zmęczona, że nie miała siły się bać. Xirgu, skonsternowany, powoli szedł za nią. Kiedy się zrównali, powiedziała mu prosto w twarz, że martwi nie przekazują pieniędzy wdowom, a groźby może sobie wsadzić w tyłek, po czym otworzyła drzwi, żeby ten człowiek zniknął na zawsze z jej życia. Xirgu wyszedł z podwiniętym ogonem. Ale zostawił po sobie w życiu Rosy myśl, że być może Carles... że tak, że... Niewiarygodne. I mijały lata, wiele lat. W końcu nikt już nie pamiętał o rocznicy katastrofy, bo później wydarzyły się inne, bo upłynęło dużo wody w rzekach, bo już lata temu przeszli do nowego tysiąclecia, ponieważ wspomnienia nie trwają wiecznie i ponieważ przychodzi taki moment, że jeśli nie ma miłości, wspomnianie mężczyzny i pamięć o zmarłych staje się zbędnym balastem. Jeśli ponadto nie jesteś całkiem pewien, czy są martwi, są gorsi niż kamień w bucie.

Szczęście, że kierownik budowy znał jego kuzyna; więcej: szczęście, że był kochankiem jego kuzyna, dlatego nie mógł mu odmówić. Powiedział, że ekipa wejdzie na plac budowy nie wcześniej niż w poniedziałek, więc masz do dyspozycji całe sobotnie popołudnie, ale wydaje mi się, że to głupi pomysł.

– Tak. I mam zamiar zaprosić trzech czy czterech szkolnych kolegów.

– Jak sobie chcesz, stary. Narzędzia musicie przynieść własne.

– Nie ma sprawy.

– I nie nabałagańcie tu za bardzo; chociaż to pusty plac, nie chcę mieć problemów, kiedy wjedzie tu ciężki sprzęt.

Wieczorem bardzo się zdziwił – żadna z osób, do których dzwonił, nie powiedziała mu stary, odbiło ci, tylko i owszem, skarb, jasne, że pamiętam. A właśnie, możesz mi powiedzieć, co myśmy tam ukryli?

– Zeszyt.

– I jakieś ciuchy, nie pamiętam czyje. Jednej z nauczycielek.

– Panny Gràcia.

– Właśnie. Jej słynny szal.

– Racja.

– Wiem, że włożyliśmy wszystko do metalowego pudełka. Po herbatnikach.

– Nie: po czekoladkach.

– Wszystko jedno.

– Nie, to była plastikowa torba.

– Skądże, coś ci się ubzdurało! Pudełko.

Pięcioro byłych uczniów podstawówki, zaopatrzonych w szpadle i kilofy, stawiło się w zniszczonym ogrodzie, który przez tysiąc lat był wewnętrznym dziedzińcem szkoły, i ze smutkiem spoglądało na budynek, w którym spędzili sześć szczęśliwych lat dzieciństwa, od szóstego do dwunastego roku.

– Nie, do trzynastego: ja tu chodziłam aż do trzynastu.

- Bo ty zawsze byłaś najstarsza.
- I nadal jestem.
- Tak, babciu.
- Jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie babcią, przywalę ci kilofem w głowę.
- Przecież nie masz siły go podnieść, babciu, babuleńko.
- A ty masz niewyparzoną gębę, Pitus. Wykorzystujesz moją dobroć.
- Że też oni zawsze muszą się kłócić.
- Nie – zaprotestował Pitus – to ja zawsze się kłóciłem z tą, jak jej tam, z Bayliną.
- Z Laurą?
- No właśnie.
- Cholera, Laura... – Zamyśłone, nostalgiczne spojrzenie prawie łysego faceta.
- Nie zawiadomiliście jej?
- Mieszka w Uppsali.
- O cholera. I co tam robi?
- A skąd mam wiedzieć? Żyje sobie.
- Zaraz, zaraz... Może byśmy się wzięli do roboty... – Pitus zastanawiał się i rozglądał wokół. – Mnie się wydaje, że zakopaliśmy skarb pod dębem.
- To buk.
- Wszystko jedno. Pod drzewem. Mniej więcej tutaj. Nie wydaje się wam?
- Czy nie zrobiliśmy mapy z jego lokalizacją?
- Tak. Ale nie wiem, gdzie się zawieruszyła.
- Mnie się wydaje, że to było obok budynku. Z tamtej strony.
- Wszystko wam się popieprzyło! Ani tu, ani tam: przy cyprysowym żywopłocie.
- To tuje.
- Cholera, stary. Tuje?
- Tuje.
- No więc tam, przy tujach. Przy dębem mieliby nas na widoku.
- Przy buku.

- Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że pamiętacie.
 - Minęło wiele lat, Pitus. Ty też nie pamiętasz.
 - Pamiętam: według mnie zakopaliśmy tu, pod dębem.
 - Pod bukiem.
 - Pamiętacie Canivella, jak zawsze wspinał się na drzewo?
 - Baron herbowy.
 - Co takiego?
 - Nie, nic.
 - Cholera! Co się z nim teraz dzieje, z Canivellem?
 - Nie mam pojęcia.
 - No i co? Przyszliśmy tu na pogawędkę czy zabieramy się do pracy?
 - Tak, ale gdzie kopujemy?
 - Zrobmy jak archeolodzy: cztery–pięć próbek.
 - To dużo pracy.
 - Co to znaczy: próbki?
 - Że spróbujemy tu i tam. Najpierw pokopujemy przy dębie, później przy cyprysach.
 - Przy buku i przy tujach.
 - Na tym polegają próbki?
 - Nie wiem, teraz to wymyśliłem, ale nieźle brzmi.
 - Cwaniaczek.
 - A wy wszyscy to kupiliście. No już, do pracy!
 - Wiecie, że jestem wzruszony? Do szkoły nie zaglądałem z tysiąc lat.
 - Jesteśmy w takim wieku, że wszystko było dawno temu.
 - Masz rację. Czuję coś jakby wzruszenie.
 - Ja też.
 - Tak nam było wtedy dobrze...
 - Byliśmy szczęśliwi.
 - A z czasem wszystko pokrywa się rdzą.
- Pitus przyglądał się kolegom, trzymając kilof przerzucony przez ramię.

Staął przed nimi i zapytał no to co, łysole, wolicie seans nostalgii po utraconym rajy czy chcecie odnaleźć skarb?

- Nie jestem łysa.
- Masz perukę, babciu.
- Ale byliśmy szczęśliwi, tak czy nie?
- Tak. Bardzo. Nawet za bardzo.
- Za bardzo?
- Potem dorastasz i wszystko inaczej wygląda. Rozwody i takie tam.
- Może byśmy wreszcie zabrali się do kopania, bo słońce już nisko.
- E tam.

Wzięli się do roboty. Babcia Carmina natychmiast zaczęła narzekać na bąble na rękach, a mężczyźni, którzy mieli takie same bąble, woleli się nie przyznawać. Babcia narzekała, kopiać z furją:

- Ani nie wiemy, gdzie mamy kopać, ani nie pamiętamy, co chcemy znaleźć.
- Ale wiemy, że chcemy szukać.
- Czysta poezja.
- Brawo.
- Nie będą mieli do ciebie pretensji, ci z budowy?
- Wszystko jest legalne. W poniedziałek wjeżdża koparka i jeśli go nie znajdziemy, zgarnie za jednym zamachem nasz skarb i nasze wspomnienia.
- Budynek chyba zostawią w spokoju, mam nadzieję.
- Wszystko będzie zrównane z ziemią. Budownictwo mieszkaniowe.
- Poważnie?!...

Długa cisza, pełna rajów i rajów utraconych.

- Cholera, co za skurwysyństwo – powiedział jeden z nich, wszystko jedno który.
- Przecież nie wróciłeś tu ani razu od czasu, kiedy poszedłeś do liceum.
- I tak uważam, że to skurwysyństwo.

Godzinę później, przy coraz słabszym świetle, po wykopaniu trzech czy czterech dziur obok buka i tui, niczego nie znaleźli. To znaczy owszem, w jednej z dziur przy tujach skrawek wypłowiałego materiału.

- Prawda, że włożyliśmy jakiś materiał do środka?
- Tak, ale szukamy blaszanego pudełka.
- Powinniśmy byli zachować mapę lokalizacji skarbu.
- Powinniśmy byli zrobić pięć kopii tej mapy.
- Powinniśmy byli narysować taką mapę. Z zabawnymi uwagami w stylu piętnaście kroków na wschód od dębu.
- Buku.
- Na wzgórkę płaski kamień... i bingo! krzyżyk, który oznacza dokładne miejsce ukrycia skarbu. Prawda, że to proste?
- Marni z nas piraci. I robi się ciemno.
- Możemy kontynuować jutro?
- Nie wiem jak ty, ale ja nie mogę. Kiedy powiedziałem, że idę szukać skarbu, żona mi zrobiła taką awanturę...
- Więc musisz wrócić do domu z co najmniej paroma złotymi dublonami, stary.
- Ej, popatrzcie!
- Czterej mężczyźni odwrócili się w stronę tui, gdzie babcia grzebała w ziemi czymś w rodzaju grabek.
- Ciekawe, czy coś tam znalazła!
- Myślisz, że...
- Złote dublony dla twojej żony... Jak ma na imię?
- Podchodzili bliżej, myśląc o pudełku po herbatnikach i o tym, co w końcu w nim schowali dwadzieścia lat temu.
- Trzydzieści.
- No i co?
- Babcia, na kolanach, odłożyła grabki i przez chusteczkę wyciągała na powierzchnię małe poczerńnięte kostki.
- Cholera, coś takiego! Jakieś zwierzę.
- Jakby była doświadczoną archeolożką, babcia oczyszczała delikatnie z ziemi kostki połączone ze sobą, coś takiego, razem tworzą...
- Cholera... Prawda, że to wygląda jak ręka?

– Za mała.

– Może to jest łapka małpki. Mieliśmy jakąś małpę w szkole?

– W tym świetle... Czy ktoś ma latarkę?

Nie. Nikt nie zabrał latarki. Po pięciu minutach żadne z nich nie myślało już o ukrytym skarbie, natomiast zastanawiali się, któremu to nostalgicznemu cymbałowi przyszło do głowy odkopywać trupy na szkolnym dziedzińcu.

Po kilkunastu dniach odezwał się dzwonek, raz za razem, jakby domagał się pilnej reakcji. Siwowłosa mężczyzna spojrzął na korytarz, zdziwiony; wydawało się, że w ten sposób usiłuje sprawdzić, kto dzwoni. Zerknął na zegarek. Już od lat nikt nie dzwonił do drzwi o dziesiątej rano, kiedy Míriam była w pracy, a on niecierpliwie obserwował, jak płynie czas, zdziwiony, że ciągle jeszcze żyje. Dziesiąta rano? Nie wybrzmiał jeszcze w jego uszach głos Míriam, on wyleguje się w łóżku, a ona mówi przygotowałam ci kawę z mlekiem, tato, słyszysz mnie?, a potem stuknięcie drzwi i szybkie kroki na schodach, zawsze w pośpiechu, ach, ci młodzi, a kiedy wszedł do kuchni na kawę z mlekiem, okazało się, że o niej zapomniała, nie pierwszy raz. Za dużo ma na głowie, biedna dziewczyna. Chce ogarnąć wszystko, a teraz znów dzwoni dzwonek. Zauważyłem, że jest zmartwiona, biedactwo, przypuszczam, że to z powodu pracy. Teraz dzwonek zadzwonił tylko raz, ale długo, niecierpliwie. Powłócząc nogami, długim korytarzem skierował się do drzwi. Jakieś głosy po tamtej stronie, na schodach. Męskie głosy. Westchnął, przekręcił zamek i zdjął łańcuch. Wreszcie otworzył. Dwaj poważni milczący mężczyźni.

– Nie, dziękuję, nie jestem zainteresowany – powiedział, usiłując zamknąć.

Ale jeden z mężczyzn położył rękę na drzwiach, żeby mu w tym przeszkodzić, i zapytał pan Parés?

– Tak.

– Policja.

– Aha.

– Wpuści nas pan?

Natychmiast pomyślał, że coś się stało Míriam. Zawsze może się zdarzyć coś niespodziewanego, jak w jego życiu. Nie zwrócił uwagi na identyfikatory, które mężczyźni zaprezentowali, wchodząc do mieszkania. Zamknął drzwi i zapytał

co się dzieje, starając się ukryć niepokój. Jeden z mężczyzn zamiast odpowiedzi pytającym gestem wskazał jedną i drugą stronę korytarza. Parés pokazał, którędy do salonu, powtórzył co się dzieje i poszedł przodem, powłócząc nogami i nie zwracając uwagi na grymas niesmaku obu mężczyzn, zaskoczonych, że to ciemne mieszkanie nie tylko jest zagracone, ale też niewietrzone.

– Czego chcecie? – zapytał, kiedy już wszyscy trzej usiedli. Lampa na suficie rzucała słabe światło. Żaluzje balkonowe były opuszczone i wnętrze rozpaczliwie dopominało się o odrobinę świeżego powietrza.

Jeden z policjantów spojrział przelotnie na kolegę i zapytał prawdę, że miał pan córkę, która miała na imię Míriam?

– Coś jej się przytrafiło, mojej Míriam? – Wstał, zaniepokojony. – Tak?

Obaj policjanci popatrzyli na siebie zdziwieni.

– Mówię o – szybkie spojrzenie do notesu, który jakimś cudem pojawił się w jego rękach – o Míriam Parés i Bigorra.

– Tak, oczywiście, to moja córka. Coś jej się stało?

– Co pan ma na myśli, pytając, czy coś jej się stało?

– Teraz jej nie ma w domu. Jest w pracy.

Porozumiewawcze spojrzenia obu policjantów.

– W pracy?

– Tak.

– Gdzie pracuje?

– Jest dekoratorką. Na szczęście ma wiele zamówień.

– Ile ma lat?

– Dlaczego pan o to pyta?

– Ile lat ma Míriam? – odezwał się ten policjant, który dotychczas milczał.

– Więc... – Spojrział na sufit, żeby się skoncentrować, a potem, cichym głosem, jakby to była litania, wyrecytował trzydzieści osiem lat i dwa miesiące. A następnie, patrząc im prosto w oczy, usiadł i odezwał się zdecydowanym tonem czemu mnie panowie o to pytają?

– Ponieważ... Míriam Parés, pańska córka, została oficjalnie uznana za zmarłą dwadzieścia pięć lat temu.

– Proszę natychmiast opuścić mój dom.

Nie poruszyli się. Wstał.

– Natychmiast! – krzyknął.

Żadnej reakcji. Jeden z policjantów powiedział pańska córka zaginęła trzydzieści lat temu. – Sprawdził w notesie. – Dziewiątego lutego siedemdziesiątego siódmego.

Parés, jakby zeszło z niego powietrze, usiadł ponownie.

– I nie znaleziono żadnego śladu – upierał się policjant.

Cisza.

– Pańska córka miała osiem lat.

– Osem lat i pięć miesięcy – poprawił Parés.

– Zgadza się. I pięć miesięcy.

– Teraz w związku z pracą od kilku lat mieszka w Londynie.

– Kto?

– Míriam.

– Aha.

– Ale wróci do domu.

– Tak. – Po chwili wahania jeden z policjantów zapytał: – O której kończy pracę?

– Nie wiem. Wróci, kiedy będzie mogła. Jest bardzo zajęta. Ponadto policja nie znalazła zabójców. – Krzyknął: – Ani jej matka, ani ja nie wiemy, czy jest martwa!

– Pańska żona...

– Zmarła ze zgryzoty, nie wytrzymała. Z powodu nieskuteczności policji. Powinienem was wszystkich pozwać. Wszystkich!

– Jesteśmy poinformowani o sytuacji, owszem.

– Chcę znaleźć zabójców.

– Jasne. Może się tak zdarzyć, że... Chcę powiedzieć, że teraz odnaleźliśmy kości i... może tak być, że... Musiałby się pan zgodzić na wykonanie badań, żeby sprawdzić, czy to pańska córka.

– Kiedy wróci na kolację, proszę ją zapytać.

– Co takiego?

Cisza, jeszcze gęstsza niż duszne powietrze w mieszkaniu.

– Nie chciałby pan, żebyśmy znaleźli tych, którzy ją zabili?

– Niczego więcej w życiu nie pragnę. – Zamilkł zamyślony, a tamci uszanowali jego milczenie. Podniósł wzrok. – Dzięki temu biedna Míriam przestanie się tak trapić.

W tym samym miejscu kilka tygodni później Rosa przeczekiwała milczenie, nie tracąc cierpliwości. Teraz, kiedy była w salonie tego człowieka, mogła go spokojnie obserwować. Chyba byli w tym samym wieku, ale on bardzo się postarzał. Może to przez siwe włosy. Gęste, ale w smutnym, wyblakłym kolorze. Pasowały do salonu, porządnego mimo oznak zaniedbania; on czekał, aż wróci martwa dziewczynka, natomiast ona oczekiwała, że jej zmarły mąż nie powróci nigdy więcej. Nie ponagliła mężczyzny, który sprawiał wrażenie, jakby wracał po bardzo długiej nieobecności. W końcu zdecydował się zadać pytanie:

– Z czego wyciągnęła pani ten wniosek?

– Miałam wiele lat na przemyślenie tego w samotności. Analizując przykłady niemoralnego postępowania mojego męża.

– Ale to za mało.

– Mój mąż zniknął w czasie, kiedy porwano pańską córkę.

– Míriam. Osiem lat.

– O mój Boże.

– Jej matka zmarła ze zgryzoty.

Znów zapadła długa cisza, aż mężczyzna spojrział na nią, jakby zdziwiła go jej obecność, i zapytał ale dlaczego pani...

– Mój mąż został uznany za martwego, chociaż wcale nie jestem tego pewna.

– Byliśmy zbyt naiwni: uwierzyliśmy temu głosowi, który straszył, że nas obserwują i jeżeli piśniemy choćby słowo policji, zabiją dziewczynkę. Żona nalegała prosić, dajmy im pieniądze i niech nam ją oddadzą. Proszę. Mówiła to z takim bólem, że się zgodziłem. Te pieniądze miały nam przynieść szczęście, a przyniosły ból.

Milczenie. Mężczyzna był gdzieś daleko, zatopiony we wspomnieniach, wreszcie powiedział wygraliśmy główny los na loterii, dzięki czemu staliśmy się milionerami i już myśleliśmy, że życie to rozrywka. Ale mordercy byli dobrze poinformowani i dlatego zwrócili uwagę na Míriam, nie na inną dziewczynkę. Przekłęta wygrana. Zażądali od nas całej kwoty. Zostawiliśmy pieniądze w Pedralbes, na pustej uliczce, gdzie jeśli by była policja, porywacze natychmiast by to zauważyli i zabili naszą Míriam. A kiedy już przekazaliśmy pieniądze, czekaliśmy na dalsze instrukcje, które mieli nam podać za godzinę. Nadal na nie czekam.

– I musiało upłynąć trzydzieści lat, zanim ją pan odzyskał?

– Odzyskał? Tylko kości i kosmyk włosów.

– Przepraszam, panie Parés; nie chcę pogłębiać pańskiego cierpienia...

– To było straszne. Adela zwariowała z bólu. Policja pytała, czemu nie poinformowaliśmy ich wcześniej, a ja waliłem głową w mur. Po tygodniu powiedzieli, że jeżeli do tej pory się nie pojawiła, to zły znak. Żona pyta, co znaczy zły znak, co znaczy zły znak! I się rozchorowała, i kiedy uznali, że najprawdopodobniej dziewczynka jest martwa, moja biedna Adela traciła siły z dnia na dzień, jakby chciała umrzeć, rozumie pani? To było straszne! Ja od tej pory wariuję, przeżywam w samotności mój błąd, że nie zawiadomiłem policji, i żyję tu z Míriam, która ma już trzydzieści osiem lat i trzy miesiące.

– Słucham?

– A pani czego właściwie chce?

Oboje milczeli, siedzieli nieruchomo, starając się nie patrzeć sobie w oczy. Aż ponowił pytanie:

– Po co pani przyszła?

Milczenie. Każdy z nich myślał o swoim cierpieniu. Wreszcie się odezwała.

– Nie mogę tego udowodnić, ale jestem przekonana, że to był mój mąż. Mogłam przeczytać notatki, coś w rodzaju scenariusza, ze schematami i szkicami planu porwania. Przy ulicy Albinyana, prawda?

Parés pochylił głowę. Ona mówiła dalej:

– Nie chcę składać na niego donosu, może faktycznie nie żyje. Ale... mam nazwisko jego kumpla, no, właściwie współnika, który... Jeśli pan chce, podam panu to nazwisko. Jeśli dotrze pan do mojego męża... prawdę mówiąc, nie

wydaje mi się niesłuszne, żeby poniósł karę. Chce pan to zrobić?

– Niczego bardziej nie pragnę w życiu, jak tylko dorwać winnych.

Rosa wyciągnęła złożoną kartkę z torebki i położyła na stole.

– To tylko nazwisko – uprzedziła – trudno będzie przyporządkować do niego twarz. Przyszedł straszyć mnie wiele lat temu. Jeśli to nie oni...

Milczenie. Mężczyzna z trudem się pohamował, żeby nie rzucić się od razu na papier. Korzystając z chwili ciszy, Rosa wstała z krzesła gotowa do wyjścia i powiedziała niezależnie od tego, kim są zabójcy, mogę pana prosić, żeby mi pan wybaczył?

Spędził cały rok, bijąc się z myślami, czy dostarczyć nazwisko Apellea Xirgu policji. Zlecił dwóm detektywom, nie wyjawiając im swoich powodów, odnalezienie tego Xirgu. Miał ochotę osobiście uleczyć ból swojej córki i żony, więc nie uległ pokusie i zdecydował, że sam wyruszy na polowanie, narzucając sobie dyscyplinę, którą po tylu latach zaniedbania ciężko było zaakceptować. Parę miesięcy gimnastyki, żeby wrócić do formy fizycznej, teraz kiedy miał już w życiu cel. I wyciągnął z dna szafy pistolet, Crvena Zastava, z 1966 roku, zawinięty w brudną ścierkę, który kupił wiele lat temu, kiedy myślał, że policja wykona za niego robotę, a on tylko dokończy podczas rozprawy; co tydzień oliwił go starannie, niemal uroczyście, tak jak go pouczono przy zakupie. Udało mu się niepostrzeżenie zbliżyć do Xirgu na tyle, że ten kryminalista prawie czuł jego oddech na karku. Wybrał dzień, który uznał za najkorzystniejszy, i polecił opiece bogów swoją zemstę, nie wiedząc, że doskonałe plany zawsze z jakiegoś powodu zawodzą, a szczęście jest po stronie planów improwizowanych. Kiedy zobaczył, że samochód jest już blisko, nie do pomylenia, wcisnął przycisk dla przechodniów na tym pustym o tej porze skrzyżowaniu ulicy Arrabassada, jakby specjalnie przystosowanym do zamachów takich jak ten. Zbliżył się do samochodu z nadzieją, że w ciemności będzie trudno się zorientować, że ten funkcjonariusz jest za stary na służbę czynną, i rzeczywiście kierowca opuścił szybę ze swojej strony.

– Kluczyki.

– Słucham, panie władzo?

Policjant celował w kierowcę z taką determinacją, że ten wyciągnął kluczyki, a funkcjonariusz mu je wyrwał.

– Zabiję cię, jeśli się poruszysz.

– Co to ma znaczyć, panie władzo? – odezwał się J.G. z tylnego siedzenia, niezorientowany w sytuacji, ale niezadowolony z opóźnienia.

Funkcjonariusz spojrział i wystrzelił w jego kierunku, a kiedy usłyszał krzyki

towarzyszącej mu kobiety, także i do niej strzelił. Wtedy dokończył przerwane zadanie: – Tylko informacja, gdzie się teraz podziewa Carles Santiga, może cię uratować, bo wiem, że go wyśledziłeś.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Odwrócił się na siedzeniu i spojrzał, co się dzieje z tyłu: – Na litość boską, co ty wyprawiasz? – zawołał przerażony.

– Który z was ją zabił?

– Co? O czym ty mówisz?

– Masz dziesięć sekund. Który z was ją zabił?

Cisza. Kierowca pobladł i zaczął się pocić.

– Carles. To był wypadek.

– Aha, wypadek. Gdzie teraz mieszka ten Carles?

– Na Martynice.

– Dlaczego nie domagałeś się od niego pieniędzy, skoro wiesz, gdzie mieszka?

– Mieszka w Le Vauclin.

– Bardzo dobrze. Czemu nie domagałeś się od niego pieniędzy?

– I ty też?...

– Skurwysyn. – Wycelował lufę w jego oko.

– Nie, nie, przepraszam. Wiem o tym od niedawna. Już nie chcę pieniędzy. Chcę o wszystkim zapomnieć.

– Ty skurwysynu, chciałbyś o wszystkim zapomnieć. Tylko ja nie mogę o niczym zapomnieć.

– Przepraszam. Ja się zmieniłem, nie jestem taki jak dawniej; przepraszam... A ty kim jesteś?

W odpowiedzi funkcjonariusz za stary na czynną służbę wystrzelił mu prosto w oko. A później, po paru sekundach namysłu, opróżnił cały magazynek na trupy na tylnym siedzeniu: potrzebował jeszcze paru dni na wolności, żeby jechać na Martynikę, więc trzeba było zająć czymś policję. Wyrzucił kluczyki samochodu na pobocze, a że usłyszał gdzieś niedaleko szczekanie psa, zniknął w ciemności, nie odwracając się za siebie. Już się zabrałem do dzieła, Míriam i Adelo. Nie martwcie się, niebawem będzie po wszystkim.

Nie napotkał żadnych przeszkód przy wyjeździe za granicę, bo nikt w żaden sposób nie mógł go powiązać z magnatem J.G. Jeszcze badano pod lupą przeszłość tamtego, żeby znaleźć powody ewentualnej zemsty. Również przeszłość Niny, i nie szukali dalej, w każdym razie, z tego, co wiedział, niczego nie znaleźli. A przede wszystkim dlatego, że nikogo absolutnie nie interesowało, jak sobie organizował swoją samotność od tylu lat ten trochę stuknięty mężczyzna. Przystąpił do działania bez pośpiechu. Ze względów bezpieczeństwa podróżował nieuzbrojony i zmusił się do wiary, że Bóg, w którego już nie wierzył, dostarczy mu rozwiązanie, tak jak dostarczył Abrahamowi na górze Moria. Martynika jest niewielka. A Le Vauclin jeszcze mniejsze.

W dniu, kiedy go zlokalizował, nazajutrz po przyjeździe, śledził go przez parę godzin, podczas gdy tamten robił zakupy, a potem wrócił do skromnego domku blisko plaży. Kiedy mężczyzna zabrał się do gotowania obiadu, wszedł kulturalnie do domu i zapytał monsieur Charles Santino?

– Oui?

– Prawda, że nazywa się pan Carles Santiga?

– Słucham?

– Przychodzę w imieniu dziewczynki i jej matki, i pańskiej żony. I pańskiego zasranego współnika. I tych biedaków, którzy jechali samochodem i niczemu nie byli winni.

Nie dając mu czasu na reakcję, wbił w Carlesa bardzo ostry nóż, zakupiony w Belle Lune zaraz po przyjeździe. I gdyby to jeszcze nie było jasne, dodał i w moim imieniu.

Wtedy usiadł śmiertelnie zmęczony, jakby w jego ciele skumulowało się zmęczenie całego życia, w domku na końcu świata, gdzie nieznamy mężczyzna leżał w agonii u jego stóp. Chciał się uśmiechnąć, ale wyszedł mu tylko grymas; tyle czasu minęło od jego uśmiechów, że już zapomniał, jak się to robi. Ofiara przestała się ruszać, a on przymknął oczy, spokojny, nastawiając się na dowolnie długie czekanie, aż ktoś go arestuje. Wiedział, że cokolwiek by się stało, to będzie pierwsza przespana noc w jego życiu, od wielu lat. Míriam, Adelo, śpijcie spokojnie, zadanie wykonane.

Po paru godzinach czuwania nad trupem, kiedy zaczął odczuwać głód, był już

wieczór, a zmarły leżał w tym samym miejscu, wykrwawiony. Nikt nie przyjdzie, żeby go aresztować, i ten oczywisty wniosek sprawił mu przykrość. Wtedy pozwolił sobie na refleksję na temat tych osób, które poszatkował kulami w samochodzie prowadzonym przez Xirgu, które zamieniły jego zaimprovizowany plan w jatkę. Próbował wzbudzić w sobie uczucie żalu, ale po tylu latach dźwigania wielkiego ciężaru stał się nieczuły na inne nieszczęścia i również nie potrafił płakać.

EPILOG (CIAĞ DALSZY)

Przypadkiem przyszło mu do głowy zapytać, co znaczył ten dyskretny punkcik przy tytułach niektórych, nielicznych, obrazów. Blondynka, królująca za ladą w recepcji, gdzie sprzedawała katalogi, przyglądała mu się uważnie przez parę obraźliwych sekund, jakby musiała oszacować, co można powiedzieć zabójcy J.G., aż zdecydowała się otworzyć usta i wyjaśniła, że to obrazy przeznaczone na sprzedaż.

– Na sprzedaż?

– Tak.

– Voltes-Epstein, Rusiñol, Millet, ten mały Munch i...?

– Dobrze pan zapamiętał. Czyżby był pan zainteresowany?

– To zależy od ceny. A dlaczego są na sprzedaż?

– Nie jestem upoważniona do udzielania tego rodzaju informacji.

Tak naprawdę nie miała pojęcia o przyczynach sprzedaży, ale formułując odpowiedź w ten sposób, czuła się ważniejsza, niezastąpiona, z większym poczuciem własnej godności.

– Zgoda. Ale ja być może będę zainteresowany kupnem.

– Będzie publiczna aukcja.

Nie wiedział, czy w ten sposób za bardzo się nie demaskuje, nie wiedział, czy nie igra z ogniem; intuicyjnie wyczuwał, że powinien ponieść to ryzyko jako hołd dla mężczyzny i kobiety, których nie chciał zabijać. Z pewnością był to tylko pusty gest, ale domagało się go jego sumienie. Zresztą czym było jego życie przez ostatnie trzydzieści cztery lata, jeśli nie nagromadzeniem pustych gestów i jałowych łez?

– Czy mogę prosić o dowód osobisty?

Nie bądź głupi i uciekaj.

Ale sięgnął po portfel, wyciągnął dowód i położył go na ladzie. Kobieta, która nie była upoważniona do udzielania pewnego rodzaju informacji,

zanotowała starannie nazwisko, adres i numer identyfikacyjny, a oddając dokument, powiedziała już pana namierzyliśmy, panie Parés: może pan pakować manatki i udać się do więzienia.

– Już pana zapisałam, panie Parés. Tu ma pan listę cen wyjściowych. – I podsunęła mu zafoliowaną kartkę.

Chciał ją zabrać, ale pani, która nie była upoważniona do udzielania pewnego rodzaju informacji, powiedziała nie jestem upoważniona udzielać zgody na wynoszenie tego dokumentu na zewnątrz. Jasne?

– Coś takiego...

– Proszę sobie zanotować. To jest dozwolone.

I podczas gdy mężczyzna z bujną siwą czupryną przepisywał listę, ona, starając się zrobić wrażenie sympatycznej, zapytała jest pan zainteresowany jakimś konkretnym obrazem, panie Parés?

Popatrzył na nią przez sekundę i nadal pisząc, mruknął nie jestem upoważniony do udzielania tego rodzaju informacji.

Po upływie trzech miesięcy, kiedy już tragarze opuścili mieszkanie, otworzył okna, podniósł żaluzje i biorąc głęboki wdech, zasiadł przed *La paysanne* (1854), obrazem namalowanym przez Jeana-François Milleta (1814–1875). Płótno średniej wielkości, na którym postać, niemal odwrócona tyłem do obserwatora, idzie w stronę słońca wschodzącego gdzieś w oddali, w odcieniach żółci, nadających całości głębię. Jak go poinformowano w Fundacji, obraz pochodził z epoki *La Fournée*, ale był mniej znany; tak jak na *La paysanne*, na tamtym również widać było kobietę odwróconą tyłem, ale w tamtym przypadku wkładającą lub wyciągającą okrągły bochenek chleba z pieca. Problem w tym... problem w tym, że ten obraz się zmienił. Niemożliwe, żeby mu go zamienili, bo w drodze z Fundacji do domu nie rozstawał się z nim ani na chwilę i nic się wtedy nie wydarzyło. Ale kiedy został sam i płótno zawisło na ścianie... Obok wieśniaczki pojawiły się jakieś plamki, których wcześniej na pewno tam nie było. Wstał, podszedł tak blisko, że prawie dotykał płótna, i powąchał: zapach starej, zaschniętej farby. Zapach czasu, dziesięcioleci. A obok wieśniaczki niepojęte plamki. Czy to możliwe, że plamki się poruszyły w sposób niedostrzegalny? Parés nie dał się zaskoczyć tym dziwnym wrażeniem. Już od dawna, od kiedy zniszczono mu życie, nie próbował niczego zrozumieć. Nie

przyszło mu do głowy reklamować obrazu i domagać się zwrotu pieniędzy, ani protestować, ani...

– Nie wiesz, gdzie jest lupa?

Cisza; stojąc nieruchomo, obserwował postać mężczyzny, która wylaniała się obok wieśniaczki. Nie przejął się zjawą, jakby to była rzecz najzwyczajniejsza na świecie. Kiedy minęła minuta, rozejrzał się wokół, jakby się ocknął:

– Míriam? Wiesz, gdzie jest lupa? Co, córeczko?

– Jaka lupa? – głos kobiety.

– Ta, której używała twoja matka do...

Zamilkł i odwrócił się. W pokoju nie było nikogo. Wyjrzał na korytarz.

– Míriam?

Wrócił do salonu. Na gzymsie nad kominkiem leżała lupa.

– Dziękuję, córeczko – powiedział odruchowo. Wziął lupę i dokładnie obejrzał wieśniaczkę, która odwrócona tyłem, oddalała się w stronę znikającego punktu, w stronę wschodzącego słońca; obok niej dostrzegł plamki. Podszedł jeszcze bliżej, jakby nie mógł powstrzymać gwałtownego, niepojętego pragnienia, żeby wyruszyć w stronę wschodzącego słońca w towarzystwie wieśniaczki.

– O cholera – powiedział. Podszedł jeszcze bliżej, do tej jasności, która go przyciągała jak wielka obietnica, wdychając zapach zaschniętej farby i kurzu. Kątem oka spojrzął na wieśniaczkę, ale zobaczył nie ją, lecz nieznanego mężczyznę, z czymś w rodzaju brudnej ścierki na głowie, co mu nadawało wygląd prawie orientalny. Z kieszeni koszuli wystawały mu jakieś zmięte, zabazgrane papiery. Obok tego niezwykłego mężczyzny wieśniaczka: po raz pierwszy od wielu lat Parés zachwycił się twarzą kobiety. Ale rozproszył jego uwagę gest mężczyzny: brudną chusteczką ścierał pot z czoła, nie zdejmując turbanu, jakby mu przyrósł do głowy.

– Nareszcie! – zawołał nieznajomy. – Mam już powyżej uszu wschodzącego słońca, Wzgórza Osłów i całej reszty!

– Kim pan jest? – zapytał Parés.

– A pan?

Wieśniaczka zaczęła się śmiać. Kiedy usłyszeli jej dźwięczny głos, obaj

spojrzeli na nią z zachwytem. Parés nagle poczuł zapach, jaki wydzielala mokra trawa i ziemia wilgotna od rosy. Spojrzał przed siebie w stronę wschodzącego słońca. Odwrócił się troszkę speszony; mężczyzna w brudnym turbanie zniknął, natomiast wieśniaczka nadal tam stała, uśmiechając się nieco ironicznie. Wyglądała zdrowo, atrakcyjnie, radośnie. Parés głęboko wciągnął powietrze i napełnił płuca tą wonią, której nie czuł od lat, i spojrzął w przypływie nowej nadziei w stronę wschodzącego słońca.

W salonie Parésa na gzymsie nad kominkiem leżała lupa. Pod sufitem paliło się światło. Na obrazie wiszącym na ścianie pewien dobrze zbudowany, nerwowy mężczyzna z bardzo białymi, siwymi włosami, w ciemnym ubraniu, zanim się zamienił w bezładne plamki, szedł w towarzystwie wieśniaczki w stronę wschodzącego słońca, pełen nadziei na inny scenariusz swojego życia.

XI

REÇE MAUKA [\[3\]](#)

Szanowny Panie Heribercie Bauço!

Po sumiennym przejrzeniu tekstu, tak jak mi Pan zalecał, wysyłam go ponownie z nadzieją, że zostanie przyjęty. Gdyby się jednak zdarzyło, że pomimo zasadniczych poprawek nie zgodziłby się Pan opublikować rękopisu, uprzedzam, że popełnię samobójstwo.

Z wyrazami szacunku

Oleguer Santiga

Bauça gapił się w przestrzeń. Jeszcze raz rzucił okiem na list i odłożył go na plik kartek rękopisu. Nie zdawał sobie sprawy z ciszy panującej w gabinecie ani nie pamiętał o bardzo ważnych, pilnych sprawach sprzed dwudziestu minut, kiedy pił kawę i przeglądał z Ritą swój przeładowany plan dnia.

Patrzył w pustkę. Nagle wróciły do niego odgłosy ludzi, którzy pracowali za drzwiami. Znów sięgnął po list i ponownie go przeczytał. Oleguer Santiga, wyszeptał. Ogarnęła go nienawiść do tego idioty, który próbował zakłócić mu rytm życia pełnego stresów. Przypiął kartkę spinaczem do pierwszej strony rękopisu, tam, gdzie go znalazł, kiedy otworzył kopertę. Wyprostował się i sprawdził nazwisko. Sięgnął po telefon; wystukał trzy cyfry.

– Tak. Nie wiesz, czy kiedykolwiek mieliśmy do czynienia z pisarzem o nazwisku Santiga?

– ...

– Zaraz sprawdzę... – Wyprostował się na krześle i przeczytał z kartki: – Oleguer.

– ...

– No dobrze; w jakiegokolwiek roli. Jako autor, autor odrzuconego rękopisu, tragarz w magazynie albo redaktor czy recepcjonista, wszystko jedno.

– ...

– Bardzo dobrze. Potraktuj to priorytetowo.

Odłożył słuchawkę. Zaczął stukać palcami o blat biurka, żeby przyspieszyć

myślenie. W końcu podjął decyzję. Wziął stos kartek, z przypiętym listem, włożył do koperty i obejrzał ją z większą uwagą niż poprzednio, kiedy szybko ją otwierał; sprawdził, że faktycznie była zaadresowana na jego nazwisko. A nadawca to Santiga, bez adresu i telefonu. Włożył kopertę do swojej teczki, odstawił w kąt za szafą z segregatorami i wrócił do czytania tekstów na czwartą stronę okładki, co było teraz najpilniejsze. Przerwał mu telefon. Rita zakomunikowała, że nie figuruje w dokumentacji nikt, kto by się nazywał Oleguer Santiga i miał cokolwiek wspólnego z wydawnictwem.

– Na pewno?

– Na sto procent.

Odłożył słuchawkę i wrócił do tekstów na okładkę, tych najpilniejszych. Wtedy przypomniał sobie, że czeka go jeszcze po południu zebranie, na którym stawką, choć nikt o tym nie mówił głośno, była przyszłość jego wydawnictwa. I jego samego, co oczywiste.

Po miesiącu, po wydaniu kolejnych czterech książek, z niezagrożoną przyszłością wydawnictwa i jego własną, po załatwieniu tysiąca różnych spraw, samych pilnych, wpadła mu w oko teczka, wciśnięta za szafę, na wszelki wypadek, i przypomniał sobie o tamtym wariacie, którego nazwisko uleciało mu z pamięci. Zajrzał do środka z lekkimi wyrzutami sumienia, wyciągnął plik papierów i nagle wróciła do niego cała historia. Tym razem zostawił teczkę na stole.

W porze kiedy sprzątaczką stawała się panią na włościach całego wydawnictwa, czyli wtedy, kiedy on zazwyczaj kończył pracę, Bauçà nie zapomniał o teczce, a gdy znalazł się w domu, sam, bo Virgínia nie wiadomo gdzie się podziewała i na pewno wróci megapóźno, słyszysz, kochanie?, nie mając na nic ochoty, wyciągnął z lodówki piwo i zaczął czytać rękopis niejakiego Santigi.

Arnau Mauri dotarł do wąskiej, zatopionej w deszczu uliczki; jego kroki, dotąd wyraźne, ginęły zagłuszone szumem deszczu. Z każdego drutu parasola spływała woda. Dopóki nie stanął przed domem nieco jaśniejszym niż

pozostałe, nie podniósł głowy. Numer dwadzieścia sześć. Więc to musi być obok. Obok znajdował się budynek mniejszy, depresyjnie poczerniały pod wpływem działania czasu i ludzi. Tego właśnie szukał. Nie od razu się zorientował, że nie było tam żadnego dzwonka. Wsadził rękę między pręty i zastukał w mokrą szybę pięścią. Czekał. Nagle się odwrócił, przestraszony, że ktoś go może zaatakować od tyłu, takie odniósł wrażenie. To z powodu nieczystego sumienia. Znów zapukał, zniecierpliwiony. Po upływie paru wolno upływających minut w środku zapaliło się światło i zabarwiło na żółto kawałek mokrej ulicy. Otworzyły się drzwi, a spod białej czupryny wieńczącej chudą sylwetkę energicznego starca dobiegł głos czego pan sobie życzy. Czy mam do czynienia z doktorem Tardà? Tak, to ja. Ja jestem ten Arnau Mauri, który do pana dzwonił. Jak pan mówi? Czy mogę wejść, żeby tu nie moknąć? Jak pan mówi, że się nazywa? Arnau Mauri, dzwoniłem parę dni...

– Ach, Mauri, w sprawie trucizny, tak?

– No dobrze, ja...

– Proszę, proszę do środka, bo pan zmoknie – powiedział mężczyzna, cofając się o krok w głąb niewielkiego przedpokoju. Mauri w końcu mógł wejść i zamknąć parasol, z którego woda teraz ściekała na podłogę.

– O, przepraszam.

– Proszę go tu zostawić.

Tu to znaczy w kącie, bo nie znalazł tam stojaka na parasole. Wtedy zwrócił uwagę, że przedpokój kończy się tam, gdzie się zaczyna, i od razu przechodzi w schody, na które gospodarz zaczął wchodzić, nie przejmując się, czy gość zainteresowany trucizną zamknął drzwi na ulicę.

Po pięciu minutach, kiedy już siedzieli obaj nad filiżankami parującej kawy, stary zapytał, po co mu trucizna.

– Chce pan kogoś otruć? – zasugerował.

– Skądże! Na litość boską!

– Nie, tak tylko pytam... Dobrze słyszałem, że jest pan pisarzem?

– Tak.

– To źle wróży.

Parę sekund ciszy, aż Mauri pokręcił głową. Uświadomił sobie, że jest spięty i bardzo zdenerwowany.

– Nie. Po prostu w domu mamy zatręśnienie szczurów.

– To dlaczego potrzebuje pan informacji o truciznie, która nie pozostawia śladów.

– Istnieje czy nie, taka trucizna?

– Tak.

– Więc proszę mi powiedzieć, o jaką truciznę chodzi, proszę wskazać, jak ją zdobyć i ile się należy za informację.

Mężczyzna podrapał się po gęstej białej czuprynie i uśmiechnął się. Popatrzył Mauriemu w oczy.

– Szczury... – odezwał się z ironią. Uniósł ręce, jakby dokonał wielkiego odkrycia. – Wiem! To do tych historii, które pan opisuje!

– No właśnie. Udzieli mi pan informacji?

Ponieważ siwowłósy mężczyzna milczał, Mauri wstał, ale na gospodarzu nie zrobiło to wrażenia: ograniczył się tylko do dopicia kawy.

– Nie wierzę – powiedział, nie patrząc na Mauriego – ani w powieści, ani w szczury.

Arnau Mauri usiadł ponownie i przejęty przesunął ręką po włosach. Chwila niezręcznej ciszy.

– No dobrze... Ma pan rację.

– Zamieniam się w słuch.

– Może lepiej, żeby pan tego nie wiedział.

– Nie, proszę pana. Muszę to wiedzieć, żeby ustalić cenę za moją informację.

– Mogę wymyślić cokolwiek.

– Pan nie umie kłamać. W zależności od tego, co usłyszę, mogę pana oszukać i wystawić do wiatru. Ponadto jestem dociekliwy i chcę wiedzieć, do czego panu ta trucizna.

– Dobrze, ale jeśli wyda pan mój sekret, to pana zabiję.

– Och, już się boję. Wie pan, że jestem niecierpliwy? Od dziecka byłem wścibski. I żadna groźba tego nie zmieni. Zamieniam się w słuch.

– No więc chodzi o to, że całe godziny spędzam w domu na pisaniu i... No i właśnie mam takiego sąsiada...

Mauri zamilkł. Tamten spojrzał mu w oczy i powiedział szybciej, chłopcze,

bo dzień krótki, a ja tu zaraz się zestarzeję.

– Więc... chodzi o to, że mam sąsiada, a on ma dwa przekłete psy, które przez cały dzień szczekają.

– I chce pan je uciszyć.

– Nie: chcę uciszyć sąsiada.

Heribert Bauçà źle spał tej nocy i wcześniej się obudził, dręczony bezsensownymi snami, zainspirowanymi nocną lekturą. Podczas śniadania, siedząc naprzeciwko Virgíni, jeszcze bardziej sennej niż on, bo faktycznie wróciła megapóźno, strony, które przeczytał nocą, odbijały mu się czkawką, jak czasnek. Musiał przyznać, że podobała mu się próbka maszynopisu tamtego wariata. Ale odstręczał go szantaż zawarty w liście. Poranek w wydawnictwie był spokojny, więc wykorzystał dwie luźniejsze chwile, żeby jeszcze podczytać parę stron Santigi. Lektura i niewyspanie sprawiły, że miał podkrążone oczy w restauracji, kiedy Pietro zapytał go, czy będzie sam przy obiedzie.

– Nie, nie, czekam na pewną panią. Zaraz przyjdzie.

– Podam panu piwo.

– Bezalkoholowe.

Kiedy Pietro oddalił się, jakiś mężczyzna, przesadnie chudy, aż tak, że sprawiał wrażenie, jakby się miał rozbić o kant któregoś stołu, podszedł uśmiechnięty do Bauçy. Stanął przed nim, ciągle się uśmiechając, i odsunął krzesło, nie pytając, czy może się dosiąść.

– To miejsce jest zajęte.

Chudy mężczyzna zupełnie się tym nie przejął, przysunął sobie krzesło i zasiadł naprzeciwko Bauçy. Rozejrzał się wokół, sięgnął po kromkę chleba z koszyka i od razu, bo właśnie wrócił Pietro, wskazując piwo, poprosił o to samo.

– Wypraszam sobie – wściekł się Bauçà. – Czekam na kogoś.

– Wszyscy na kogoś czekamy. – I przyjaznym tonem zwrócił się do Pietra: – Tylko zimne, dobrze? – Potem do Bauçy: – A ja czekam na ciebie.

– Czy my się znamy?

– Tak. Jestem Oleguer Santiga.

– Kto?

– Och, te luki w pamięci. Autor książki...

– Ach, ten facet, który...

– No właśnie! Ten facet który. – Wskazał go palcem. – Nie zrobiła na tobie wrażenia refleksja o władzy, jaką ma autor nad postaciami, jakby był jakimś bogiem? Co?

Bauçà podniósł się oburzony.

– Kiedy to pisałem, słowo daję, że nie mogłem wyjść z podziwu – kontynuował przybysz, z całych sił zaciskając pięść. – Czułem się bogiem!

Heribert Bauçà rzucił serwetkę na stół. Oleguer Santiga nie poruszył się i mówił dalej, nie podnosząc głosu:

– Jeżeli teraz sobie pójdiesz, powiem Virgínii o twoim romansie z Amàlią, który trwa już półtora roku.

Bauçà odszedł bez słowa. Jeszcze usłyszał, jak Oleguer Santiga pytał nie zastanowiło cię, skąd wiedziałem, że dziś zabrałeś się do czytania mojego tekstu?

W tym momencie Pietro wrócił z kartami.

– No co my tu mamy... – powiedział Santiga, sięgając po jedną z nich.

Mauri, mając dość okropnego wycia, które trwało całymi godzinami, otworzył okno wychodzące na wewnętrzny dziedziniec z zamiarem, żeby wreszcie z tym skończyć, bo w tych warunkach nie dało się pisać. Pam, a może Pipa, podniósł głowę i zaczął warczeć, tak jakby gest mężczyzny wydał mu się agresywny. Mauri, z bezpiecznej odległości pierwszego piętra, też wyszczerzył zęby. Wtedy Pam, a może Pipa, zaczął ujadać tak zajadle, jakby obraza, jakiej doznał, była monstrualna. Myślałby kto! Ale przekłety kundel zamilkł, kiedy Arnau Mauri rzucił mu kawałek spreparowanego kotleta, podczas gdy jego kolega nadal był w domu. Pam, a może Pipa, złapał kotlet do pyska i przeżuwał go, mięso i śmierć dwa w jednym, raz-raz i koniec. Pipa, a może to był Pam, wściekła, wybiegła z domu, kiedy zauważyła, że jej kumpel coś przeżuwa, i wtedy Mauri

rzucił drugą część kotleta. Oba psy węszyły z pyskami zadartymi do góry, zdezorientowane. Może czekały na więcej śmiertelnych porcji? Były równie głupie jak ich pan. Ten zgodnie ze zwyczajem wieczorem zajrzał do baru i umożliwił mu osobiste podanie śmiertelnej dawki w szklance whisky, na którą każdego dnia wstępował do baru przed powrotem do domu... To prawdziwa przyjemność mieć do czynienia z ludźmi obsesyjnie uporządkowanymi i przewidywalnymi.

– Synu, co robisz?

Mauri odwrócił się z niezadowoloną miną. Zamknął okno.

– Znowu je prowokujesz?

– Im wiele nie trzeba: same szczekają.

– Idę do baru, za długo już Rosa jest tam sama.

– Tego wieczoru nie przyjdę ci pomagać.

– Coś takiego: co ci znowu wypadło?

– Prezentacja. Chodzi o książkę, którą...

– Książki, książki, książki!... Twój ojciec miał słuszność!

Mauri nastawił uszu. Żaden z psów nie zaszczekał. Może już zamieniły się w sen, jak ich nudny, popierdolony właściciel. Zamknął się w malutkim gabinecie, wytapetowanym książkami po sam sufit, gotowy do pisania. Ale teraz, wsłuchując się w błogosławioną martwą ciszę, był niezdolny do skreślenia choćby jednego zdania.

Oleguer Santiga wracał do domu, cichutko pogwizdując na schodach. Dopisywał mu humor i dzięki temu lepiej się czuł, zręczniejszy, może i za chudy, ale nie do zdercia, przystojniejszy, pod każdym względem lepszy. Kiedy znalazł się przed drzwiami mieszkania, przeszła mu chęć na gwizdanie.

– Kurwa, co to ma znaczyć? – krzyknął, mimo przekonania, że monolog w samotności to coś najbardziej fałszywego i antyliterackiego, co można utrwalić na piśmie.

Wściekły, wyciągnął klucze z kieszeni, ale żeby dotrzeć do drzwi, musiał przeskoczyć mur, jaki tworzyły książki, półmetrowej wysokości, coś jak

barykada. Zauważył, że znajdowały się tam słowniki, dzieła zebrane Roïdisa, cztery powieści Millera, kilka tytułów Pedrola...

– Mamo! – zawołał, kiedy już przedarł się do mieszkania. – Co ty sobie, do cholery, wyobrażasz?

Jak należało się spodziewać, nikt nie wyszedł mu na spotkanie. Poszedł do sypialni, gdzie jego matka od trzech lat leżała nieruchomo, trzyletnia droga przez mękę, zwłaszcza dla mnie, bo ona, myślałby kto, tylko sobie odpoczywa i rozkazuje.

– Kto to zrobił?

– Co kto zrobił?

– Kto wyrzucił książki z domu.

– Ach, to. Caterina.

– Dlaczego? – krzyczał Oleguer.

– Bo ja jej kazałam. Powiedziałam: Caterina, wyrzuć wszystkie książki z jadalni. Wszystkie.

– Wszystkie?

– Wszystkie, Caterino. Zrozumiałś?

– Ale ja się teraz spieszę.

– Dziesięć euro.

– Zgoda. Gdzie mam je przenieść?

– Gdzie chcesz, byle na zewnątrz mieszkania. Na przykład na schody. – Patrząc na syna: – Gdzie je zostawiła?

– Na schodach, tak że nie da się ani wejść, ani wyjść.

– Bardzo dobrze.

– Zwariowałaś.

– Przy tylu książkach w jadalni nie da się oddychać.

– Przecież ty nigdy tam nie wchodzisz, do tej pieprzonej jadalni, mamo! Nie zauważyłaś, że nie możesz się poruszać?

– Gdyby nie było tylu książek na wszystkich ścianach, może dałabym radę tam dojść.

– Aha. Chyba cudem. Gdyby w jadalni nie było książek, Bóg w swojej

łaskawości przywróciłby ci zdolność chodzenia.

– Nie kpij sobie.

– Cholera. Przecież mieszkanie nie jest nie wiem jak wielkie, prawda? Niby gdzie mam je trzymać?

– Spal je, podaruj komuś. Przecież ich nie czytasz! I nie używaj brzydkich słów.

Oleguer Santiga wyszedł z sypialni matki i przez pół godziny przywracał książki na swoje miejsce. Matka mamrotała pod nosem straciłam dziesięć euro. Kiedy zaniósł jej kolację, nadal robiła obrażoną minę i nie odpowiedziała na pytanie, kto mógłby zastępować Caterinę.

Oleguer Santiga zamknął się w maleńkim gabinecie, który w rzeczywistości był rupieciarnią bez okna na świat, gdzie udało mu się wcisnąć stolik i krzesło, zagraconą stosem pudełek z używanymi butami, których matka nie chciała się pozbyć, i drabiną, po którą od czasu do czasu zgłaszali się sąsiedzi i którą pewnego popołudnia w przypiływie złego humoru przysiągł sobie wyrzucić przez balkon obsadzony pelargoniami. Sięgnął po telefon i wybrał numer. Rozmowa była krótka, oschła, konkretna: tylko jeden rozkaz, bez dyskusji. Spotkanie naprzeciwko Pedrery za godzinę.

– Ale o czym chce pan ze mną rozmawiać?

– O czymś, co panią z pewnością zainteresuje. Jestem podwładnym pani męża.

– Nie jestem w nastroju do żartów, proszę pana.

– Ja też nie. Wiem coś, o czym pani powinna się dowiedzieć.

Milczenie po drugiej stronie.

– Co pan ma na myśli?

– Ja pani przekażę informację, a pani już będzie wiedziała, co z nią zrobić.

Godzinę później Virginia stała przed Pedrerą wmieszana w tłum turystów, którzy albo robili zdjęcia, albo z otwartymi ustami gapili się na budynek. Była jedyną osobą, która przyglądała się ludziom, której nie obchodził Gaudí i która patrzyła w oczy wszystkim mężczyznom. Po dziesięciu minutach rozgniewana spojrzała na zegarek. Jakiś chudy jak patyk mężczyzna, który już od jakiegoś czasu stał obok niej, robiąc zdjęcia balkonów, powiedział proszę się nie niecierpliwić, pani Bauço. Zaraz będę do pani dyspozycji.

Zrobił jeszcze ze trzy–cztery fotki i powiedział o, to ładnie mi wyszło, proszę spojrzeć.

Pokazał jej komórkę. Virginia fuknęła, wściekła, upokorzona, zaintrygowana, zaniepokojona.

– Co ma mi pan do powiedzenia?

Chudy mężczyzna podał jej kartkę. Rozłożyła ją. Nazwisko, adres i numer telefonu.

– Kto to taki?

– Kochanka pani męża.

– Mój mąż nie ma żadnej kochanki – powiedziała, rwąc papier i rzucając na ziemię. Chudy mężczyzna nie przejął się. Powiedział tylko proszę pani, musimy dbać o czystość w mieście... Pochylił się i pozbierał rozrzucone strzępy. Przez zaskoczenie chwycił ją za nadgarstek, otworzył jej dłoń i położył na niej podarty papier. I zaraz zniknął za grupą Japończyków, którzy szli prosto na nich, wszyscy z głowami zadartymi do góry.

Komisarz spoglądał w dół przez okno, jakby chciał tamtędy wyrzucić pozostałe kawałki mięsa zanurzonego w śmierci. Odwrócił się w stronę kobiety i powiedział to bardzo dziwny zbieg okoliczności, żeby zmarł mężczyzna i jego dwa psy, wszyscy jednocześnie.

– Ktoś musiał ich otruć.

Komisarz spojrział na nią, jakby myślami był gdzieś daleko, i uśmiechnął się. Ponieważ się nie odzywał, pani Mauri krzyknęła:

– I co mam panu powiedzieć!

– Mamo, daj spokój, dobrze? – odezwał się wystraszony Arnau Mauri.

– Chcę, żeby mi pani opowiedziała – komisarz podszedł bliżej – o wszystkim, co ma związek ze sprawą.

– Nie mam pojęcia, co może mieć związek ze sprawą.

– Sąsiedzi mówią, że pani nie znosiła tych psów.

– Nikt ich nie znosił – wybuchnął Mauri. – Przez cały cholerny dzień ujadają.

Spojrzał w oczy komisarzowi, zdając sobie sprawę, że to moment kulminacyjny, bo stał nad brzegiem przepaści, a przyjemność, jaką czerpał z niebezpieczeństwa, była wspaniałym uczuciem. Śmieje się z, z... z... Nie wiem z czego, ale śmieje się.

– Z tobą jeszcze nie zacząłem – rzucił krótko komisarz. – Rozmawiam teraz z twoją matką. – Do kobiety: – Pani je zabiła jakąś trucizną, którą potem pan Plana spróbował przez przypadek. Prawda, że mam rację?

– Nie mam nic do powiedzenia; nic o tym nie wiem! To o truciźnie sam pan wymyślił.

– Dobrze, proszę pani. Będzie pani tak uprzejma i wyjdzie z pokoju.

– W moim domu nikt mi nie będzie rozkazywał.

– Zgoda; w takim razie oboje państwo zgłoszą się na komisariat.

– W jakim charakterze? – zapytał Mauri, nieświadomy realnego niebezpieczeństwa.

– Dużo czytałeś, prawda? – powiedział komisarz, próbując się uśmiechnąć.

– Na pewno więcej niż pan. W jakim charakterze?

– Podejrzanych o zabójstwo. Matka i syn.

Pani Mauri wstała, starając się nie okazywać przerażenia i wściekłości, wyszła i z całych sił trzasnęła drzwiami, których zazwyczaj nie zamykali.

– Świetnie – powiedział komisarz. – Teraz, chłopcze, możesz mi wszystko opowiedzieć.

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Otrułeś je, rzucając przynętę zaprawioną czymś toksycznym. Prawda?

– Wykrycie tego należy do was, po autopsji i takich tam procedurach, prawda? Mnie niech pan nie pyta.

– Jaka to była trucizna i skąd ją wziąłeś?

– Nie wierzę własnym uszom – rzucił mu w twarz Mauri, starając się nie podnosić głosu.

Komisarz zapewnił go, że jest mu obojętne wierzy czy nie wierzy, i wyraził zainteresowanie jego gabinetem, tak jakby nie mieściło mu się w głowie, że naprawdę może być pisarzem. Nieuważnie omiół wzrokiem papiery na stole i powiedział być może będziemy musieli zabrać komputer, na co Mauri,

z przyjemnym dreszczykiem wywołanym bliskością niebezpieczeństwa, odpowiedział jak pan chce, tylko proszę mi dać inny w zamian. Komisarz nie uznał za stosowne odpowiedzieć; patrzył na ściany wytapetowane książkami. Ponieważ miał lumbago, nie zadał sobie trudu odczytywania tytułów na grzbietach książek, tylko machnął ręką zde gustowany.

– Dużo opublikowałeś?

– Nie. Jeszcze nic.

– A więc nie jesteś pisarzem.

– Pisarzem jest ten, kto pisze, a ja piszę bez przerwy.

Komisarz sięgnął od niechcienia po kilka kartek i zaraz je odłożył na stół. Wyszedł z gabinetu z ulgą osoby opuszczającej miejsce zbrodni i wracającej do życia, które czeka za drzwiami.

Gra nerwów trwała jeszcze dobre piętnaście minut. Policjant, ten bałwan, był głupi i niczego nie wydedukował. A kiedy wreszcie sobie poszedł, potknąwszy się po raz drugi w tym samym miejscu, Mauri doznał uczucia dyskretnej euforii, która była największą przyjemnością, jakiej kiedykolwiek zdarzyło mu się doświadczyć, przyjemności wypływającej z przekonania, że jest panem świata i losu ludzkiego, pomieszanej z niewymowną satysfakcją, jaką daje bezkarność osiągnięta dzięki inteligencji.

Na stole w kuchni, tak jakby układała puzzle, zabawkę z dzieciństwa, Virgínia ułożyła nazwisko i adres Amàlii. I numer telefonu. Serce waliło jej bum-bum z wściekłości i oburzenia. I lęku. Ponieważ ten stuknięty chudzielec spod Pedrery mógł ją nabierać. A może wcale nie.

Usłyszała odgłos zamykanych drzwi o tej mniej więcej porze, kiedy zwykle wracał Heribert, siedząc przy kuchennym stole ze wzrokiem wbitym w puzzle i zastanawiając się, co powinna zrobić. Aż się spociła z emocji.

– Ej, co to? Co się dzieje?

Odwróciła puzzle w stronę męża, który się pochylił, pomacał kieszenie, wyciągnął okulary, założył, znów się pochylił i przeczytał amàlia contreres ulica majorka...

– Co to jest? – zapytał, wyprostowując się i chowając okulary.

– Wydaje się, że to ty masz mi powiedzieć.

– Kim jest ta... – pochylił się, nie zakładając okularów, i przeczytał: – ta Amàlia?

– A kim ma być? Twoją kochanką.

– Bzdura! – bronił się Heribert Bauçà, wychodząc z kuchni. Zatrzymał się w progu. – Dziś nie jemy kolacji? Czy ja mam przygotować?

Virgìnia sięgnęła po swoją komórkę, sprawdziła puzzle i wybrała zapisany tam numer.

– Zaraz zobaczymy, co ona na to, ta twoja kochanka.

Heribert wrócił do kuchni.

– Kto ci to dał? Facet chudy jak patyk?

– Tak.

– To wariat, który wymyślił sobie, że mam opublikować jego książkę, a ponieważ ja odmówiłem, uprzykrza mi życie.

– Tak. I ja mam w to uwierzyć?

– Jak sobie chcesz. Jak na razie już nam zaszkodził.

– Dlaczego nie chcesz go wydać?

– Bo to wariat.

– Ale jest dobry? Przepraszam na moment. – Do telefonu: – Amàlia Contreres? (...) To ty, kochanie?

Jakimi imbecylami są policjanci! – pomyślał Mauri, siedząc w autobusie. Musieli przepytac wszystkich sąsiadów, żeby dojść do wniosku, że nie wiedzą, kto to zrobił. Co za idioci! To mógł być ktokolwiek z siedmiu miliardów mieszkańców planety.

Po tej deklaracji zasad poczuł się całkiem niezłe. Przede wszystkim dlatego, że zobaczył jasno myśl, która mu chodziła po głowie: jeżeli on był bogiem i rządził postaciami, które stworzył, dlaczego nie miałby być bogiem osób ze swojego otoczenia? Kiedy opisywał historię rozgrywającą się w ogrodzie

zoologicznym, prawda, że sam zdecydował, że Irene musi umrzeć? Tak zdecydował, bo taki miał kaprys, wbrew logice narracji. Tak napisał i Irene kopnęła w kalendarz, nie mogąc zaprotestować, bo ja jestem Bogiem. A teraz Mauri zdecydował, że z szesnastu osób podróżujących autobusem tą, która ma umrzeć, będzie kierowca, bo ja tak chcę.

To wymagało od niego podjęcia działań: kiedy dojechali do pętli, do jakiegoś nieznanego placyku, kierowca wysiadł z pojazdu, wszedł do małego baru na rogu, wyszedł stamtąd po paru minutach i wypalił papierosa obok autobusu. Arnau Mauri, z tą świętą cierpliwością, która jest przywilejem bogów, siadł na przystanku i obserwował zachowanie swojej ofiary, po czym sam sobie wyznaczył cel: nim upłyną cztery dni, przed piątkiem, ten mężczyzna będzie trupem.

Poświęcił dwa dni na rozpoznanie jego zachowania, harmonogramu i nawyków. Trzeciego dnia, o dwunastej trzynastej, bóg Arnau Mauri, przeżuwając jakąś okropną kanapkę w barze przy placyku, patrzył, jak jego ofiara wchodzi, daje znak niemrawej kelnerce za ladą i udaje się do toalety. Kelnerka bez słowa przystąpiła do przygotowania kawy. Kiedy postawiła ją na ladzie, Mauri podszedł i odwrócił jej uwagę, pytając, ile ma zapłacić. W powstałym zamieszaniu bóg bez problemu zapłacił, wlał parę kropel przeznaczenia do kawy swojej ofiary, zabrał resztę i odszedł w momencie, gdy usłyszał śmierć wychodzącą z toalety. Niczym bóg Arnau Mauri uśmiechnął się z pogardliwym grymasem. Niczym bóg odwrócił się, by spojrzeć na śmierć po raz ostatni. Oddalił się z małego placyku wolnym krokiem do następnego przystanku, pół kilometra dalej, i czekał tam na autobus. Nic. Ani śladu. Wręcz przeciwnie, przejechał inny z hałasem, wydychając dym, w stronę placyku i w stronę dramatu, który tam się właśnie rozgrywał. Już to sobie wyobrażałem: ej, ty, co ci jest, co się dzieje? Ej, popatrzcie na tego człowieka, co z nim i tak dalej. Kiedy będzie miał więcej boskiego doświadczenia, zostanie, żeby oglądać rezultat swoich decyzji; na razie musiał zachowywać ostrożność. Gdy usłyszał syrenę karetki, Mauri wstał i ruszył przed siebie, kierując kroki w stronę Olimpu.

Następnego dnia dowiedział się, że jego ofiara nazywała się Agustí Moraga Pérez. AMP, tak jak ja! Jakież to niespodzianki szykuje śmierć!, zdobył się na refleksję, zamykając gazetę. Zapewnił matkę, że tego wieczoru zostanie

w barze, kiedy Rosa już pójdzie, niech się nie martwi. Potrzebował chwili spokoju, żeby się nacieszyć do syta poczuciem panowania nad życiem i śmiercią. Poza tym trzeba było się zastanowić, czy wśród stałych klientów znalazłby się ktoś, kto mógłby zostać jego trzecią ofiarą; czwartą, jeśli doliczyć Irene. Ale jeśli miał być szczery, martwiło go trochę, że policja, według gazety, nie wykluczała nienaturalnej przyczyny śmierci. Martwiło go to, a jednocześnie emocje ogarniały go aż po cebulki włosów. Czuł, że żyje pełnią życia.

Heribert Bauçà spędził bezsenłą noc z powodu tamtego wariata. Kłótnia z Virgínią była okropna, aż do przesady. Musiał się przyznać do niewierności, musiał przełknąć inwektywę, że jest zgniłym samcem w przebraniu postępowca i inne tym podobne. A tymczasem myślał, że gdyby Amàlia była sprytniejsza, nie wpadłaby w pułapkę. Dlaczego nie udała, że nie wie, o co chodzi? Natomiast Virgínia i owszem, potrafiła być sprytna, ta cicha trusia. Zaatakowała ją ja wiem wszystko, skarbie, nawet nie próbuj udawać, wszystko mi wyznał twój kochanek, a ta głupia Amàlia połknęła haczyk i kiedy już odłożyła słuchawkę, Virgínia spiorunowała go wzrokiem i zaczęła wiązanek od zgniłego samca i całej reszty.

– Telefon do pana – głos Rity w telefonie.

– Teraz nie mogę.

– To pilne.

– Kto taki?

– Z biura prezydenta Generalitat.

Heribert Bauçà spojrział z wyrzutem na egzemplarz redakcyjny powieści Houellebecq, przycisnął klawisz telefonu i z rezygnacją rozsiadł się wygodniej w fotelu. Zapytał, kto mówi.

– Ej, chłopcze! Jestem tym, który pociąga za sznurki...

– Słucham?

– Oleguer Santiga, twój przyjaciel. Jak ci wczoraj poszło z żoną?

– Słuchaj, ty szcurzy pomiole. – Sam się sobie zdziwił, że powiedział to bez gniewu. – Teraz już naprawdę jestem przekonany, że w żadnym razie nie

myślę publikować tego gówna o facecie, który truje wszystkich wokół i ma nasrane pod sufitem. Dotarło?

– Jasne. Ale prawda, że to udana postać?

– Gówno, nie postać.

– Słuchaj, Bauçà: jeszcze o tym nie wiesz, ale w końcu mnie opublikujesz.

– Nie rozumiesz, co się do ciebie mówi, ty zaszpany debilu?

– Tak. Ale jesteś niedoinformowany: mogę ci jeszcze bardziej zaszkodzić, jeśli mnie nie opublikujesz.

– Oj, już się boję.

– Prawda, że tak, kochanie? – Głos nagle się zmienił: – Mogę cię zabić.

– Doskonale: a ja natychmiast cię zadenuncjuję.

– Nie uda ci się dowieść, kim jestem. Zabiję cię i tak.

Heribert Bauçà milczał. Jedwabisty głos Oleguera Santigi zawracał mu głowę jeszcze przez parę minut sam nie wiedział czym. A on nie odłożył słuchawki, zahipnotyzowany jak mysz przez kobrę. Po chwili, dłuższej chwili, dotarło do niego, że głos Santigi mówi chyba że się zreflektujesz i wydasz moją książkę. Wtedy, tak jakby nic się nie stało, Bauçà otworzył usta.

– Zgoda.

– Co powiedziałaś?

– Że zgoda. Opublikuję. Zostawisz mnie wtedy w spokoju?

– Tak. Masz moje dżentelmeńskie słowo honoru.

– Oj.

– Ależ tak. Możesz na nim polegać. Ja tylko chcę zostać opublikowany; jak to się mówi, później zniknę z twojego życia.

W dniu, kiedy Arnau Mauri wrócił do domu doktora Tardà, również padał deszcz, jakby sama jego obecność w tej słabo oświetlonej dzielnicy prowokowała rześiste ulewy. Nie zabrał parasola, więc gdy siwowłosa czupryna otworzyła mu drzwi, otrząsnął się jak pies, żeby się pozbyć wody.

– O Matko Boska Przenajświętsza, co za ulewa!

– Teraz zaczyna pan zjawiać się bez uprzedzenia.

– Pogoda jest coraz bardziej zwariowana. To pewnie przez te pieprzone zmiany klimatyczne.

Mauri spojrział na kałużę, która się zebrała u jego stóp.

– Niech się pan nie przejmuj – powiedział doktor. – Tu nikt nas nie będzie strofował.

Wszedł na schody, nie oglądając się i nie sprawdzając, czy tamten idzie za nim. Na stoliku obok foteli dwie parujące filiżanki kawy. Kiedy Arnau zdał sobie z tego sprawę, spojrział zdziwiony na doktora. Ten potrząsnął bujną czupryną i znikł w kuchni ze słowami zaraz przyniosę cukier, a Arnau Mauri podszedł do parujących filiżanek.

– Jakim cudem... – zapytał Mauri, gdy tamten wrócił z cukiernicą.

– Chociaż mnie pan nie uprzedził, czekałem na pana. Dziś mija termin uregulowania należności, prawda?

Mauri nie usiadł, jakby chciał zachować czujność, jakby się obawiał jakiejś nieoczekiwanej pułapki. Doktor zasiadł wygodnie w swoim fotelu i nie patrząc w jego stronę, zapytał gdzie są pieniądze.

– Nie mam.

– No, no... Jak to możliwe, że właśnie tego się spodziewałem?

Arnau miał wrażenie, że twarz doktora się zmieniła; nawet czupryna mu pociemniała.

– Nie wiem – stwierdził Mauri.

– To wielka szkoda. Jak na razie wiem o trzech pańskich ofiarach.

– Nie, o dwóch.

– Ach tak!... A kim jest ta druga?

W ciszy, jaka zapanowała, poczuł, że cały oblewa się potem. Jak łatwo wpaść w pułapkę! Z trudem postarał się skupić na pozytywnej stronie lęku, sięgającego po czubki włosów.

Doktor uśmiechnął się i popijając kawę, zapytał może ten kierowca autobusu?

Ponieważ Mauri milczał, doktor Tardà uśmiechnął się i powiedział o cholera, jaki dziarski chłopiec. Może byś usiadł? Mogę ci mówić po imieniu, prawda?

Mauri usiadł, pokonany. Wydaje się, że doktor wziął to za dobrą monetę. Nadając głosowi łagodne brzmienie, zapytał a kiedy masz zamiar przynieść mi kasę?

– Już mówiłem, że nie mam. Ani nie mam skąd wziąć.

– Zadenuncjuję cię.

– Pana też obciążę.

– Nie. Myślisz, że jestem idiotą? Wszystko sobie przemyślałem.

– Ja również.

– Jasne, jasne.

– Tak. Ponadto, drogi panie doktorze, jest oczywiste, że trucizna zostawia ślad: oszukał mnie pan.

– Zapewniam cię, że żadna z twoich ofiar, nawet psy, prawie nie cierpiały ani nie miały świadomości, że umierają.

– Ale policja zdała sobie sprawę, że to kwestia jakiegoś tajemniczego zatrucia.

– Policja, policja... – Energicznie: – Za godzinę cię zadenuncjuję: tyle masz czasu, żeby zebrać pieniądze.

Mauri wstał, jakby go te słowa zmobilizowały. Ale nie ruszył do drzwi.

– No już, pospiesz się, czas leci. Została ci jeszcze godzina minus pół minuty.

– A panu tylko pół minuty.

– Ach tak?

Mauri wskazał do połowy opróżnioną filiżankę doktora i odwrócił się na pięcie. Zanim wszedł do przedpokoju, wrócił i wskazał filiżankę.

– To prawda, że działa natychmiast, ta pieprzona trucizna.

Wszedł z saloniku, ale wrócił ponownie uśmiechnięty i dodał mnie nikt nie będzie szantażował, drogi panie. Uśmiechnął się na widok zmienionej twarzy doktora i czupryny, znów białej i jakby zwichrzonej. Posłał mu całusa.

Na dole, przy wejściu, nie przejął się śladami, jakie mógł zostawić, bo wszystko było mokre, zamknął drzwi za sobą i stopił się z deszczem na ulicy, pijany z euforii. Mimo to zdecydował, że na przyszłość trzeba zachować większą ostrożność i pozwolić, by upłynęło trochę czasu między jedną ofiarą a drugą. Więcej czasu na pisanie i czytanie, pomyślał. Więcej czasu na

dokonanie arbitralnego, atrakcyjnego wyboru. Kiedy chce się być cudzym przeznaczeniem, nie można tego lekko traktować.

Heribert Bauçà uniknął uściśnięcia dłoni, jaką do niego wyciągnął Santiga, wskazując mężczyznę, który właśnie wstał z krzesła przy okrągłym stoliku.

– Canela, szef redakcji.

– Bardzo mi miło. Podobało się panu, co?

– Spokojnie, zaraz porozmawiamy – odpowiedział Canela, podając mu rękę.

Wszyscy trzej zasiedli przy stole, a Santiga rozejrzał się wokół, tak jakby chciał zatrzymać w pamięci obraz siebie samego w gabinecie Bauçà. Ten gestem zachęcił Canelę, żeby zaczął mówić.

Canela, nie patrząc Santidze w oczy, obojętnym tonem, jakby to robił tysiące razy, oświadczył, że książka wyjdzie w serii Bruna.

– Ach, to świetnie – ucieszył się zaskoczony Santiga.

– Z numerem sto pięćdziesiątym.

– Oj, nie lubię okrągłych cyfr.

– To musi pan polubić, nie ma rady – wtrącił się ze złośliwą satysfakcją Bauçà.

– Dobrze, dobrze. Nic nie mówiłem. – Ożywił się: – Przypomniałem sobie, że wprowadziłem parę poprawek. Główny bohater zdąży otruć jeszcze dwie osoby.

– Dokładnie tego się po nim spodziewałem – ożywił się Bauçà. – Pasuje jak ulał do jego zwyrodniałej mentalności.

– Prawda? – Santigę ogarnęła euforia.

– Ale mamy pewien problem. – Canela ostudził jego entuzjazm, patrząc mu prosto w oczy.

– Problem? – Santiga wyczuł niebezpieczeństwo.

– Chodzi o tytuł.

– Co jest nie tak z moim tytułem?

– Jest zły. Niezrozumiały. Ręce... – Sięgnął po egzemplarz leżący na stole –

Mocka.

– Mauka. Trzeba być ignorantem, żeby nie zrozumieć aluzji. Taki ma być i koniec.

– Nie dotarło do pana, co powiedziałem? Po prostu jest zły.

– O tytule nie będziemy dyskutować.

Canela wstał i wyrecytował jak automat, ze wzrokiem wbitym w egzemplarz na stole, że w takim razie uważam nasze pertraktacje za zakończone. Niestety, nie mogę powiedzieć, że miło mi było pana poznać.

– Jak to? Przecież...

Bauçà również się podniósł.

– Poszliśmy ci na rękę, Santiga – powiedział. – Ale skoro ty nie chcesz jej opublikować...

– Jasne, że chcę! – zawołał, nie ruszając się z miejsca. – Powiedziałem tylko, że tytuł to rzecz święta.

– W świecie wydawniczym nie ma żadnych świętości – wygłosił Bauçà proroczym tonem.

– Kpicie sobie ze mnie, prawda?

– Nie. Dbamy o jakość produktu.

– Produktu?! – Santiga zerwał się wściekły. – Moja powieść to nie produkt! To dzieło sztuki!

– W porządku – odezwał się Canela ugodowym tonem – ale tytuł jest do dupy.

– Ty skur...

Wszyscy trzej stali wokół stołu, a napięcie rosło i gęstniało w powietrzu. Upłynęło długie pół minuty, tyle, ile miał doktor Tardà przed śmiercią, i Santiga usiadł, pokonany.

– No to jaki tytuł proponujecie?

Szybka wymiana spojrzeń między mężczyznami. Chwila niezręcznej ciszy. Zajęli miejsca przy stole, żeby zyskać na czasie.

– Omdlenie – zaproponował Canela.

Znów zapadła cisza, na kolejne pół minuty, jak przed śmiercią doktora, a Santiga powtarzał w myślach omdlenie, omdlenie, omdlenie. Omdlenie?

- Dlaczego omdlenie? – zapytał, przenosząc wzrok z jednego na drugiego.
- Wydaje mi się, że to oczywiste – upierał się Canela.
- Mnie nie. Co łączy omdlenie z nadużyciami mleczarskimi?
- No więc dużo, wszystko. Krowy i tak dalej, no nie?

Kolejna chwila ciszy, teraz dłuższa, jak dwa razy po pół minuty doktora Tardà. W końcu Santiga potrząsnął głową, uśmiechnął się i powiedział może to faktycznie dobry tytuł. Do Bauçy: – Przepraszam, muszę do toalety. Nerwy...

- Na końcu korytarza po lewej stronie.

Santiga wstał i poszedł we wskazanym kierunku. Kiedy zamknął za sobą drzwi:

- Kupił to?
- Wydaje mi się, że nie. Dlaczego omdlenie, panie inspektorze?
- Bo pan się nie odzywał.
- Sram w portki ze strachu. Nie mogę się skoncentrować.
- Lepiej było cokolwiek powiedzieć niż przedłużać milczenie. – Z lekkim uśmiechem. – No i zejście to lepszy tytuł niż ten pieprzony Mock. Co to w ogóle znaczy?
- Nie wiem. Już panu mówiłem, że jest stuknięty.
- Jedyne, co wiem, to że to coś o krowach.
- O krowach?
- To on tak powiedział.
- Kurwa, dlaczego dopiero teraz mi pan mówi?
- Przecież słyszał pan tak samo dobrze jak ja!...
- Cholera, przecież tam nie ma żadnej krowy!

Inspektor Canela wyszedł z gabinetu i udał się prosto do toalety. Ani śladu Santiga. Jego wyostrzone wyczucie niebezpieczeństwa kazało mu poświęcić płaszcz wiszący w gabinecie, niczym jaszczurka, która pozbywa się ogona, żeby uciec przed napastnikiem.

Arnau Mauri, zamknięty w swoim gabinecie wypełnionym książkami, czuł się

szczęśliwy. Podobało mu się to porównanie, na które wpadł w trakcie pisania: płaszc Santigi jak ogon jaszczurki; bardzo dobre, naprawdę. Po tylu emocjach popołudnie poświęcone na pisanie było prawdziwym luksusem. Do dzieła: ostatnia kropka była w zasięgu ręki; już miał w głowie wspaniałą scenę końcową. Przez parę sekund siedział bez ruchu, z otwartymi ustami, dysząc ciężko jak po zakończeniu intensywnego biegu.

Nagle matka zrobiła to, co tak go wkurzało: otworzyła drzwi bez uprzedzenia, plaf, aż podskoczył zaskoczony, tylko po to, żeby powiedzieć mu jakąś głupotę i przerwać magiczną chwilę natchnienia. Tym razem informowała go, że idzie do baru, że z Rosą jest jakiś problem.

– Świetnie. I proszę, zamknij za sobą drzwi.

Matka, obrażona, wyszła, trzaskając tak głośno, że aż zadrżały framugi. Mauri był zły jak wszyscy diabli, bo swoim wtargnięciem zniszczyła magiczną atmosferę ostatniej kropki. Szczęście, że pozostała mu potężna, niewypowiedziana emocja wynikająca z lęku, że w każdej chwili policja może ponownie zapukać do drzwi.

Emocja towarzyszyła również drukowaniu ostatnich stron. Robił to niemal z namaszczeniem; nawet uronił parę łez. Dołączył ostatni rozdział do stosu wcześniej wydrukowanych kartek i włożył wszystko do koperty. Sięgnął po papier listowy ze swoim nazwiskiem w nadruku i pięknym charakterem pisma zaczął kaligrafować:

Szanowna Pani Pilar Brandal!

Jestem przekonany, że opowiadanie zatytułowane „Zejście”, którego jestem autorem i które teraz wysyłam Pani wydrukowane i w formacie elektronicznym, będzie się Pani podobało. Wiem również na pewno, że jeżeli się Państwo choć trochę postarają, będzie się sprzedawać jak ciepłe bułeczki. Czekam na odpowiedź. Gdyby jednak zaszła zupełnie nieprawdopodobna okoliczność, że je Państwo odrzucą, spieszę poinformować, że popełnię samobójstwo.

Z wyrazami szacunku

Arnau Mauri

XII

TEZEUSZ

Zdaniem wielu teoretyków przekonanie, że mordercy ulegają często pokusie, by wrócić na miejsce zbrodni, to tylko taka konwencja literacka.

TEZEUSZ

– Podoba ci się Petrarca?

Milczenie. Pochylił się, żeby zrównać się z poziomem kobiety, która siedziała w bardzo niewygodnej pozycji, z rękami związanymi z tyłu. Żeby nie znaleźć się z nim twarzą w twarz, mimo iż on ukrywał swoją pod maską przedstawiającą jakiegoś greckiego herosa, spuściła głowę. Już miała mu coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie. Rzuciła okiem na intruza i znów odwróciła wzrok.

– Tak, bardzo – wyszeptała.

Mężczyzna chwycił książkę i wrzucił ją do kominka. Ona ograniczyła się tylko do przełknięcia śliny i z wysiłkiem powstrzymała się, by nie uronić ani pół łyzy da'più belli occhi che mai splendesse^[4].

– Nie powinnaś tu być – powiedział mężczyzna z pretensją w głosie.

– To mój dom. Co pan tu robi?

– Co za głupoty, Petrarca – powiedział zamyślony, prostując się.

– Uważaj, bo znów zacznę krzyczeć.

Mężczyzna nawet nie spojrzał w jej stronę, tylko dalej przeglądał regał z książkami. Powiedział już cię uprzedzałem, że jeśli znów krzykniesz, to cię zabiję.

– Ale po co tu przyszliście? Co? Czego chcecie? Ja nie mam...

– Chcemy cię uwolnić od trzech bardzo cennych obrazów i pięciu wartościowych inkunabułów.

W tym momencie nie mogła się powstrzymać od krzyku. Mężczyzna podszedł do niej i uderzył ją pięścią w usta. Na górze hałas, jaki robili jego kumple, na chwilę ustał. Spokojnie, krzyknął Tezeusz w kierunku schodów. I do kobiety, która zalała się krwią i poczuła, że ma kilka wybitych zębów:

– Uprzedzałem cię. Jeśli jeszcze raz spróbujesz, zatkam ci usta i się udusisz. Decyzja należy do ciebie.

Chwila ciszy: przerażona kobieta spojrzała w sufit, gdzie hałasowali tamci, i jęcząc, powtarzała nie zabierajcie inkunabułów, bo umrę z żalu...

Jakby dochodził gdzieś z daleka, usłyszała głos mężczyzny w masce, jak pytał podoba ci się Monteverdi?, ale uznała, że lepiej nie odpowiadać. Mężczyzna stanął przed nią z pudełkiem i wyciągnął płytę z opakowania, a ona tylko pomyślała o nie, tylko nie to, nie...

– Pytałem cię, czy ci się podoba Monteverdi, złotko.

Ariadna spojrzała na niego wyzywająco.

– Już możesz wrzucić go do ognia – odpowiedziała.

– Nie, nie, nie. Z wybitymi zębami trudno cię zrozumieć. – I podchodząc bardzo blisko, powtórzył pytanie, nie krzycząc, ale wyraźnie tracąc panowanie nad sobą, podoba ci się czy nie, o to tylko pytam, kurwa. Chyba łatwo odpowiedzieć! Podszedł jeszcze bliżej, trzymając płytę w palcach osłoniętych cienkimi rękawiczkami, dotykając świętych rowków, jakby chciał płytę uczynić świadkiem profanacji, i powiedział z cierpliwością godną herosa podoba ci się czy nie, tak czy nie, tak blisko jej twarzy, że mógłby jej napluć w oczy. Kobieta powiedziała nie nie nie i wzruszyła ramionami, zrezygnowana. Mężczyzna zareagował, rozbijając płytę na jej głowie, a ona usłyszała, jak volgiti, Teseo mio, volgiti, Teseo, o Dio^[5] spływa po jej przeredzonych włosach wraz z kawałkami rozbitej płyty, i pomyślała obyś był przeklęty, jakby scena rozgrywała się na Naksos, przeklinam cię, Tezeuszu, zabójco potwora i mojego serca, a przysługa, którą ci wyświadczyłam, doprowadzając cię do Minotaura, zasłużyła tylko na jedno spółkowanie, kochany, przeklęty Tezeuszu. Natomiast ja... Ariadna nie mogła już dłużej wytrzymać i zaczęła płakać i powtarzać nie nie nie, co znaczyło czemu mi to robicie! Czym sobie zasłużyłam?

– A jak ci się podoba Ligeti czy jak to tam, kurwa, się wymawia!

Przełknęła krew, smarki i kawałek zęba, westchnęła głęboko i powiedziała wyraźnie uwielbiam go, kochany Tezeuszu.

– Co powiedziałaś?

– Że go uwielbiam.

– Nie, później.

– Kiedy później?

– Nie próbuj sobie ze mnie kpić.

Tezeusz usiadł naprzeciwko Ariadny z szeroko rozstawionymi nogami, prowokacyjnie. Z uśmiechem:

– Tuż przed emeryturą i zalecasz się do mnie? Co? Swędzi cię między nogami, co, babciu?

Odpowiedzią Ariadny był głęboki, donośny, wściekły, przechodzący w wycie płacz otwartych zakrwawionych ust. W odpowiedzi ateński heros, syn Egeusza, tak szybko i zdecydowanie się odwinął, że gdy Argonauci schodzili ze złotym runem, Ariadna już zdążyła przekroczyć Acheron i znaleźć się w Hadesie.

– Co jej zrobiłeś, ty bydlaku?

– Czemu tak długo wam zeszło?

– Przez tę pierdoloną kasę pancerną. – I wskazując na Ariadnę: – Co jej zrobiłeś?

– Nic. Wasza robota ciągnęła się bez końca, a ona się darła. Jest tylko ogłuszona, spokojnie.

– Szybko, więcej stąd.

Pani, której nazwiska nie zapamiętałem, pełniąca funkcję mistrza ceremonii, powiedziała a teraz, na zakończenie uroczystości, głos zabiorą jeszcze dwie osoby; dwoje byłych uczniów, jedna z młodszych i jeden przedstawiciel starszych roczników, tych, które miały przyjemność zaliczać się do wychowanków pani profesor Granell.

Pierwsza mówiła młoda dziewczyna, bardzo przejęta, można powiedzieć, że przygnębiona śmiercią pani Granell, a zwłaszcza tragicznymi okolicznościami. Przeczytała drżącym głosem przewidywalny tekst, przerywany kilkakrotnie, żeby przełknąć ślinę i się nie rozpłakać. Na szczęście mówiła krótko, bo inaczej postawiłaby w niezręcznej sytuacji wszystkich obecnych, zmieniając się z osoby, która miała do odegrania poślednią rolę, w główną bohaterkę niepotrzebnego, żalosego spektaklu.

Kiedy wyczytano moje nazwisko, podniosłem się i podszedłem do pulpitu, gdzie ciągle jeszcze stała dziewczyna, nie radząc sobie ze złożeniem chusteczki i kartki z mową pożegnalną, która ją samą wzruszyła do łez. W odruchu niemal paternalistycznym szepnąłem jej na ucho bardzo dobrze ci poszło, możesz być spokojna. A dziewczyna szybko wróciła na swoje miejsce, bo w żadnym razie nie chciała pozostawać na widoku wszystkich, kiedy już się rozpłacze. Kiedy zostałem sam na sam z niebezpieczeństwem, starałem się unikać zerkania w stronę trumny. Natomiast ogarnąłem spojrzeniem całą salę, wypełnioną po brzegi, wpatrzoną we mnie. Wsadziłem obie ręce do kieszeni marynarki: w jednej miałem dwa nekrologi z ostatnich pogrzebów. Druga była pusta. Zapiąłem środkowy guzik i patrząc zebrany prosto w oczy, zapytałem:

– Podoba ci się Petrarka?

Cisza. Jestem przekonany, że cisza była skutkiem dezorientacji. Rozejrzałem się wokół siebie: ta płaczliwa dziewczyna patrzyła na mnie z otwartymi ustami i już nie miała zamiaru płakać. Inni różnie. Po chwili powtórzyłem pytanie. I dalej improwizowałem: Ariadna Granell, nauczycielka wielu z tu obecnych, zapytała mnie o to pierwszego dnia lekcji, kiedy dopiero zaczął się rok szkolny,

wiele lat temu. Nie zapytała czy wy lubicie Petrarę, ale spojrzała na mnie i zapytała, czy ja lubię Petrarę. O cholera, pomyślałem. Skąd mam wiedzieć? Co jej teraz powiem? Potem sprawdziłem, że żadna pierwsza klasa nie rozpoczynała roku tym pytaniem, ale w każdej klasie na początku próbowała zaskoczyć swoich słuchaczy jakimś pomysłem, gestem czy obrazem, żeby mieć ich w garści.

Pokazałem złożoną pięść, w głębokiej ciszy, i jak już się upewniłem, że siedzą u mnie w kieszeni, dalej rozwijałem myśl:

– Żeby trzymać ich w garści przez cały rok.

Tak to przebiegało i mogę powiedzieć, nie mijając się z prawdą, że zostaliśmy przyjaciółmi, o tyle, o ile mądra, wspaniałomyślna kobieta może zostać przyjaciółką jakiegoś urwipołcia ignoranta; zaskoczony, bo pierwsze pytanie, jakie padło na tak wyczekiwanej lekcji historii sztuki, dotyczyło literatury. Mniej bym się zdziwił, gdyby mnie na przykład zapytała o piłkę ręczną.

– Ja? No więc...

– Czy lubisz Petrarę.

– Przypuszczam, że tak.

– Przypuszczasz? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że jeszcze go nie czytałem.

– Na to jest rada. Posłuchaj tego; posłuchajcie wszyscy, oczywiście.

I Ariadna Granell zaczęła recytować, przechadzając się po klasie i patrząc nam w oczy:

Da' piú belli occhi, et dal piú chiaro viso
che mai splendese, et da' piú bei capelli,
che facean l'oro e 'l sol parer men belli,
dal piú dolce parlare et dolce riso...^[6]

Nie mogę zacytować teraz całego sonetu, ponieważ muszę przyznać ze wstydem, że choć nauczyłem się go wtedy na pamięć, przekonany, że nigdy w życiu go nie zapomnę, już od jakiegoś czasu nie potrafię wyrecytować go

w całości.

Któryś nieostrożny kolega powiedział to chyba jest literatura, nie sztuka, prawda? Pani Granell uśmiechnęła się do niego i powiedziała do nas wszystkich, ale patrząc mu w oczy, że jeżeli cud dokonuje się przy pomocy słów, nazywamy go literaturą; jeżeli dokonuje się w sposób ulotny, rozciągnięty w konkretnym czasie, nazywamy go muzyką; a jeśli dokonuje się w jakiejś materialnej przestrzeni, mówimy, że to obraz, fresk, ołtarz, rzeźba... A jeśli cudem jest przestrzeń, jaką tworzysz, mówimy, że to architektura. Najważniejsze, żeby dokonał się cud. A moje zadanie podczas tego roku będzie polegało, w miarę moich możliwości, na opowiadaniu wam o cudach. – Spojrzała na swoich uczniów z niemal niedostrzegalnym uśmiechem. – Może powinniśmy prosić o zmianę nazwy tego przedmiotu.

Stojąc przed pogrążonym w bólu audytorium, które na mnie patrzyło przez łzy, musiałem zamilknąć, bo mimo iż uważam się za twardego faceta, wzruszyłem się zwykłym opowiadaniem wymyślonej historii – chyba jestem bardzo wrażliwy. I żeby nie zakłócić atmosfery, a przede wszystkim nie palnąć czegoś niestosownego albo nie potknąć się na czymś, czego bym później żałował, zdecydowałem się zakończyć słowami dziękuję, kochana Ariadno Granell, za otwarcie nam oczu, niezapomniana nauczycielko historii cudów. I szybko stamtąd uciekłem, nie chcąc powtórzyć zbyt dokładnie zachowania subtelnej uczennicy, która zabrała głos przede mną.

Przy wyjściu z kaplicy, gdzie się odbywał świecki obrządek, każdy dostał nekrolog, który włożyłem do stosownej kieszeni. Prawie natychmiast objęła mnie jakaś krewna zmarłej i powiedziała na ucho, że jej zdaniem policja w końcu ich znajdzie. Odpowiedziałem, że też jestem o tym przekonany. A potem mężczyzna, który przedstawił się jako dziekan, powiedział, że to on namawiał mnie przez telefon, żebym dzisiaj wystąpił. Ach, bardzo mi miło, odpowiedziałem. Podaliśmy sobie ręce i pogratulował mi tak świetnie dobranych słów, i proszę, to moja wizytówka, któregoś dnia chętnie uciałbym z panem dłuższą pogawędkę. Już mi mówili twoi koledzy, że świetnie sobie radzisz z przemawianiem publicznym. No i bardzo jestem wdzięczny, że się zgodziłeś, i tak dalej.

Wizytówkę schowałem do kieszeni z nekrologami. Kombinowałem, którądy

się wycofać i jak najszybciej wmieszać w tłum cieszących się życiem, którzy z entuzjazmem rozpoznawali znajomych, tak jakby przed chwilą nie siedzieli w środku ze ściśniętym sercem. Czułem, że ludzie patrzą na mnie z sympatią, z wdzięcznością za moje słowa, podczas gdy ja wymykałem się z pochyloną głową, z bijącym sercem, bo uważałem, że to nieprawdopodobne, wręcz niewyobrażalne, żeby trzysta czy czterysta osób, wśród nich mnóstwo dawnych uczniów, kupiło tę bzdurę o lekcjach pani Granell. Ponieważ wiedziałem, że dokonałem największej w życiu mistyfikacji, zdawałem sobie sprawę, że jak najszybciej muszę stąd zniknąć. Skierowałem się w stronę alei i zatrzymałem taksówkę, która dosłownie spadła mi z nieba. Kiedy już byłem w środku, a samochód powoli ruszał, wreszcie oddaliłem się od grupy ludzi, żegnającej się przed domem pogrzebowym tak radośnie.

Wielu teoretyków uznaje przekonanie, że mordercy ulegają często pokusie, by wrócić na miejsce zbrodni, za zwykłą konwencję literacką. To świadczy o tym, że nie umieją wyjść poza teorię. Bardziej wnikliwi natomiast twierdzą, że ten, kto tak robi, przeżywa wstrząs tak intensywny i niepowtarzalny, takie swędzenie w żołądku, że byłoby błędem wyrzec się tego przeżycia. Kiedy dziekan do mnie zadzwonił, prosząc o udział w pogrzebie, na którym przewidywano obecność wielu osób, zrozumiałem, że myli mnie z moim kuzynem, od dwudziestu lat mieszkającym w Kanadzie, bo nazywa się tak samo jak ja.

– Możemy na ciebie liczyć? – nalegał dziekan.

Serce zaczęło mi bić tak intensywnie, że nie mogłem mu odmówić. I efekt był doprawdy masakryczny. Przeżyty wstrząs, skok adrenaliny, wystarczy mi na lata. Podoba mi się to. Och!... Czuję się niezwyciężony. Tak jakbym był greckim herosem, zawsze zwycięskim. Mówcie mi Tezeusz.

XIII

EBRO

Kiedy noc idzie, tedy dzień się trwoży,
że jego jasność przypadnie w jej cieniach,
czuwają tylko nieliczne stworzenia,
a ból zdwojony odczuwają chorzy.^[7]

AUSIÀS MARCH

– Tam było naprawdę chujowo.

– Teraz się zatrzymamy, dobrze? Będziesz mógł zrobić siusiu.

– Potem się zastanawiali, czy nie popełnili błędu, każąc nam przeprowić się przez rzekę w Mórze. Kiedy było za późno, cholera. Jak już musisz uciekać, zabieraj się do tego z głową. Ale ci na górze byli niekompetentni. A my nawet obuwie mieliśmy nie do pary.

– Wydaje mi się, że już kiedyś tu się zatrzymywaliśmy, jak byliśmy tu z tobą pierwszy raz.

– Prawdziwa jatka. Przeżyłem taki lęk, taki, że do tej pory męczy mnie w snach. I tyle się wydarzyło...

– Tak, kiedy umarła mama. Robią tu świetne croissanty, sam mówiłeś, że ci smakowały.

– Taki jeden chłopak z Teruelu, biedny, na środku rzeki, kiedy zaczęły lecieć bomby... Słysząc było tylko bum-bum, aż ciarki przechodziły. Chłopiec stanął jak słupek, blady, martwy za życia. Ani się nie skulił, ani nie próbował strzelać do chmur.

– Daj spokój, tato. Jak tylko będę mógł, przyjadę cię odwiedzić.

– Do tej pory widzę jego twarz. Wydaje mi się, że miał na imię Jacinto. Jakoś tak. A jego twarz mam cały czas przed oczami. I twarz sierżanta Mayo, naturalnie.

– Któregoś dnia, jak nie będzie lekcji, przywiozę ci wnuczki, dobrze?

– Tak. Z Teruelu, jestem pewien. Każdej nocy widzę jego twarz. Możesz mnie postawić przed tłumem na boisku i natychmiast go rozpoznam, z twarzą białą jak kreda. Tak, Jacinto.

– Po tym rozwodzie, och, nie daję sobie rady... Również możesz do nas pisać. I oglądać telewizję. Wiesz, że załatwiłem telewizor do twojego pokoju? Nie, na pewno będziesz świetnie się tam czuł.

– Biedny chłopiec. My już dotarliśmy na drugi brzeg, a on tkwił tam nieruchomo.

– Zapewnili mnie, że jakość jedzenia bardzo się poprawiła. Nie ma porównania z tym co poprzednio.

– No i nic; musiałem go podnieść, stał tam jak wmurowany, i przerzuciłem go przez ramię. Gdyby nie ja, nadal by tam tkwił. A sierżant Mayo powiedział zostaw go na łodzi i biegnij, ty idioto!

– Sam widzisz, skargi rodzin sprawiły, że teraz działa wszystko jak w zegarku. Sam widzisz!

– Jasne. Sierżant wydzierał się no już, wszyscy wysiadać z łodzi, kurwa. I ty też, kauzyperdo!, krzyczał na mnie. I musiałem go zostawić, biednego Jacinta, zamienionego w marmurowy posąg...

– Że nie wszystko można zostawić bez kontroli, to już do nich dotarło. Czyli o to nie musisz się martwić, tato.

– Nie, wtedy, kiedy go podniosłem, żeby zabrać z łodzi, dosięgnęła go kula i zrobiła mu miazgę z głowy.

– Sam wiesz, że nie możemy. W domu nie mamy miejsca. A to, co teraz przeżywam, to szkoda gadać, tato.

– Zabili go z mojej winy. Gdybym go nie podniósł... Tak jakbym zrobił to umyślnie. Jakbym ich zachęcił do strzelania do celu, rozumiesz mnie?

– Popatrz, popatrz! Zatrzymajmy się tu, dobrze? Na croissanty. Pamiętasz?

– Gdybym go zostawił na łodzi, może nadal by tam leżał. Ale żyłby jeszcze.

– Zapakuję ci parę sztuk do torby. Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy wyciągać je, kiedy dotrzemy na miejsce. Mogliby na ciebie krzyczeć.

– Często myślałem, że ta kula to mnie szukała.

– Nie, tato, tak tylko powiedziałem. Coś ty, jak mogliby na ciebie krzyczeć?

– I jak się dłużej nad tym zastanawiam, zapewniam cię, że nie mogę spać. Noc zamienia się w mroczne czekanie. Z tego i z innych powodów, o których nigdy nikomu nie wspominałem.

– Widzisz? Będziesz tam żył jak król; będziesz mógł wstawać, kiedy zechcesz. Już ci zazdroszczę!...

– Noc jest straszna; teraz, gdy nie towarzyszą mi ani chrapanie babci, ani problemy sądowe. Tęsknię za tym chrapaniem i tymi problemami. Tylko mi się śni, że stoję przy stanowisku karabinów maszynowych, ale wśród jeżącej włosy

na głowie ciszy, tak gęstej, że budzę się w środku nocy cały spocony. I wtedy rozeszły się pogłoski, że dostaniemy rozkaz opuszczenia pozycji i mamy biec w stronę rzeki. Wyobrażasz sobie, co to znaczy?

– Powoli wyrobisz sobie nowe nawyki, przekonasz się.

– To mianowicie, że owszem, chcieliśmy opuścić stanowisko karabinów maszynowych, ale panicznie baliśmy się rzeki, bo tam bylibyśmy bezbronni, i to było gorsze niż strzelanie do tarczy, wszyscy z przetrąconym skrzydłem.

– Zawsze narzekałeś, że musisz wstawać, kiedy przychodzi Cinta. Teraz nie musisz. Będziesz jak król. O, tu się zatrzymamy.

– Z przetrąconym skrzydłem. To nie strzelanie do tarczy, to strzelanie do żywego celu, do gołębia, tak.

– Co tam mówisz, tato?

– O wiele gorzej było wtedy tam na stanowisku niż teraz w łóżku. Bo jak masz dwadzieścia lat, nie chcesz umierać. Teraz to mnie mało obchodzi, prawdę mówiąc... Tylko te wspomnienia, które wbiły się w pamięć.

– Chodź, pomogę ci wysiąść.

– Nie, teraz też nie chcę. Ale podchodzę do tego z rezygnacją. Raczej myślę, że życie mogło się inaczej ułożyć. Tylko tyle: inaczej. Przez całe życie mieć do czynienia z ludzkim nieszczęściem... Nigdy nie wyzwolę się od lęku przed rozmyślaniami w samotności.

– Gotowe! Może najpierw pójdziemy się odlać. Prawda, że masz ochotę?

– Ci starsi mieli już tego powyżej uszu. Byli wściekli, dlatego nie czuli lęku. Ja natomiast tylko chciałem przeżyć.

– A potem croissanciki. Kupię ci, ile będziesz chciał.

– Tak. Ci starsi byli inni. Jak ten porucznik z chrypką.

– Nie, tato: najpierw idziemy sikać.

– Kurwa; stanął przed nami w rozkroku, wyprostowany, i krzyczał skurwysyny, jeżeli macie jaja, mnie nafaszerujcie kulami, a nie te dzieci, tak mówił. Aż łza mi się zakręciła w oku, że taki odważny... Albo taki zdesperowany, kto to może wiedzieć.

– Tak, tato, poczekam. Nie musisz się spieszyć.

– A wszyscy mu mówili poruczniku, na ziemię, kurwa, poruczniku. I sierżant

Mayo rzucił się na niego, jakby ćwiczili rugby, żeby go rzucić na ziemię, ale było za późno.

– W niedzielę do ciebie przyjadę, zgoda? Z dziewczynkami. Oczywiście, o ile coś mi nie wypadnie.

– To z desperacji po tylu miesiącach na froncie. Kurewska służba. Gdzie jesteśmy?

– Pieniądze nie będą ci potrzebne, tato... Będziesz miał wszystko, czego ci potrzeba...

– Nie: gdzie jest wróg?

– A jak będziesz chciał, możesz do nas zadzwonić. Albo niech oni zadzwonią, racja.

– Kurewska, chujowa służba. Ze strachu strzelaliśmy w powietrze, traciliśmy amunicję. A sierżant, który po śmierci porucznika przejął dowodzenie, powtarzał temu skurwysynowi, co marnuje amunicję, mierząc do chmur, strzelę prosto w dupę.

– No już, chodź. Nie, najpierw umyj ręce.

– Jak uciekasz, zawsze ci się wydaje, że jakaś kula trafi cię w tyłek. I oglądasz się za siebie, jakbyś już je wyczuwał. Tak, żeby się przed nimi uchylić.

– Bardzo dobrze. Właśnie tak. A teraz na croissanty!

– Kiedy uciekasz, wariujesz, bo już nie musisz ukrywać lęku. Paniki. Trwogi. Biegiesz jak w amoku. Jakbyś był kim innym.

– Możesz pić kawę?

– I wyobrażasz sobie, że kula, która ci rozwali nerki, musi powodować ból nie do opisania. Albo że utknie ci w kręgosłupie. Albo w karku. Wtedy poprawiasz hełm, tak żeby lepiej chronił kark. Gównno, nie ochrona.

– Widzisz? Teraz będziesz mógł opowiadać o wojnie nowym kolegom. Prawda?

– Gdzie jesteśmy?

– Kawa bezkofeinowa z mlekiem. I dziesięć croissantów.

– Gdzie jesteśmy?

– Cicho, tato, nie marudź! Coś takiego... Chce pan powiedzieć, że skończyły

się wam croissanty? No i co mam teraz zrobić?

– Ale to, czego nie mogę wyrzucić z głowy, jest jeszcze gorsze. Sierżant Mayo był odważny. Tak. Ale też był z niego kawał skurwysyna.

– Drożdżówki? No nie wiem... Tato, masz ochotę na drożdżówki?

– A teraz myślę, że skurwysyn skurwysynem, ale miał poczucie sprawiedliwości. Tylko że zawsze się pieklił i poganiał nas krzykiem. A my byliśmy w większości wystraszonymi dzieciakami. Boże, co za męka.

– Ale my tu zatrzymaliśmy się specjalnie na croissanty, co mam panu powiedzieć. Mój ojciec za nimi przepada, więc...

– Ale tamtego dnia przesadził. Powiedział Tena, wyrzucić kolegę do wody i sam się ratuj.

„– Nie! On jest ranny!

– To rozkaz! Nie widzisz, że to już trup?

Ostatnie słowa zagłuszył przesywający gwizd pocisku, który zastanawiał się, kogo trafić, żeby go zniszczyć aż do ostatniego wspomnienia. Wybuchł bardzo blisko łodzi. A ja trzymałem Jacinta w ramionach.

– Rzuć go do wody i biegnij. Jak nie, sam cię zabiję!

I ja, tchórz, rzuciłem Jacinta do wody jak rybak, który wyrzuca z powrotem karpia. Tak, na wysokości Móry. I myślałem sierżant jest skurwysynem, zostawiliśmy Jacinta samego, a sierżant stanął przede mną na odległość dłoni i krzyknął biegnij, aż się będzie kurzyło. Jak najdalej od rzeki! A ja biegłem i płakałem, a ponieważ płakałem, łzy przesłaniały mi oczy, i potykałem się, i wydawało się, że to noc, bo kolejne eksplozje przekształciły okolicę w jeden wielki grób cuchnący śmiercią. Jakbym tam był, tak dokładnie pamiętam”.

– Niech pan kupi drożdżówkę, co panu poradzę?

– I cały oddział, to znaczy to, co zostało z oddziału. Musieliśmy deptać trupy, przypuszczam, martwych kolegów, i okazuje się, że nie znaleźliśmy się po drugiej stronie rzeki, tylko na środku, bo trafiliśmy na wyspę, co za cholera, co za pech, co za... Już ci mówiłem, że oni tam na górze byli niekompetentni. I kiedy Mayo zdał sobie z tego sprawę, krzyknął no już, skaczcie do wody!

„– Ja tu zostaję, panie sierżancie.

– Morda w kubel i do wody!

– Nie.

– Wpierdolę ci kulę w gębę, a potem postawię przed sądem polowym. Wybieraj!

– Niech pan strzela. Dłużej nie wytrzymam.

I wtedy wycelował z pistoletu; trzymał go przez chwilę, mierząc we mnie, i powiedział skacz do wody albo strzelam.

Więc poszedłem na brzeg i zanurzyłem się w Ebro po raz drugi, a seria eksplozji wokół mnie robiła wrażenie jakiejś wielkiej imprezy, i hałas był tak ogłuszający, że zacząłem krzyczeć i strzelać w niebo, jakbym chciał trafić jakiegoś anioła, i sierżant popchnął mnie z tyłu, a ja się odwróciłem i strzeliłem, tym razem nie do anioła, tylko do sierżanta Mayo, a potem zanurzyłem się i dopóki nie znalazłem się w trzcinach po drugiej, bezpiecznej stronie, nie odwracałem się, i wtedy zobaczyłem, jak sierżantowi wypada pistolet i pada na kolana, i już nie w głowie mu wydzierać się na żołnierzy. Nigdy się nie dowiedziałem, czy to ja go zabiłem czy narodowcy. I to nie daje mi spokoju”.

– Jeśli mam być szczery, również te drożdżówki bardzo mi smakują.

– Nie wiem, czy ktoś widział, jak strzelam.

– Tak, tak. Proszę mi zapakować z tuzin drożdżówek. Z mego ojca niezły łasuch, tak.

– Nie wiem, czy tylko strzelałem do aniołów, czy też do sierżanta.

– Sami je pieczecie?

– Nie. Przywożą nam z piekarni. Co mówi ten pan?

– Nic. Jest trochę... To smutne.

– Nie wiem, czy na pewno ja go zabiłem, bo to w ogóle był cud, że ciągle stałem na nogach, żywy.

– No, to już, raz się żyje: pół tuzina dla dziewczynek. I niech pan pogratuluje tym z piekarni. Tak, do osobnej torby, jeśli pan łaskaw.

– I niektórzy się potopili, bo ta cholerna przeprawa w tym miejscu była wąska, ale głęboka, prąd nas znosił, a my sraliśmy ze strachu i ze zmęczenia...

– Szybko, tato, pospiesz się, nie mamy Bóg wie ile czasu. Do widzenia.

– Wydaje mi się, że to faktycznie byłem ja. Ale aż dotąd nikt mnie nie zadenuncjował. A teraz już wszyscy są martwi. Na pewno są martwi. Prawda?

– Oj, chyba zanosi się na deszcz.

– Ale każdej nocy boję się, że sierżant Mayo wróci i potwierdzi, że tak, że to ja go zabiłem, i kiedy już był martwy, jeszcze dostał serię z karabinu maszynowego, a tymczasem ranne anioły powoli spadały z nieba, nie skarżąc się, brocząc błękitną krwią o zapachu glicynii.

– No już, tato, wsiadaj. Za pół godziny będziemy na miejscu.

– Czekam na niego każdej nocy. Wiem, że wkrótce przyjdzie. I powie zabiłeś mnie, zabiłeś swojego dowódcę, ty draniu. I dlatego przeżyło was tylko trzech z trzydziestu żołnierzy, ty draniu. Ponadto załatwiłeś pięć aniołów, strzelając w niebo, a one, te anioły, teraz błagają mnie na klęczkach, żebym ci strzelił prosto w tyłek...

– Nie, zostaw, tato! Ja ci zapnę pasy.

– Za zło, które knujesz, kula prosto w tyłek! Tyle zła, że wystarczy na wspomnienie przez całe życie. Tak się nie da żyć.

– Czekaliśmy na pana tydzień temu.

– Tak, wiem, ale miałem problemy i...

– Dyrekcja informuje pana, że ma pan uiścić opłaty za ten zaległy tydzień.

– Coś takiego... Przecież...

– Jest takie zapotrzebowanie, że ten pusty pokój tylko kłuje ludzi w oczy.

– Porozmawiamy o tym później. No, tato, ta pani to...

– Jestem dyrektorką ośrodka, panie Tena.

– To sierżant Mayo w kobiecym przebraniu. A kiedy nie będzie świadków, przyjdiesz mnie zastrzelić. Zasłużyłem.

– Może chce pan obejrzeć pokój?

– Bum! Którędy wejdzie kula? Przez usta? Tyłek? Brzuch? Prosto w serce?

– Nie, nie, w windzie zawsze ktoś im towarzyszy. Widzi pan klucz? Zawsze!

– To pułapka. Tędy się idzie prosto do rzeki. Chcesz mnie utopić w Ebro, prawda?

– A ci w bardziej zaawansowanym wieku, jak w przypadku pańskiego ojca,

zawsze są pod opieką. Wyprowadzamy ich na chwilę do ogrodu, na słońce... To im sprawia przyjemność. Uwaga: proszę tędy, panowie pozwolą.

– No proszę, tato! Jaki ładny pokój!... Prawda?

– Sprawdźcie, czy sierżant Mayo gdzieś tu się kręci. Zasłużyłem sobie.

– Zaraz zaprowadzą cię do jadalni, wiesz?

– No to żegnaj, tato, i smacznego. Przyjadę, jak tylko będę mógł. Ale co to ma znaczyć? Coś ty, tato, mężczyźni nie płaczą!...

– Najgorsza w nocy jest cisza, jaka dochodzi ze stanowiska karabinów maszynowych. Przejmuje dreszczem. Bo wiesz, że masz ich w odległości stu metrów i że być może celują ci prosto w nos... i kpią z ciebie, darując ci parę sekund życia, bo tak im się podoba.

– Ale państwo go nie używali! Stał pusty! I nawet nas państwo nie zawiadomili!

– Po prostu... rozwodzimy się z żoną... Mam tyle rzeczy na głowie, że...

– Ja pana rozumiem i bardzo współczuję, panie Tena. Ale zasady są nienaruszalne: nie-na-ru-szal-ne!

– Dobrze, nie nalegam, poddaję się. Zapłacę. Przyjadę w przyszłym tygodniu. Z córkami.

– Proszę tędy.

– Sędzia Tena?

– Słucham?

– Ty jesteś sędzia Tena, prawda?

– Co?

– Nie, nie wstawaj: zrobimy sobie przechadzkę po tym pięknym ogrodzie. Aż miło spojrzeć.

– Kim pan jest?

– Wszystko się przedawnia z czasem, poza wspomnieniami, które będą panu towarzyszyć przez całe życie.

– Sierżant Mayo?

– Nie. Wspomnienia będą panu towarzyszyć przez całe życie; to słowa, które wypowiedziałeś, zamykając moją rozprawę i wydając wyrok. I miałeś rację: przez całe życie wspominałem twoją twarz odrażającego pająka, przez którego wpadłem do sieci tych twoich gównianych paragrafów.

– To ja ciebie zabiłem, prawda, sierżancie? Kiedy się odwróciłem. Ja nie chciałem... Ale byłem tak przerażony, że...

– Nie jestem żadnym sierżantem.

– Co?

– Jestem tym facetem, którego skazałeś na dożywocie, bo uznałeś mnie za diabelski pomiot.

– Choć nie chce mi pan wierzyć, sierżancie...

– Głośniej, nic nie słyszę!

– Choć mi pan nie wierzy, mówię, że ja strzelałem do aniołów, nie do ludzi: mogę przysiąc.

– O czym ty mi, kurwa, mówisz? Jakie anioły?

– Te na niebie, sierżancie, a niby jakie miałyby być?

– Jesteś stuknięty. Teraz umrzesz, bo zniszczyłeś mi życie, przez te głupie cztery czy pięć dziewczynek. A to się już więcej nie powtórzyło! Tu, za drzewami, w dyskretnym zakątku.

– Tak, sierżancie, ale lęk? Leciąły na nas z góry tony pocisków. I strzelali do nas z drugiego brzegu.

– Aj, cholera... Chcę, żeby do ciebie dotarło: umrzesz, bo zniszczyłeś mi życie. Rozumiesz? To moja zemsta. I nie jestem żadnym sierżantem.

– Już jestem gotowy, sierżancie. Ale prosto w serce, proszę.

– Nie jestem żadnym zasranym sierżantem. Nazywają mnie Potworem z Raju. Rozumiesz? Zabiję cię, bo złamałeś mi życie. Teraz do ciebie dotarło? Chcę, żebyś wiedział, za co umierasz.

– Tak, sierżancie.

– Co za cholerny uparciuch. Nazywają mnie Potworem z Raju i aż do dzisiaj zabijałem tylko dziewczynki... Teraz mnie kojarzysz, panie sędzio?

– Jestem gotowy! To będzie dla mnie odpoczynek, sierżancie Mayo!

– Pocałuj się w dupę...

Zawiedziony mężczyzna wyciągnął zza pazuchy cichy nóż i chociaż wiedział, że to pusty gest, wbił go z grymasem pogardy w serce starca, który już od dawna był martwy. W tym momencie nie przyszła mu do głowy refleksja, czemu zawsze życiowe perypetie kończą się śmiercią, jakby nie było innego możliwego zakończenia wszystkich rzeczy.

Matadepera, 2012–2016

XIV

EPILOG

Zazwyczaj płynę na pokładzie jakiejś powieści, podejmując długą podróż, której koniec trudno przewidzieć. Ale od czasu do czasu, jak ktoś, kto dla odpoczynku przybija do nieznannej wyspy, piszę opowiadanie, czasem zainspirowany tym, nad czym pracuję, a jeszcze częściej po to, by na jakiś czas od tego odpocząć. A to oznacza, że worek z opowiadaniem wypełnia się powoli i bez hałasu. Od czasu do czasu do niego zaglądam, czytam, poprawiam, kreślę, dodaję teksty i pomysły i znów go zawiązuję. Aż do momentu, gdy postanawiam przygotować zbiór z nagromadzonych tam utworów, dorzucając inne opowieści, które mi przyjdą do głowy, zachęczone remanentem w worku, i zmuszą mnie, bym im nadał kształt opowiadania. Wiem również, że nie wszystkie historie, które cierpliwie czekają w kolejce, znajdą swoje miejsce w zaplanowanym zbiorze.

Wiele lat temu, kiedy opublikowałem pierwszą książkę, właśnie antologię opowiadań, kilkakrotnie wdawałem się w bardzo ciekawe pogawędki o specyfice tego rodzaju zbiorów. Mój kolega, pisarz Vicenç Riera Llorca, twierdził, że zbiory powinny zawierać utwory, które coś łączy, wspólna atmosfera, może niekoniecznie związki narracyjne, ale jakieś związki na pewno. Ja wtedy nie miałem wyrobionego zdania na ten temat. Po prostu wybrałem teksty, które moim zdaniem spełniały określone wymagania, jakie sobie narzuciłem w tamtym okresie, i połączyłem je w całość, na zasadzie kompilacji. Ale przypominam sobie słowa mojego kolegi za każdym razem, kiedy przeznaczam do wspólnego przebywania utwory stworzone w różnych momentach mojego życia. Obecnie myślę, że każda koncepcja się broni, jeśli teksty są dobrze napisane. Ale przyznaję, że tamto kryterium, o którym wspominał Riera Llorca, stało się moją obsesją i mam lepsze samopoczucie, jeżeli istnieje jakiś powód, subtelny bądź oczywisty, uzasadniający obecność różnych opowieści w jednym zbiorze. Zbiór staje się książką, a jej tytuł odnosi się do wszystkich opowiadań, które przetrwały selekcję.

Mówię o „selekcji”, bo kiedy przygotowuję zbiór, spośród branych pod uwagę tekstów niektóre eliminuję, bądź to z powodów oczywistych, bądź

zaskakujących. Dzieje się tak czy to dlatego, że nagle sobie uświadamiam, że sam tekst mało mnie interesuje, czy dlatego, że zabrzmiałby jak dysonans w atmosferze, jaką stworzyły inne utwory, uznane przeze mnie za bezdyskusyjne. Czuję się jak selekcjoner ekipy sportowej, który wybiera najlepszy skład z zespołu, jakim dysponuje. A przede wszystkim decyduje, na jakiej pozycji będzie grał każdy tekst. Dni, miesiące, lata, tyle czasu, ile trzeba, poświęconego na pisanie na nowo, na zmiany czy kreślenie, to okres niespodziewanych narodzin i zaskakujących rezygnacji, a wszystko to pośród wątpliwości, jak zwykle. Nic nowego. Ale powoli zaczyna się tworzyć klimat rodzinnego porozumienia, który usprawiedliwia obecność różnych opowiadań w tej samej książce.

Dwa opowiadania w tym zbiorze, *Poldo* i *Pandora*, zostały wcześniej opublikowane w antologiach, które były owocem Spotkań Pisarzy w Pirenejach, organizowanych pod auspicjami Ferrana Relli i Działu Kultury departamentu Valls d'Àneu. Te spotkania nie tylko pozwalały na zawieranie nowych znajomości, ale też odcisnęły ślad na tekstach, które stworzyli wówczas zaproszeni pisarze. Opowiadania ukazały się później w formie antologii dzięki nieocenionemu entuzjizmowi Isidora Cònsula, ówczesnego dyrektora literackiego wydawnictwa Proa, mojego wydawnictwa od trzydziestu trzech lat. Publikacji patronował również Wydział Filologii Katalońskiej Uniwersytetu w Lleidzie, z którym miałem przyjemność współpracować przez siedem szczęśliwych lat.

Druga grupa opowiadań to te, które przeszły długą kwarantannę, czekając na wydanie, i teraz nadszedł dla nich moment opuszczenia worka i poddania się zmianom, uzupełnieniom i przeróbkom uzasadniającym ich obecność w książce. Czasem mam wrażenie, że zajęcie polegające na ponownym czytaniu, przerabianiu, dostosowaniu jest podobne do pracy lutnika, który dostaje do rąk stary instrument i nie tylko dokładnie go ogląda, ale upewnia się, że po odpowiedniej konserwacji zabrzmie, jak należy, gdyż rany, jakie spowodował czas i zamknięcie w ciemnym futerale, nie są nieodwracalne, i że w rękach dobrego muzyka ma szansę się odrodzić i ponownie przemówić.

Są też wśród opowiadań takie, które się narodziły, kiedy zacząłem pracować nad tym zbiorem. Tak zwykle bywa. Dynamika pracy nad książką budzi we

mnie chęć opowiedzenia nowych historii, które nie mają nic przeciw temu, żeby zająć miejsce obok innych, od lat czekających na okazję wyrzżenia na świat.

W końcu wreszcie muszę wspomnieć o tych, z których zrezygnowałem (czasem kilkakrotnie zmieniając zdanie). Czytelnik ich nie przeczyta, ponieważ albo sam zdecydowałem, że nie należy ich publikować, albo moi zaprzyjaźnieni czytelnicy, których przyjacielskim zadaniem jest przesiewanie moich tekstów, czytanie i dyskutowanie nad wszystkim, co napisałem, zdołali mnie przekonać, po długich pertraktacjach, że kilka opowiadań nie pasuje do kontekstu, albo skrytykowali je tak gruntownie, że musiałem wszystko jeszcze raz przemyśleć i tak pozmieniać, że już praktycznie mamy do czynienia z nowym bytem.

Bez rezygnacji z części tekstów nie powstaje antologia. Zapytajcie, jeśli mi nie wierzycie, Eduarda Márqueza, który nie bez powodu zatytułował swój ostatni (wspaniały!) zbiór *Dwadzieścia dziewięć opowiadań minus*, mając na myśli te pominięte, których czytelnicy nigdy nie przeczytają. To one, te wyrzucone za burtę, przyczyniły się do nadania spójności tym, które pozostały.

Bez tego narzuconego z zewnątrz filtra być może upierałbym się przy swoim, bo instynkt ojcowski czasami rzuca zasłonę na mózg. Dlatego przywiązuję taką wagę do wkładu, jaki wnieśli ci wierni, zaprzyjaźnieni czytelnicy, których od wielu lat, ponad trzydziestu, proszę o opinię, wypowiedaną zawsze ze szczegółami i bez ogródek. „Nasza umowa nie ulega przedawnieniu”, powiedział mi jeden z nich, kiedy go zapytałem, czy znajdzie czas i ochotę, by przejrzeć nową książkę. Jego słowa wyrażały postawę wszystkich moich zaprzyjaźnionych czytelników. Oni wiedzą, jak bardzo jestem im wdzięczny.

Matadepera, jesień 2016

DRAMATIS PERSONAE

AMÀLIA: kochanka Heriberta Bauçy, wydawcy (XI).

ARIADNA GRANELL: wcielenie mitycznej Ariadny, charyzmatyczna nauczycielka, na swoje nieszczęście również właścicielka trzech cennych obrazów i pięciu równie wartościowych inkunabułów (XII).

ARNAU MAURI: pisarz i truciciel, szantażysta, postać z powieści Oleguera Santigi, jego alter ego (XI).

BLONDYN: osobnik przewyższający inteligencją prezydenta, którego jest sobowtórem (IX).

CARLES: pilot, dla kolegów Smutny Charly, kochanek Claire i niefortunny mąż Fran, zleceniodawca mordercy na zlecenie (V).

CARLES i XIRGU: niedoświadczeni porywacze małych dziewczynek (X).

CLAUDI: roztargniony profesor, zakochany w obrazie *La paysanne* Milleta (VI).

DOKTOR TARDÀ: posiadał tajemnicę trucizny niepozostawiającej śladów (XI).

HENRICUS: niemoralny, sadystyczny opiekun chłopców w sierocińcu (I).

HERIBERT BAUÇÀ: wydawca szantażowany przez namolnego grafomana (XI).

HERMINIA: żona profesora Claudiego. Nie wie, co ma zrobić z niepotrzebnie wylanymi łzami (VI).

HYACINTHE RIGAUD (1659–1743): w rzeczywistości urodzony w Perpignan Katalończyk Jacint Rigau i Serra, ulubiony malarz Ludwika XIV, autor obrazu *La Présentation de Jésus au Temple* (VIII).

IGNATIUS: opiekun w sierocińcu, następca Henricusa (I).

J.G.: znany filantrop i kolekcjoner dzieł sztuki o niejasnej przeszłości i romantycznym usposobieniu (X).

JACINT RIGAU I SERRA Z BANYOLES, znany też jako FERRIOL: złodziejaszek z powołania, zafascynowany malarstwem, a konkretnie jednym malarzem,

bardzo do niego podobnym, sądząc po autoportrecie Hyacinthe'a Rigauda (VIII).

KSIĄDZ, nieumiejący dochować tajemnicy spowiedzi: ostatnia ofiara mordercy na zlecenie (II).

MARC VIDAL: aktor, który tak wiarygodnie wcielił się w rolę, że zginął razem ze swoją postacią (IV).

MARIA: towarzyszka noblisty, pomysłodawczyni niefortunnych prezentów (IV).

MATKA PRZEŁOŻONA: surowa dyrektorka sierocińca (I).

MÍRIAM: porwana dziewczynka; pomimo śmierci przetrwała w chorej wyobraźni swojego ojca (X).

MORDERCA NA ZLECENIE: właśnie zdecydował się zakończyć swoją karierę, prywatnie kolekcjoner dzieł sztuki (II).

NINA (MARIA) ALTET: zamężna kobieta wrażliwa na sztukę, zainteresowana kolekcjonerem J.G. (X).

NOBLISTA: neurotyk, który wpada w sieć swoich chorobliwych podejrzeń (IV).

OJCIEC bezimiennego chłopca z sierocińca: mizantrop, który skutecznie przekonał syna, że mężczyźni nie płaczą (I).

OLEGUER SANTIGA: namolny grafoman, szantażysta, alter ego Arnau Mauriego (XI).

ORESTES PUIG: pechowy agent nadwrażliwego laureata Nagrody Nobla (IV).

PARÉS: nieszczęśliwy ojciec, którego śmierć porwanej córki doprowadziła do obłędu (X).

La paysanne (1854) Jeana-François Milleta (1814–1875): tajemniczy obraz, który często zmienia miejsce pobytu, wywołujący niebezpieczną fascynację swoich właścicieli niestabilną konfiguracją postaci (II, VI, VIII, X).

POLDO GARGALL Z ÀRREU: przez czterdzieści trzy lata najlepszy złodziej baranów we wszystkich okolicznych dolinach, który po śmierci został bohaterem wojny domowej, co skutecznie pozbawiło go wiecznego spokoju (III, V, XIV).

PROFESOR RUSSÓ albo ROUSSEAU, zwany też POTWOREM Z RAJU: zboczeniec nadmiernie zainteresowany dziewczynkami, szukający okazji zemsty. Padło na sędziego Tenę (VII, XIII).

SARA VOLTES-EPSTEIN: malarka, autorka fascynującego autoportretu z gardeniami (1996), postać z powieści *Wyznaję* (X).

SĘDZIA TENA: sklerotyk ogarnięty obsesją traumatycznych wspomnień z czasów wojny domowej, pechowy rezydent domu spokojnej starości (XIII).

SIERŻANT MAYO: uczestnik bitwy nad Ebro, prześladowane we wspomnieniach rezydenta domu spokojnej starości (XIII).

SIOSTRA MATILDE: jedyna sympatyczna zakonnica w całym sierocińcu (I).

SYN SĘDZIEGO TENY: przekonuje ojca pozostawionego w domu spokojnej starości, że mężczyźni nie płaczą (XIII).

TEZEUSZ: złodziej, morderca i utalentowany mówca przemawiający na ceremonii pogrzebowej własnej ofiary (XII).

TONI, TON i TOMÀS: przyjaciele bezimiennego chłopca w sierocińcu (I).

TY: bezimienny bohater opowieści o smutnym dzieciństwie rzutującym na dorosłe życie (I).

VIRGÍNIA: zdradzana żona Heriberta Bauçy, wydawcy (XI).

PRZYPISY

[1] Przekład Magdaleny Pabisiak.

[2] Teraz, o Władco, pozwól odejść słudze Twemu w pokoju, według Twojego słowa (Łk 2.29). Cytat z Pisma Świętego na podstawie Biblii Tysiąclecia, Poznań–Warszawa 1980.

[3] Mauk: Maurits Cornelis Escher (1898–1972), holenderski malarz i grafik, autor litografii *Drawing Hands* (1948).

[4] Z najśłodszych oczu, z najpiękniejszej twarzy, jaka istniała (wł.). Przekład Jalu Kurka.

[5] Zawróć, mój Tezeuszu, zawróć, Tezeuszu, o Boże (wł.). Przekład Marii Maślanki-Soro.

[6] Z najśłodszych oczu, z najpiękniejszej twarzy, / Jaka istniała, z najcudniejszych włosów, / Które ze słońca i złota wymarzyć / Można, z uśmiechu, z najmilszego głosu... (wł.). Przekład Jalu Kurka.

[7] Przekład Magdaleny Pabisiak.